

Heather Graham Pozzessere

MRO CZNY NIEZNAJOMY



CZĘŚĆ PIERWSZA

Nieznajomy

1

Lato 1862, Granica Kansas i Missouri

Pierwszym ostrzeżeniem był bezlitosny, dudniący łomot. Ów dźwięk wywołał w Kristin głęboki, pierwotny lęk. Dziwne, ale dopóki nie poczuła drżącej w rytmie *staccato* ziemi, nie pomyślała nawet o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Dzień był zbyt zwyczajny, a zapewne i ona bardzo naiwna. Spodziewała się burzy, ale nie tego, co miało nastąpić.

Zaczęło się od jakiegoś osobliwego bezruchu w powietrzu. Wracając z nad rzeki wijącą się przez sad ścieżką, przystanęła. Zniknął nawet, idący zazwyczaj z nad wody, lekki powiew wiatru. Cały świat jakby zamarł. Nieoczekiwana cisza sprawiła, że dziewczynę ogarnął nieokreślony niepokój. Popatrzyła w górę. Nad głową rozciągał się bezkresny, błękitny przestwór nieba nie zmacony najmniejszą chmurką.

Cisza przed burzą, błysnęło jej w głowie. Tutaj, w Missouri, na granicy z Kansas, o tej porze roku burze zdarzały się często i były gwałtowne, choć przelotne. Niebo w jednej chwili przybierało barwę ołowiu i, nie wiadomo skąd, pojawiały się wiry powietrzne.

Wtedy właśnie dobiegł ją dźwięk końskich kopyt.

Popatrzyła na rozciągającą się za domem równinę. Po wyschniętej ziemi toczyły się gnane nieoczekiwanym podmuchem wiatru kule zielska.

Grasanci!

Myśl ta zrodziła, się w jej głowie nagle i w jednej chwili ogarnęło ją przerażenie. Boże, tylko nie to!

Ojciec! Matthew, Shannon...

Kristin ruszyła biegiem w stronę domu. Serce waliło jej jak młotem; równie głośno jak podkowy o suchą ziemię.

Ojciec już nie żyje, przypomniała sobie z rozpaczą. Zabili go. Przyjechali w taki sam, bezchmurny dzień i wywlekli go z domu. Leżał w kałuży własnej krwi, a ona krzyczała i krzyczała. Nic, n i c nie mogła zrobić.

Matthew był bezpieczny. Zaciągnął się do armii Unii i przebywał gdzieś w okolicach Missisipi. Odjeżdżając zapewniał siostrę, że nic jej nie grozi. Przecież zabili już ojca; zamordowali go przed jego własnym domem, zamordowali i zniknęli, zostawiając na ziemi skrwawione zwłoki.

Krew. Okolice te nazywano „pławiącym się we krwi Kansas”, i choć ranczo Kristin leżało już po stronie Missouri, ono również pławiło się we krwi. Tutaj wojna między stanami przybierała wyjątkowo okrutny i odrażający charakter. Ludzie nie padali na polu bitwy, ale byli w straszny sposób mordowani - łapani, doraźnie sądzeni i zabijani. Kristin nie miała złudzeń: obie strony stosowały równie okrutne i nieludzkie metody. Marzenia o spokojnym, swobodnym życiu w bezkresnej krainie utonęły w potokach krwi. Pozostała tylko gorzka świadomość, że całe jej życie było jedynie pogonią za mrzonką. Ojciec za te marzenia zapłacił życiem i powszechnie sądzono, że jego córka podda się i ucieknie. Nie uciekła. Nie mogła. Musiała podjąć walkę. Nie miała innego wyjścia.

Shannon.

Poczuła, że coś ściska ją za gardło. Shannon była w domu. Młodziutka, przerażona, bezbronna...

Biegła po spalonej słońcem ziemi, a łoskot podków narastał z każdą chwilą. Ilu ich było? Może dwudziestu - jak tamtego dnia, kiedy zabili ojca - może więcej, może mniej... Może dotarła do nich wieść, że Matthew wybrał się na wojnę i na ranczo nie został nikt poza dziewczętami, zarządcą, gospodynią i kilkoma pracownikami. Ostatnim razem chcieli zabrać ze sobą Samsona i Delilah. Nie wiedzieli, że oni nie są już niewolnikami. Pa, jak nazywała ojca, nie był fanatycznym abolicjonista, ale lubił Samsona i z okazji jego ślubu obdarował go wolnością. Mały Daniel urodził się jako człowiek wolny, a oni wszyscy przybyli w te strony, gnani marzeniem...

Kristin potknęła się i upadła. Z trudem łapała powietrze. Jeźdźcy byli tuż, tuż - za drzewami po lewej stronie. Słysząc było wrzaski i ryk zarzycanego i przeganianego bydła. Grasanci brali wszystko jak swoje. To nie była wojna. To była rzeźnia.

Niezgrabnie podniosła się z ziemi. Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, wilgotnych jeszcze po porannej kąpieli w rzece.

Powinni przecież powstrzymać napastników. Tym razem byli przygotowani. Nie pamiętała już, że są to ich dawni sąsiedzi i znajomi. Dawno przestali być uczciwymi, przyzwoitymi ludźmi, postępującymi zgodnie z nakazami etyki i sumienia. Zresztą sama już zwątpiła, czy kiedykolwiek jeszcze uwierzy w takie rzeczy.

Kiedy była kilkaset metrów od domu, zza drzew wyłonili się jeźdźcy.

- Samson! - krzyknęła. - Samson, biegnij po kolty ojca!

W drzwiach domu pojawił się wysoki, potężnie zbudowany Murzyn. Popatrzył na Kristin, a następnie na galopujących przez pole pszenicy jeźdźców.

- Panienko Kristin, uciekaj! Uciekaj!

Łapiąc konwulsyjnie powietrze, przez chwilę nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Kolty ojca! Przynieś jak najszybciej! I powiedz Shannon, żeby ukryła się w piwnicy!

- Samson, co się dzieje?

Murzyn odwrócił się i ujrzał, że w korytarzu stoi Shannon.

- Grasanci - wyjaśnił krótko. - Gdzie Delilah?

- Karmi kury.

Była w kurniku. Boże, daj jej tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wychylała stamtąd nosa, pomyślał Samson.

- Shannon, natychmiast zejź do piwnicy - polecił.

Dziewczyna zniknęła, a mężczyzna ruszył korytarzem w głąb domu. Nagle przystanął. Wydało mu się, że za domem rozległ się jakiś dźwięk. Kiedy dźwięk się powtórzył, Samson ponownie spojrzął w stronę otwartych drzwi wychodzących na werandę. Ujrzał biegnącą ku niemu Kristin i gnających za nią na złamanie karku napastników.

Naliczył około dwudziestu jeźdźców. Część większego oddziału. Ludzie Quantrilla.

Quantrill był wyjątkowym łotrem. Siał postrach i śmierć. W swoim czasie należał do bliskich znajomych Gabriela McCahy'ego, ojca Kristin i Shannon, ale później jeden z jego ludzi, Zeke Moreau, nabrał ochoty na Kristin. Dziewczyna nie chciała mieć z nim nic wspólnego; kochała Adama Smitha. Ale teraz Adam również nie żył. Podobnie jak jej ojciec; podobnie jak setki innych ludzi.

I oto Zeke Moreau wraca. Wraca po Kristin. Tego Samson był pewien.

- Samson!

Ujrzał jej oczy; przerażone, pełne niemej prośby.

Mogli to być najbardziej bogobojni dżentelmeni, ale gdyby pochwycili czarnego, który skierował w nich broń - nawet w słusznej sprawie, we własnej obronie - obdarliby go żywcem ze skóry.

Ale taki dylemat dla Samsona nie istniał. Gabriel McCahy był najprzyzwoitszym człowiekiem, jakiego spotkał w życiu, za jego córkę wskoczyłby w ogień.

Odwrócił się, żeby pobiec po broń i zamarł. Oczy omal nie wyszły mu z orbit, dyszał jak po ciężkim biegu.

Zeke Moreau był w domu. Stał w korytarzu na wypolerowanej na wysoki połysk posadzce i celował w Samsona z dwulufowej strzelby.

Z tyłu dobiegło Samsona szuranie czyichś nóg. Szybko popatrzył za siebie i ujrzał, jak inny mężczyzna trzyma Delilah; jedną ręką objął jego żonę w pasie, a drugą zasłaniał jej usta.

- Widzisz, Samson? - odezwał się Zeke. - Bądź cicho, albo cię powieszę. Powieszę cię i zdechniesz. A twoją kobietę i dziecko wystawię na targu w Savannah.

Zeke Moreau uśmiechnął się szeroko. Miał ciemne włosy, elegancki, czarny, podkreślony wąs i Samsonowi błysnęła myśl, że z taką twarzą bardziej przypomina dżentelmena grającego w karty na pokładzie wytwornego parowca niż celującego z karabinu bandytę. Był przystojnym, sympatycznym człowiekiem; do tego obrazu nie pasowały tylko jego oczy - zimne, jasne oczy kata, tak powiedziała kiedyś Kristin.

Samson odpowiedział mu lodowatym uśmiechem.

- Zamordowałeś już Gabriela - stwierdził.

Zeke niedbale oparł kolbę strzelby o udo. Wiedział, że Samson jest odważnym i potężnie zbudowanym mężczyzną, ale dopóki mają w rękach jego Delilah,

Murzyn nie wykona żadnego nieprzemyślanego ruchu.

- Cóż, Gabe był moim przyjacielem. Czasami wprawdzie obracał się w nie najlepszym towarzystwie i miał paskudny język, ale bardzo żałuję tego, co mu się przytrafiło. Zabolało mnie do żywego to, że Matthew zaciągnął się do Jankesów.

- Samson!

Na głos Kristin odwrócił się. Dziewczyna miała właśnie wbiec na werandę, kiedy osaczyli ją jeźdźcy i znalazła się w pułapce.

Otoczyli ją kołem. Kristin dławiła się kurzem wzbijanym końskimi kopytami. Próbowwała wyrwać się z matni, ale za każdym razem któryś z prześladowców zajeżdżał jej w ostatniej chwili drogę.

Krzyknęła i podjęła kolejną, z góry skazaną na niepowodzenie, próbę ucieczki. Dosiadający ciemno nakrapianego *appabosa*, ubrany w kolejarski surdut bandzior, natychmiast przeciął jej drogę. Odwróciła się w jego stronę i mężczyzna podjechał bliżej. Pochylił się w siodle, by chwycić Kristin, ale dziewczyna wbiła mu w twarz paznokcie. Samson dostrzegł strużkę krwi, która zaczęła płynąć po policzku napastnika. Kristin miotała się i klęła, walczyła jak tygrysica. Jeździec ściągnął cugle, mustang cofnął się, przysiadając na zadzie. Mężczyzna machnął batem i Kristin upadła. Kopyta cofającego się *appaloosa* o milimetry ominęły jej twarz.

Dziewczyna nie drgnęła. Po prostu patrzyła na napastnika z nienawiścią.

Samson runął w stronę wyjściowych drzwi, ale Zeke zastąpił mu drogę i z całych sił zdzielił go kolbą karabinu po głowie.

Na widok padającego w progu Murzyna Kristin krzyknęła. Samson miał twarz zalaną krwią.

W tej też chwili spostrzegła Zeke'a. Przekroczył ciało leżącego i wyszedł na werandę. Za nim pojawił się kolejny mężczyzna. Trzymał Delilah. Na ten widok z gardła dziewczyny wydarł się okrzyk/a napastnik ze śmiechem pchnął Murzynkę na leżącego na ziemi, nieprzytomnego Samsona. Delilah, łkając, przypadła do męża. Tymczasem otaczające Kristin konie znieruchomiały, jeźdźcy zamilkli.

Kristin podniosła się z ziemi i popatrzyła na Zeke'a. Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Zadarła głowę do góry i rzuciła hardo:

- No proszę, kogo my tu mamy! Pan Moreau we własnej osobie. Co za szczęście - powiedziała zjadliwie.

Zeke Moreau ciężko westchnął.

- Kristin, nie przychodzi ci do twego małego mózdzku, że wpadłaś w niezłe tarapaty?

- Tarapaty, Zeke? Nie wpadłam w żadne tarapaty. Nie strasz mnie. To ty jesteś robakiem, którego ktoś kiedyś zgniecie w palcach.

- Rozejrzyj się, Kristin. Zawsze byłaś arogancką bałamutką. Doszedłem z chłopcami do wniosku, że najwyższy czas, żeby ktoś przytart ci trochę nosa. Naprawdę masz kłopoty, skarbie. Wielkie kłopoty.

Ruszył w jej stronę.

Kristin zebrała wszystkie siły. Nigdy dotąd nienawidziła nikogo tak jak w tej chwili Zeke'a. Nienawiścią palącą jak płomień i wielką jak otchłań. Popatrzyła na tego mężczyznę i w jednej chwili zrozumiała, po co tu przybył, dlaczego porusza się tak leniwie i tak bezczelnie uśmiecha. Przyjechał odegrać się, a jego zemsta będzie straszna.

Postanowiła drogo sprzedać swoją skórę. Nie czuła nawet strachu. Wiedziała, że z nią nie pójdzie mu ła-

two, że wydrapie mu oczy, że będzie okładać go pięściami tak długo, dopóki starczy jej tchu, dopóki bić będzie jej serce. On jeszcze nie wie, że to ona wygrała. Wygrała, ponieważ tak bardzo go nienawidzi, że nie jest w stanie jej dotknąć.

Zeke zbliżał się wolnym krokiem, na ustach igrał mu złośliwy, pełen samozadowolenia uśmieszek.

- Walcz, Kristin - powiedział. - Bardzo to lubię.

- Budzisz we mnie wstręt - wysyczała.

Nie próbowała go przekonywać, że kiedyś za wszystko zapłaci, nie groziła mu zemstą. Nie istniało prawo, które by ją chroniło, wiedziała, że górą, niestety/jest on.

- Pamiętasz, jak kiedyś chciałem cię poślubić, chciałem cię zabrać daleko, na Dziki Zachód. Ba, chciałem nawet wybrać się na złotołone pola w Kalifornii, a później wybudować ci piękny dom na wzgórzu. Zrobić z ciebie wielką damę.

- Jestem damą, Zeke, a ty zwykłym śmieciem... Bez względu na to, ile masz złota.

Zadarła lekko brodę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo się boi. Zeke wcale nie zamierzał jej zabijać. Chciał jej tylko odpłacić. Chciał, żeby płakała, żeby błagała go o litość, żebrała; bała się, że *może* tak się stać.

Zeke nigdy nie stanie przed sądem. Bez względu na to, co zrobi.

Uśmiechnął się i ruszył szybciej w jej kierunku. Siedzący na wierzchowcach ludzie zaczęli gwizdać i pokrzykiwać, by dodać mu odwagi.

Kristin wrzasnęła. Nabrała całą garść ziemi, cisnęła nią Zeke'owi w twarz i desperacko rzuciła się do ucieczki.

Znów zajechał jej drogę dosiadający nakrapianego *appaloosa* mężczyzna o martwych oczach. Próbowała

go wyminąć, ale on błyskawicznie cofnął zwierzę i dziewczyna upadła na ziemię. Potoczyła się, żeby uniknąć uderzenia kopytami.

Usłyszała, że Zeke zaklął. Odwróciła się w jego stronę i zobaczyła, że jest tuż przy niej. Twarz miał zakurzona, kilka ździebeł trawy zwisało mu z wąsów.

Zerwała się na równe nogi i ruszyła na niego z pięściami. Gwizdy i okrzyki otaczających ich ścisłym kręgiem jeźdźców przybrały na sile.

Nie miała drogi ucieczki. Próbowwała okładać go pięściami, ale Zeke unieruchomił jej ramiona. Ogarnięta szałem, gwałtownie uniosła kolano i Moreau wydał przenikliwy okrzyk bólu. Jego chwyt zelżał, a Kristin wyrwała mu się z rąk.

Ktoś wybuchnął głośnym śmiechem i zanim dziewczyna zorientowała się, o co chodzi, Zeke uderzył ją w twarz wierzchem dłoni. Głowa odskoczyła jej w tył, a mężczyzna ponownie unieruchomił jej ręce. Jak oszalała szarpała się, próbując dosięgnąć paznokciami jego oczu. Krzyczała. Wokół rósł gwar. Kamraci Zeke'a rechotali, gwizdali, ryczeli z uciechy. Poczowała, że jej paznokcie zagłębiają się w policzki napastnika. Z całych sił szarpnęła dłonią. Zeke głośno zaklął, po czym ponownie uderzył ją w twarz. Kristin straciła równowagę i upadła.

Był szybki. Jej ciągle jeszcze kręciło się w głowie, a on już siedział na niej okrakiem. Jak przez mgłę słyszała głośne gwizdy i okrzyki zachęty.

Zebrała wszystkie siły i wyprężyła ciało, by podjąć walkę, ale Zeke przygniótł ją całym swoim ciężarem, przyciskając jej nadgarstki do ziemi.

A jednak wciąż stawiała opór. Łapała ciężko powietrze; wiedziała, że wkrótce zabraknie jej sił, że niebawem będzie musiała się poddać i przegra. Przystojna

twarz Zeke'a była blada ze złości, a na policzkach widniały krwawe bruzdy wyrte paznokciami Kristin. Ogarnęła go furia. Z całą premedytacją rozluźnił na chwilę uścisk i wymierzył kolejny siarczasty policzek; tym razem tak mocny, że dziewczynie pociemniało w oczach.

Nie była w stanie nic zrobić. Podświadomie czuła, że Zeke zdiera z niej ubranie. Zerwał z niej bluzkę, a potem, zadarłszy spódnicę, zaczął wpychać dłoń między jej uda. To ją trochę otrzeźwiło. Krzyknęła i znów zaczęła się wrywać

Mężczyzna popatrzył na nią chmurnie, ale po chwili wybuchnął śmiechem.

- Suka - mruknął.

Pochylił się i próbował ją całować; jego dłoń nieustannie błądziła po jej ciele.

Kristin odwróciła głowę. Oczy miała pełne łez. Gwałt jakoś przeżyje; pocałunków - nie!

Ugryzła go w dolną wargę.

Ryknął z bólu i wściekłości. Poderwał gwałtownie głowę. Po brodzie spływała mu krew.

- Lubisz gwałtownie, koteczku? - warknął. - Więc będzie gwałtownie. Dostaniesz to, czego chcesz, arogancka ślicznotko!

Uniósł jej spódnicę i brutalnie dotknął gołego uda. Aż skuliła się pod tym drapieżnym dotykiem i zacisnęła z całych sił powieki.

Wtedy świat eksplodował. Trysnęła w górę fontanna piasku. Kristin poczuła na języku jego gorzki smak.

Otworzyła oczy. Ujrzała, że siedzący na niej okrakiem Zeke znieruchomiał i jest równie zdezorientowany jak ona.

Nawet otaczający ich ludzie zamilkli.

W odległości stu metrów stał samotny jeździec.

Ubrany w surdut, głowę miał nakrytą kapeluszem ozdobionym piórami.

W dłoniach miał dwa kolty; trzymał je z widoczną nonszalancją. Z jednego z nich wypalił; to po tym właśnie strzale eksplodował świat. W olstrach przy siodle tkwił karabin.

Siedział na wspaniałym, ogromnym, czarnym jak noc wierzchowcu, który powoli, przestępując z gracją z nogi na nogę, ruszył w ich stronę. Obcy wstrzymał konia tuż przed dziewczyną i siedzącym na niej mężczyzną. Oszołomiona Kristin wpatrywała się w nieznanego nieruchomym wzrokiem. Pod surdudem miał dżinsy i bawełnianą koszulę, a na szyi barwną chustę. Żadnego munduru; przypominał zwykłego hodowcę bydła.

Albo rewolwerowca, pomyślała.

Twarz miał jak wyrzeźbioną w granicie. Ciemne, przyprószone siwizną włosy. W wąsach i brodzie również połyskiwały srebrne pasma. Palące się pod czarnymi jak smoła brwiami oczy były srebrzystoszare, jak stal.

- Daj jej, chłopcze, spokój - odezwał się przybysz.

Głos miał głęboki i dźwięczny. Mówił cicho, ale był to głos, któremu trudno było się oprzeć.

- Ktoś ma coś do mnie? - warknął Zeke.

Ostatecznie było to pytanie jak najbardziej na miejscu. Jego otaczała zgraja kompanów, obcy był sam.

Przybysz odsunął palcem kapelusz z czoła.

- Chłopcze, powtarzam ci: zostaw tę panią w spokoju. Przecież widzisz, że nie potrzebuje twojej opieki.

Słońce nieoczekiwanie schowało się za chmurę i w jednej chwili obcy wydał się tylko złudzeniem, niematerialnym cieniem mężczyzny siedzącego na olbrzymim wierzchowcu.

Zeke zgrzytnął zębami. Kristin zrozumiała, że jej prześladowca sięga po rewolwer. Nabrała powietrza, żeby krzyknąć, ostrzec przybysza...

Huk i ostry krzyk bólu. Ale to nie ona krzyczała, choć na jej piersiach pojawiła się krew. Ze zdumieniem skonstatowała, że to krzyczy Zeke, a krew na jej piersiach jest krwią Zeke'a.

Pocisk obcego trafił go w nadgarstek.

- Idioci! - ryknął Zeke. - Zastrzelcie tego sukina-syna!

Wtedy Kristin krzyknęła. Dwudziestu mężczyzn sięgnęło po broń, ale żaden z nich nie zdążył wystrzelić.

Obcy był szybki. Niczym dwie świetliste błyskawice, jego rewolwery rozpały się białopomarańczowym ogniem i ludzie Zeke'a zaczęli walić się na ziemię.

Kiedy wreszcie zapadła cisza, przybysz zsiadł z konia. Kolty miał już w kaburach, a w dłoni trzymał karabin. Leniwym krokiem zbliżył się do Kristin i Zeke'a.

Nasunął kapelusz na oczy i zwrócił się do Moreau:

- Nie lubię zabijać i robię wszystko, żeby z zimną krwią nie strzelać do ludzi. Powtarzam więc raz jeszcze: daj tej pani spokój. Nie potrzebuje twojej opieki.

Zeke zaklął i podniósł się z ziemi. Obaj mężczyźni dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Ja ciebie chyba skądś znam - odezwał się Zeke.

Obcy pochylił się, podniósł wytracony Zeke'owi rewolwer i rzucił go w jego stronę.

- Być może... - Umilkł i zmarszczył brwi. - Myślę, że gospodarze mają już dosyć twego towarzystwa.

Zeke podniósł z ziemi kapelusz i z wściekłością zaczął go otrząpywać z kurzu.

- Jeszcze o mnie usłyszysz, przyjacielu - oświadczył cicho przez zaciśnięte zęby.

Obcy wzruszył ramionami.

Zeke przesłał Kristin uśmiech pełen okrucieństwa.

- I ty też, słoneczko.

- Na twoim miejscu odjechałbym jak najszybciej. Zrób to, dopóki jesteś jeszcze w stanie to zrobić - odezwał się spokojnie obcy.

Zeke ze złością wbił na głowę kapelusz i ruszył w stronę konia. Wskoczył na siodło.

- Tylko zabierz ze sobą te śmiecie! - Obcy wskazał palcem leżące na ziemi postacie.

Zeke skinął na swoich ludzi. Ci zaczęli wrzucać na spłoszone konie martwych, umierających i rannych.

- Drogo za to zapłacisz - ostrzegł obcego Zeke, dźgnął konia ostrogami i nie oglądając się za siebie odjechał. Za nim bezładną gromadą ruszyła kawalkada jeźdźców. Obcy długo spoglądał za znikającymi w oddali sylwetkami, a następnie popatrzył na Kristin. Dziewczynie wystąpiły na policzkach krwiste rumieńce i gorączkowo zaczęła osłaniać się podartym ubraniem.

Niezdarnie podniosła się z ziemi.

- Dziękuję - powiedziała po prostu.

Uśmiechnął się, a Kristin zaczęła nieoczekiwanie drżeć. Obcy mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku. Wpatrywał się w dziewczynę z nie skrywanym zainteresowaniem.

Przeciagnęła językiem po suchych wargach i starała się wytrzymać jego wzrok.

Po chwili jednak zarumieniła się jeszcze mocniej i spuściła głowę.

A wokół ciągle trwał cudowny dzień. Słońce świeciło jasno, niebo było błękitne i bezchmurne.

Czyżby cisza przed kolejną burzą?

Czyżby pojawienie się obcego oznaczać miało po-

czątek nowej burzy? Kristin czuła, że coś wisi w powietrzu, coś nieuchwytnego, co między nią a nieznanym było jak iskra. Dziewczyna była spięta, prawie podniecona.

I wtedy jej dotknął; przesunął lekko palcami po jej podbródku.

- Czy włączęga dostanie coś do jedzenia, panno...?

- zapytał z uśmiechem.

- McCahy. Kristin McCahy - przedstawiła się cicho.

- Kristin - mruknął i znów się uśmiechnął. - Jestem okropnie głodny.

- Oczywiście.

Nie potrafiła się powstrzymać, żeby co chwila nie zerkać ukradkiem w jego stronę. Miała nadzieję, że nie zauważył drżenia, które przed chwilą ją ogarnęło.

Z uśmiechem i galanterią pocałował jej dłoń, a Kristin znów zaczerwieniła się aż po nasadę włosów. Uświadomiła sobie, że spod podartej bluzki widać jej gołe piersi. Przełknęła ślinę i jeszcze dokładniej zaczęła przytrzymywać na sobie strzępy ubrania.

Na ten widok mężczyzna spuścił głowę, kryjąc lekki uśmiech. Później skierował wzrok na Samsona, który właśnie podnosił się chwiejnie z podłogi werrandy.

- Kristin, myślę, że najpierw należy się zająć twoim przyjacielem - powiedział.

Delilah, która podtrzymywała męża, popatrzyła na przybysza.

- Prosimy! Prosimy do środka! - zawołała. - Przygotuję panu najlepsze jedzenie, jakie można dostać po tej stronie Missisipi. Panienko Kristin, też proszę za mną. Nagotuję dużo gorącej wody, żebyś mogła zmyć z siebie cały ten brud.

Kristin ponownie się zaczerwieniła i skinęła głową.

- Co z Shannon? - szepnęła do Delilah.

- Twoja siostra jest w piwnicy. Chwała Bogu, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

Nieznajomy ruszył w stronę schodków i Kristin, wpatrując się w jego szerokie plecy, bezmyślnie poszła za nim. Nagle zatrzymała się. Przejął ją zimny dreszcz.

Obcy pojawił się nieoczekiwanie z bezkresnych równin i wybawił ją od hańby, a być może nawet i od śmierci.

Ale Zeke odjechał żywy.

Kiedy jej obrońca odjedzie, a ona zostanie sama, Zeke z całą pewnością wróci.

Nic się nie skończyło. Zeke przyjechał po nią raz, przyjedzie i drugi. Nie walczył o Missouri, nie walczył po stronie Południa, kodeks rycerski był mu obcy. Graszował w tych okolicach, żeby bezkarnie rabować, mordować i... gwałcić. Wróci po nią. Zawsze szukał przeciwników słabszych od siebie, a ona była słaba i bezbronna.

Wróci, myślała z rozpaczą. A przecież tu jest mój jedyny dom. Kraina ta stanowiła jej ziemię obiecaną; była snem wyśnionym przez biednego irlandzkiego emigranta.

Ale emigrant ten już nie żył. Gabriel McCahy i jego Kathleen leżeli na małym cmentarzyku, znajdującym się na tyłach domu. Obok nich spoczywał Joe Jonley, który jako jedyny ruszył mu z pomocą. Sny się rozwiały.

Lecz Kristin nie mogła przecież tak po prostu się poddać. Musiała wypowiedzieć Zeke'owi walkę na śmierć i życie. Nie mogła dopuścić, żeby śmierć ojca okazała się daremna.

Ale przecież walczyła.

I przegrała.

Nie, tym razem jeszcze nie przegrała. Tym razem pojawił się nieznajomy.

Kristin przykryła piersi rękami i obserwowała obcego mężczyznę, który lekko i z wdziękiem wchodził po stopniach na werandę. Patrzyła na mężczyznę z dwoma rewolwerami i karabinem, którymi posługiwał się z zadziwiającą wprawą.

Kim był?

Nie miało to większego znaczenia i niewiele dziewczynę obchodziło.

Przymknęła na chwilę oczy, po czym ruszyła po schodkach za dziwnym, mrocznym nieznajomym.

2

Ogień promieniował na olbrzymią kuchnię miłym ciepłem. Kristin wyciągnęła się wygodnie w wannie, odchyliła do tyłu głowę, przymknęła oczy i z dobiegających zza przepierzenia zapachów, które przebijały nawet przez różany zapach wody, próbowała wywnioskować, co Delilah przygotowuje na obiad. Na patelni z pewnością smażyły się z miłym dla ucha skwierczeniem plastry bekonu. Na stół wjadą też zapewne naleśniki polewane roztopionym masłem i syropem kukurowadzianym. Do tego jajecznica z kawałkami szynki i dobrze wyleżałym serem, usmażona według własnej receptury Delilah. W ostatnich czasach należało raczej oszczędzać żywność. Jeśli nie jeźdźcy Quantrilla, którzy pojawiali się od czasu do czasu, żeby - w najlepszym przypadku - ukraść konie lub bydło, to wojska Unii rekwirowały zapasy. Kristin dawno już straciła złudzenia co do zasad postępowania obydwu stron. Zarówno ci opowiadający się za Północą, jak ci opowiadający się za Południem określali się mianem żołnierzy, choć w rzeczywistości stanowili wyłącznie rozpasane bandy rabusiów i morderców. W niczym nie przypominało to regularnej wojny; była to nieustanna kotłowanina, krwawa, desperacka bijatyka, w której stosowano wszelkie możliwe chwytły.

Było zatem rzeczą zdumiewającą, że ciągle jeszcze mieli co jeść. Na ranczo, oczywiście, znajdowała się dobrze ukryta piwniczka, która już nie raz uratowała im

życie. Ale ten dzień był inny i wszyscy zasłużyli sobie na wielką ucztę.

A zwłaszcza nieznajomy.

Zaskrzyphiały drzwi od kuchni i Kristin głębiej zanurzyła się w pokrytej pianą wodzie, nalanej do wytwornej, miedzianej wanny, którą jej matka wlokła ze sobą aż z samego Bristolu w Anglii.

Nie było powodu do niepokoju. To weszła Delilah.

- I jak kąpiel, dziecko? - spytała, sięgając do wiszącej nad pompą wodną ściennej szafki, żeby wyjąć z niej butelkę najlepszej madery pochodzącej jeszcze z zapasów ojca Kristin. Flaszkę i małą tackę ze szklaneczkami odstawiła na stolik i sięgnęła z kolei po stojący na ogniu imbryk z wrzącą wodą.

Dziewczyna popatrzyła starszej kobiecie w oczy.

- Już chyba nigdy się po nim nie domyję - poskarżyła się. - Nigdy! Choćbym siedziała w wodzie do dnia sądu ostatecznego.

Delilah zaczęła dolewać do wanny ukropu z czajnika.

- Mogło się to wszystko skończyć o wiele gorzej - powiedziała cicho, wyglądając przez okno, za którym panował tak zwodniczo piękny i spokojny dzień. - Dziękujmy Bogu za jego małe cuda. Ale powinnaś się, kochanie, pośpieszyć.

Kristin skinęła głową i uśmiechnęła się z przymusem.

- Nawet nie znamy jego imienia.

Drzwi od kuchni ponownie się otworzyły, tym razem z impetem, i Kristin szybko zanurzyła się po szyję w wodzie. Delilah zerknęła w stronę wejścia. W progu stała zarumieniona, piękna i bardzo podekscytowana Shannon.

- Kristin, jeszcze ciągle siedzisz w wannie?

Kristin popatrzyła na siostrę. Nie wiedziała, czy ma się na nią gniewać, czy też nie zwracać uwagi na jej beztroskę. Ona sama była jeszcze pod silnym wrażeniem porannych wydarzeń, ale dla Shannon najwyraźniej stanowiły już one zamierzchłą przeszłość. Naturalnie, najgorsze przeczekała w piwnicy, ale tak chciała Kristin. Wydawało się, że w tym kraju i w tych czasach wszyscy już stracili niewinność. Wojna nikomu nie pozwalała pozostawać na uboczu. Bez różnicy, kobiety czy mężczyźni, wszyscy musieli opowiedzieć się po którejś ze stron, a przeżyć mogli jedynie ludzie twardzi i zahartowani. Ale Kristin nie chciała, żeby taka właśnie stała się Shannon. Pragnęła, żeby jej młodsza siostra zachowała czystość, wiarę w czary, fantazję. Dziewczyna skończyła niedawno siedemnaście lat i nie zasługiwała na to, żeby wojna wywarła na niej swe okropne piętno. Była taka młoda, taka delikatna, taka śliczna. Miała błękitne oczy i złocistoblond włosy. Kristin często sama nie wierzyła, że kiedyś miała tyle samo lat i również wyglądała tak jak jej młodsza siostra teraz. Gdy przeglądała się w lustrze, widziała twarz o twardych rysach i zimnych oczach. Doskonale wiedziała, że nie wygląda na swoje dziewiętnaście lat, że sprawia wrażenie dużo, dużo starszej kobiety.

W ciągu ostatnich dwóch lat postarzała się o lat dziesięć. Życie dało jej surową szkołę i Kristin zdawała sobie sprawę, że wszystko to wyrzyło na jej twarzy niezatarte piętno.

- Za minutę wychodzę - odparła siostrze.
- Slater - odezwała się nieoczekiwanie Delilah.
- Słucham? - zdziwiła się Kristin.
- Slater. - Shannon podeszła do wanny, uklękła i oparła łokcie o jej krawędź. - Nazywa się Cole Slater.
- Aha! - mruknęła Kristin.

Cole Slater. Kilka razy powtórzyła w myślach te dwa słowa. No cóż, to takie proste. Dlaczego sądziła, że z trudem uzyska tę informację?

Przesłała Shannon promienny uśmiech.

- Na razie zanieś mu tę maderę. Ja za chwileczkę będę gotowa.

Shannon odwzajemniła jej uśmiech, wzięła tacę i opuściła kuchnię. Kristin popatrzyła z ciekawością na Delilah.

- Podajesz maderę ojca? Widzę, że wysoko oceniłaś tego włóczęgę!

Murzynka, otrzepując sukienkę, którą przyniosła z pokoju Kristin, parsknęła i obrzuciła dziewczynę szybkim spojrzeniem.

- On nie jest zwykłym włóczęgą. Obie o tym dobrze wiemy. Powinnaś być mu wdzięczna do grobowej deski za to, co dla ciebie zrobił. Wprawdzie Moreau zapewne - tylko zapewne - darowałby ci życie, lecz Samsona powiesiłby z pewnością. Slater uratował memu mężowi życie, a mnie uchronił przed targiem niewolników. Dlatego cenię go bardzo wysoko.

Kristin uśmiechnęła się. Przed oczyma stanęła jej jak żywa ukochana matka, która pochodziła z arystokratycznej rodziny i nigdy w pełni nie zaakceptowała świata, w którym przyszło jej żyć. Co innego ojciec. Ten łatwo przeistoczył się w farmera i hodowcę bydła, szybko też nauczył się żyć w zgodzie z surowymi prawami obowiązującymi na pograniczu. Z pewnością byłby rad z tego, że Delilah i Samson wyszli z opresji obronną ręką, traktował ich jak członków rodziny.

- Czy mogłabyś mi podać ręcznik? - poprosiła Kristin, ponownie myśląc o nieznanym, który pojawił się wśród nich w tak odpowiednim momencie. Delilah ma rację, błysnęło jej w głowie. Zwyczajny włóczęga

nie posługiwałby się bronią tak sprawnie. Kim jest zatem? Rewolwerowcem z Teksasu? A może przybył jeszcze dalej z Zachodu - z Kalifornii? Jedno było pewne: tam, skąd pochodził, nauczył się po mistrzowsku obchodzić z koltami.

Potrafi również po mistrzowsku skradać się, dodała w myślach. Na wspomnienie ciszy, jaka zapadła po jego pierwszym strzale, po plecach przebiegł ją dreszcz. Pamiętała wyraz jego oczu, kiedy kazał Zeke'owi wynosić się do wszystkich diabłów. Stalowski oczy, twarde i bezlitosne. Pamiętała, jak surdut opinał jego smukłe ciało, pamiętała, jak szerokie ma ramiona, sposób, w jaki na nią patrzył. Poczowała, że ogarnia ją jakieś dziwne wewnętrzne ciepło.

W jego spojrzeniu nie było nic romantycznego, natchnionych upomniała się w duchu. Świetnie znała takie romantyczne spojrzenia. Wiedziała, co znaczy zakochać się. Było to uczucie łagodne i delikatne. Był to proces powolny i piękny. To właśnie czuła do Adama, a Adam czuł do niej, kiedy patrzyli na siebie, kiedy spoglądali sobie w oczy. Początkowo, gdy brał ją za rękę, czynił to wyjątkowo nieporadnie. Szeptał jej czułe słowa i bardzo często się jąkał. To było romantyczne. To była miłość. Kiedy przebywała z Adamem, nie czuła takiego grzesznego ciepła zalewającego ją od środka. Lubiła trzymać Adama za rękę. Lubiła siedzieć z nim i snuć marzenia. I nigdy nie wyobrażała sobie... że on stoi przed nią nago.

Przerażona własnymi myślami, głośno przełknęła ślinę. Nigdy nie myślała o nagim mężczyźnie, a już na pewno nie o nieznanym. Tak, w jego spojrzeniu nie było za grosz romantyzmu. Po prostu taksował ją wzrokiem. Jak konia. I najwyraźniej podobało mu się to, co widział: zgrabne pęciny, zdrowe zęby... Ale

później się uśmiechnął; jeśli nawet nie czule, to w każdym razie z wielką sympatią.

Niemniej sposób, w jaki na nią patrzył...

Miała podarte ubranie i była prawie naga...

Na widok sukienki, którą przygotowywała jej Delilah, zmarszczyła brwi. Nie był to żaden z jej codziennych, bawełnianych strojów. Była to muslinowa sukienka w delikatne, błękitne kwiaty ozdobiona podwójnym rzędem czarno-białej koronki obrębiającej bufiaste rękawy, stanik i dół spódnicy. Była to jej najlepsza sukienka.

- Delilah...

- Włóż to dziecko! Włóż! Pamiętaj, że dzisiaj mamy specjalny dzień.

- To prawda - uśmiechnęła się Kristin i ponownie zaczęła drzeć.

Czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem. Nigdy sobie sami nie poradzą i muszą się z tym okropnym faktem pogodzić. Ojciec został zamordowany i to samo - a może jeszcze coś gorszego - mogło się dzisiaj jej przytrafić. Dzisiaj mógł nastąpić koniec wszelkich jej marzeń.

Ale wyszli obronną ręką. Co dalej? Zeke przecież nie daruje. Wróci.

- Boże drogi! - westchnęła Delilah i przytuliła się do Kristin. - Co my teraz zrobimy?

- Musimy... musimy jakoś go przekonać, żeby został - odparła cicho Kristin.

- Chcesz zaproponować mu pracę?

Kristin uśmiechnęła się z przymusem.

- Czy wygląda na kogoś, kto poszukuje pracy? - odparła drżącym głosem. Wysunęła się z objęć Delilah i stanęła do niej plecami. - Możesz mi zapiać?

Murzynka odgarnęła przepyszne pukle włosów dziewczyny i zajęła się haftkami. Kiedy się z nimi upo-

rała, odwróciła Kristin i odsunęła się o krok. Obrzuciła jej postać krytycznym spojrzeniem, a następnie uśmiechnęła się promiennie.

- Panienko Kristin, czy wiesz, że jesteś najpiękniejszym i najrozkoszniejszym stworzeniem pod słońcem?

Kristin zarumieniła się. Ostatnio wcale nie czuła się piękną dziewczyną. Przeciwnie, odnosiła wrażenie, że jest zniszczona, zmęczona i stara.

- Uczesz się - poleciła Delilah. - Chińskie pantofelki czekają już pod drzwiami. Włóż je, idź do tego człowieka i dowiedz się o nim, ile zdołasz.

- Tak, tak - mruknęła kwaśno Kristin.

Delilah podała jej szczotkę do włosów i Kristin wspięła się na czubki palców, żeby przejrzeć się w niewielkim lusterku wiszącym nad kuchennymi drzwiami. Rozczesała bujne loki i zostawiła je rozpuszczone. Wyglądała trochę blado, więc uszczypnęła się kilkanaście razy w policzki. Ale wystarczyło, że przypomniała sobie o czekającym na nią za drzwiami mężczyźnie, by jej twarz, bez tych zabiegów, nabrała ślicznych, naturalnych kolorów.

- Dziękuję - powiedziała, oddając Delilah szczotkę i szybko wyszła z kuchni.

Najpierw weszła do pokoju stołowego. Matka zawsze chciała mieć wykwintną jadalnię, a nie prosty stół stojący pośrodku dużego pokoju, tak jak na innych ranczach. Mawiała zawsze: „Jadalnia to bardzo ważna rzecz” i Kristin w tej chwili całkowicie podzielała jej zdanie. Elegancki stół w stylu Chippendale był nakryty koronkowym obrusem i zastawiony srebrem, kryształami oraz talerzami Royal Dulton. Nakrycia były trzy. Czterech pracowników rancza jadało w szopie. Kristin nie chciała, żeby ich gość pomyślał, że na co dzień ona i Shannon zasiadają do wspólnego stołu z Delilah

i Samsonem. Inna *rzecz*, że na co dzień nie jadali też ze sreber, kryształów i talerzy Royal Duton.

Z jadalni przeszła do salonu. Tutaj również znajdował się ogromny kominek, a na podłodze przed nim rozłożony był tkany ręcznie dywan. Przez duże okna wpadały promienie światła. Matka lubiła jasne pokoje, toteż wiszące w oknach ciężkie, aksamitne, purpurowe kotary z białymi dodatkami, zaciągano dopiero po zachodzie słońca. Meble były bardzo eleganckie: mała kanapka, tapczan, śliczne, drewniane krzesła oraz szpinet, na którym obie siostry, kiedy były jeszcze dziewczynkami, uczyły się muzyki. To urocze, pełne wdzięku pomieszczenie z całą pewnością bardziej odpowiadałoby damie niż mężczyźnie.

Kristin podejrzewała, że gość i jej siostra znajdują się w sąsiednim pokoju, w bibliotece, która w swoim czasie spełniała zarazem funkcję biura ojca. Był to bardzo wytworny pokój, z rzędami książek, ogromnym dębowym biurkiem, a po obu stronach kominka stały obite cielęcą skórą ławy. Owo przestronne pomieszczenie, przesiąknięte wonią dobrego tytoniu i delikatnym zapachem skóry, zawsze kojarzyło się Kristin z ojcem. ..

Miała rację. Kiedy przekroczyła drzwi dzielące salon od biblioteki, ujrzała nieznanego... Nie, Cole'a, bo przecież nazywał się Cole Slater i teraz nie był już nieznanym.

Mężczyzna doskonale pasował do tego pokoju. Zdjął ozdobiony piórami kapelusz, ostrogi oraz surdut. Kristin przystanąła, bo uświadomiła sobie, że już na sam widok tego człowieka zaczynają drżeć pod nią kolana. Jest bardzo przystojny, choć w nietypowy sposób, pomyślała.

Nie był piękny w potocznym tego słowa znaczeniu,

ale jego stałowoszare źrenice miały jakiś zniewalający urok, a twarde, lecz znamionujące wrażliwość rysy kościstej twarzy ujawniały niezwykle siłę ducha. Kristin była pewna, że dostrzega w niej coś jeszcze, ale nie wiedziała co. Wydawało się jej tylko, że Cole Slater jest człowiekiem, który również stracił wszelkie złudzenia. Utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy ich oczy się spotkały. Obserwowała uważnie gościa i po chwili dopiero zorientowała się, że on również bacznie ją obserwuje.

Co więcej, zauważyła, że bardzo często spogląda na jej piersi. Za każdym razem, kiedy to robił, w kącikach ust pojawiał mu się lekki uśmiech. Prawie zamknęła oczy... prawie. W ostatniej chwili opanowała się i wytrzymała jego spojrzenie. Dumnie popatrzyła mu w twarz. Zdobyła się nawet na to, żeby zadziornie unieść brodę. Następnie musnęła wzrokiem szklaneczkę, którą trzymał w ręku - małą szklaneczkę, która zabawnie kontrastowała z rozmiarami jego opalonej na brąz dłoni o zadziwiająco smukłych palcach, i uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Widzę, że Shannon już o pana zadbała.

Obdarzył uśmiechem jej siostrę, która siedziała na obitej cielecą skórą ławie, a na twarzy miała pełen szczęścia uśmiech.

- Trudno o sympatyczniejszą i bardziej czarującą gospodynię niż pani siostra.

Shannon poczerwieniała na taki komplement, wybuchnęła dźwięcznym śmiechem i zerwała się z miejsca z pełną wdzięku niezgrabnością, która Kristin zawsze neodparcie kojarzyła się z rozbrykanym źrebakiem.

- Robię co mogę - oświadczyła. - Ale teraz muszę was sobie należycie przedstawić. Kristin, to jest pan

Cole Slater. Panie Slater, to moja siostra, panna Kristin McCahy.

Cole postąpił do przodu, ujął dłoń Kristin, popatrzył jej głęboko w oczy, a następnie pochylił głowę i złożył pocałunek na jej ręce.

- Jestem oczarowany, panno McCahy. Wprost oczarowany.

- Panie Slater...
- Po prostu Cole.
- Kristin...

Próbowała wprawdzie na podstawie jego akcentu wywnioskować, skąd pochodzi, ale ta sztuka jej się nie udała. Nie zaciągał jak południowcy, nie mówił też z akcentem któregoś ze stanów w Nowej Anglii. Z całą pewnością nie był cudzoziemcem, lecz nie używał również gwary Środkowego Zachodu.

Ciągle trzymał w ręce jej dłoń. Miejsce, którego dotknął ustami, paliło żywym ogniem. Dziewczynie zakręciło się w głowie. Czuła, że krew zaczyna się jej burzyć w żyłach, a górne partie ud oblewa jakiś płynny żar.

Cofnęła dłoń.

- Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować - powiedziała, nie ruszając się z miejsca i ponownie szukając wzrokiem jego wzroku.

- Nie ma w tym mojej zasługi. Przez czysty przypadek pojawiłem się w tym miejscu w najbardziej odpowiedniej chwili. To wszystko. Ale jestem straszliwie głodny, a zapachy dobiegające z kuchni zapowiadają wspianą ucztę. Dobry obiad wyrówna nasze rachunki.

Kristin uniosła brwi.

- Wybacz, ale zawdzięczam ci swoje życie, życie moich przyjaciół, mojej siostry, zawdzięczam ci to, że nie zwariowałam, zawdzięczam.

- Niewinność? - podpowiedział śmiało.

- Jestem trochę więcej warta niż jeden obiad - odparła cicho.

- No cóż... - Odstawił pustą szklankę i popatrzył na Kristin zamyślonym wzrokiem. - Też tak uważam. Jesteś więcej warta, dużo więcej warta niż jeden obiad, panno McCahy. Ale życie nie jest wyprawą do sklepu. Nie sprzedaję swoich usług. Cieszę się, że los skrzyżował nasze drogi w tak stosownej chwili. Jeśli rzeczywiście wam pomogłem...

- Sam wiesz najlepiej, że pomogłeś. Uratowałeś nas wszystkich.

- Zatem w porządku. Pomogłem. I cała przyjemność po mojej stronie.

Mówił dźwięcznym, głębokim barytonem, lecz dawało się w nim wyczuć jakiś twardy i zimny jak stal ton. Włóczęga, człowiek znakomicie władający bronią. Tego dnia zajrzał śmierci w oczy, ale pozostał opanowany, spokojny i obojętny jak głaz. Gdzie się tacy ludzie rodzą?

Kristin cofnęła się o krok. Cole był bardzo wysoki, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a ona zaledwie metr sześćdziesiąt i czuła się lepiej, kiedy stała w pewnej odległości od niego.

Dystans ten pozwalał jej opanować szaleńcze bicie serca, burzącą się w żyłach krew. Skonsternowana, zastanawiała się, co takiego jest w tym obcym mężczyźnie, że działa na jej zmysły tak piorunująco. Nigdy dotąd nie doświadczała podobnych emocji; nawet w obecności Adama.

Oczywiście, życie na ranczu sprawiło, że nawet Shannon nie była tak zupełnie niewinna. Ich ojciec hodował nagradzane byki i one stanowiły najcenniejszą część tego majątku. Bez względu na to, ile im bydła ukradną lub zarekwirują, Kristin zawsze będzie mogła

wrócić do hodowli. I to właśnie na przykładzie byków obie dziewczynki bardzo wczesnie dowiedziały się wszystkiego o akcie prokreacji.

Naturalnie, byki w akcji wyglądały nadzwyczaj brutalnie, ale w porównaniu z ludźmi pokroju Zeke'a Moreauu najstraszliwsze z tych zwierząt sprawiało wrażenie dżentelmena.

Nie, Kristin nigdy nie wyobrażała sobie, jakby to było z mężczyzną, którego ręce dotykają jej ciała, a usta całują nie tylko wargi.

Nieoczekiwanie na widok jego uśmiechu, naszła ją przerażająca refleksja, że Cole czyta w jej myślach. Jego uśmiech sięgał głębi jej serca, sięgał samego dna duszy, rozpalał w dziewczymie białe ognie.

Tak, Cole Slater z całą pewnością posiadał dar czytania w myślach Kristin!

Nachmurzyła się i odwróciła do gościa plecami, zapominając na chwilę, że przecież mężczyzna ten uratował ją od czegoś dużo, dużo gorszego niż sama śmierć.

- Myślę, że ów, tak drogocenny dla ciebie obiad, panie Slater, jest już gotowy - oświadczyła trochę złośliwie. - Shannon, czy możemy już usiąść do stołu?

Cole Slater ruszył za dziewczętami. Minęli salon i weszli do wytwornej jadalni, gdzie do nozdrzy mężczyzny po raz pierwszy dotarła emanująca od Kristin delikatna różana woń.

Natychmiast też przypomniał sobie, że jej skóra jest gładka i delikatna jak najdroższy jedwab, a opadające na ramiona lśniąca falą włosy są niczym złota przędza. Co więcej, w oczach dziewczyny palił się płomień jakiejś dobroci i mądrości.

Była bardzo piękną kobietą.

A przecież tak niedawno, tam, na zewnątrz, widział ją zupełnie inaczej. Wcale nie jako kobietę, ale bardzo młodą

dziewczynę. Widział brud rozmazany na jej twarzy, obserwował, jak rozpaczliwie walczy o swoją godność. Wizję tę przesłoniły mu nagle obrazy z jego własnej przeszłości i w jednej chwili zrobiło mu się czerwono przed oczyma, ogarnęła go nieprzytomna furia...

Powinien był zabić tego drania! Nieważna jego przeszłość, nieważny kodeks etyczny. Powinien był zabić tego łajdaka! Zeke Moreau! Rozpoznał Cole'a. I co z tego? Cole też go rozpoznał. Zeke był jednym z tych potworów, które karmiły się krwią, potworem, który bez zmrużenia oka strzeliłby do bezbronnego człowieka.

Zeke pożądał tej dziewczyny... Nie, kobiety, poprawił się w myślach Cole. Nie była już dzieckiem. Ile mogła mieć lat?

Dwadzieścia? Więcej? O jej pełnej dojrzałości mówiły oczy, wdzięk, z jakim się poruszała, pewność siebie, z jaką mówiła.

No i w pełni kobiece kształty. W jednej chwili ogarnęło go straszliwe pożądanie, poczuł palenie w lędźwiach - aż bolesne.

Serce zaczęło walić mu jak młotem. Tylko przyzwoita kobieta, dziewczyna, potrafi tak rozpaczliwie walczyć z kimś dużo silniejszym od siebie. Przyzwoita i niewinna - dzięki temu, że przybył w porę.

Tak, z takimi właśnie dziewczynami mężczyźni się żenią.

Do licha z Kristin, pomyślał ze złością. Tak, z całą pewnością jest jeszcze niewinna. Jej spojrzenie było zbyt szczere, zbyt wiele widział w jej oczach; zbyt go one kusiły. Mógłby się założyć, że dziewczyna również myślała o czymś, o czym myśleć nie powinna.

Zje i odjedzie. Był doświadczonym mężczyzną. Czyżby Kristin sądziła, że może bawić się z nim w kot-

ka i myszkę? Jeśli tak, to nie zdawała sobie sprawy, że to ona właśnie byłaby tą myszką.

Zasiedli do stołu.

- Tak więc... - zaczęła Kristin, podając mu talerz z naleśnikami. - Skąd przybywasz?

Obserwowała, jak nieznajomy radzi sobie z potrawą. Obficie polał ją gorącym masłem, po czym dodał chyba z litr syropu. Nabił naleśnik na widelec i całego wsunął do ust. Przez chwilę żuł, w końcu przełknął.

- Ha, to trudne pytanie! - odparł w końcu.

Trudne pytanie! Kristin poczuła się rozczarowana.

W jadalni pojawiła się Delilah z dzbankiem kawy.

- Panie Slater - powiedziała, nalewając mu parujący napój do filiżanki. - Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś?

- Nie, Delilah. Dziękuję, ale nie. To był najpyszniejszy obiad, jaki jadłem w życiu.

Delilah uśmiechnęła się promiennie, jakby ktoś nałożył jej na głowę koronę wysadzaną brylantami. Kristin popatrzyła na nią nad głową Cole'a pochylonego nad filiżanką z kawą.

Delilah spojrzała na nią ostro. Dziewczyna westchnęła ciężko w duchu i oczyma dała jej odpowiedź na nie zadane pytanie. Podobnie jak Delilah wiedziała, że potrzebują Cole'a Slatera.

- Dokąd teraz pojedziesz? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- W parę miejsc.

W parę miejsc! To również niczego nie wyjaśniało.

- No tak - ciągnęła niezrażona Kristin, bawiąc się niedbale widelcem. - Dzisiejszego ranka losy zawiodły cię w najbardziej odpowiednie miejsce pod słońcem.

Slater rozparł się na krześle i popatrzył na nią rozleniwionym wzrokiem.

- Mówiłem już, że cała przyjemność po mojej stro-

nie. - Kristin myślała, że nic więcej nie doda, ale on pochylił się w jej stronę, wsparł łokcie o blat stołu i utkwiał w niej stalowoszare źrenice. - Jak to się stało, że weszłaś w drogę temu Moreau? Należy do ludzi Quantrilla, prawda?

Kristin skinęła głową.

- Dała mu kosza, ot co! - wyjaśniła krótko Shannon.

- Quantrill to dawny znajomy naszego ojca. Skurwiel....

- Shannon! - krzyknęła Kristin.

Shannon nie zwracała na siostrę uwagi.

- Na Południu traktują go tak, jakby był samym Chrystusem, który zmartwychwstał...

- Shannon! Zapomniałaś, co mawiał ojciec? Masz być damą!

Poirytowana Shannon przesłała siostrze miazdzące spojrzenie, ale zamilkła.

- Posłuchaj - powiedziała z naciskiem Kristin. - Quantrill jest po prostu zwykłym łajdakiem i krętaczem. Kiedyś był maruderem w Kansas i żerował na mieszkańcach Południa. Później pojawił się w tych stronach z bandą abolicjonistów pod pretekstem, że będzie szpiegował. Szybko jednak zwrócił się przeciw Północy. Zmyślił bajeczkę, że maruderzy zamordowali mu brata. Nigdy, naturalnie, nie miał brata, ale tamci idioci uwierzyli.

Kristin zamilkła i popatrzyła na talerz.

- Quantrill jest mordercą - dodała po chwili cicho.

- Ale kobiet zazwyczaj nie rusza. Nie pozwala ich krzywdzić.

- Ale Zeke to nie Quantrill - nie wytrzymała znów Shannon. - Zeke morduje bez wyboru. Teraz poluje na Kristin, ponieważ nim wzgardziła. Rozumie pan, kochała Adama.

- Adama?

- Shannon!

- Adama. Adama Smitha - ciągnęła nie zrażona Shannon. - Adam był taki sam jak tatuś. W tej wojnie nie opowiadał się po niczyjej stronie. Interesowało go wyłącznie ranczo. Więc kiedy pojawili się grasanci i zabili tatę, skrzyknął grupę maruderów i ruszył w pościg za chłopcami Zeke'a. Kristin nie wiedziała o niczym do chwili, kiedy przyprowadzono jej konia należącego do Adama, który zginął gdzieś na południowym zachodzie. Nie wiemy nawet, gdzie jest pochowany. Dobrze, że przynajmniej tatuś tutaj leży.

Kristin poczuła na sobie wzrok gościa. Uniosła głowę, ale jego siwe oczy były bez wyrazu.

- Zatem dzisiejszy napad nie był przypadkowy - stwierdził Slater. Stwierdził, nie zapytał.

- Nie - zgodziła się Kristin.

Wstrzymała oddech. Świetnie zdawała sobie sprawę, że on już wie, iż kiedy odjedzie, ona znów znajdzie się na łasce łudzi Zeke'a.

- Powinnaś wynieść się z tych stron.

- Słucham?

- Powiedziałem, że powinnaś się stąd wynieść. Spakować dobytek, zapewnić sobie jakąś ochronę i wynieść się jak najdalej stąd.

Stwierdził to zimnym, obojętnym tonem. I co miała mu na to odpowiedzieć? Trafił tu przypadkowo i przypadkowo uratował jej życie. Nie jest jej niczego dłużny. To ona mu zawdzięcza bardzo wiele.

- Nie mogę wyjechać. Mój ojciec oddał życie za tę ziemię i teraz za wszelką cenę muszę ją utrzymać w swoich rękach. Jestem mu to winna.

- Jesteś mu to winna? Przecież on nie żyje, a ty, jeśli tu zostaniesz, skończysz jak on.

- I tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- A co mam powiedzieć innego? Przecież nie zmienię faktu, że jest wojna, że grozi ci tu śmiertelne niebezpieczeństwo. Uwierz mi, mimo najszczęśliwszych chęci nie jestem w stanie czegokolwiek zmienić.

Po raz pierwszy wyczuła w jego głosie gorycz. Przez chwilę zastanawiała się nad jego przeszłością, ale kiedy ujrzała, że Cole wstaje od stołu, ogarnęła ją panika. Nie mogła przecież pozwolić, żeby odjechał.

Również podniosła się z miejsca.

- Chyba nie zamierzasz tak od razu wyjechać? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- W gabinecie twego ojca zauważyłem kilka cygar. Czy mogę się poczęstować?

Kristin nie była w stanie wykrztusić słowa, więc tylko skinęła głową. A zatem jeszcze nie wyjeżdża! Chwała Bogu. Jeszcze nie teraz!

Słyszała jego kroki w jadalni, a potem, już cichsze, na dywanie obok schodów. Trzask frontowych drzwi powiedział jej, że Cole wyszedł z domu.

- Kristin, dobrze się czujesz? - zapytała Shannon, patrząc z niepokojem na starszą siostrę. - Tak okropnie pobladłaś.

Kristin uśmiechnęła się łagodnie, zagryzła wargę i skinęła głową. Ścisnęła dłoń Shannon.

- Pomożesz Delilah w kuchni? - zapytała.

Shannon skinęła głową, a Kristin ruszyła za Cole'em.

Znalazła go na tyłach domu. Stał oparty o korral, palił wyśmienite hawańskie cygaro i obserwował jednorocznego żrebaka cwałującego obok matki.

Słyszając kroki Kristin, odwrócił się i popatrzył na nią swymi niezgłębionymi, wypranymi z wszelkich emocji oczami. Obserwował ją z zainteresowaniem i czekał.

Nie wiedziała, jak mu powiedzieć to, co chciała mu

powiedzieć. Założyła ręce za plecy i podeszła do Cole'a z pogodnym uśmiechem. Kiedyś potrafiła usidlić każdego mężczyznę. Kiedyś! Kiedyś łatwo się śmiała, żartowała, flirtowała. Na zabawach chłopcy nie dawali jej odpocząć ani na chwilę.

Ale od tamtych czasów, zdawało się, upłynęły wieki. Wtedy potrafiła oczarować każdego chłopaka.

Ale teraz miała do czynienia nie z chłopcem, ale z mężczyzną.

Oparła się o drewniane ogrodzenie korralu.

- To dobre ranczo - oświadczyła.

Patrzy na mnie jakoś tak dziwnie nieustępliwie, pomyślała. Nie da się wziąć na mój wdzięk, na moje uśmiechy, żarty, flirty.

- To dobre ranczo - zgodził się.

- Już ci mówiłam, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni za to, co dla nas zrobiłeś.

- Już mi podziękowałaś.

Wskoczył na ogrodzenie, usiadł na nim i popatrzył z góry na Kristin.

- No, wyduś to wreszcie z siebie, panno McCahy - odezwał się, patrząc na nią twardo. - Widzę przecież, że masz mi coś do powiedzenia. Więc proszę, mów.

- Patrzcie, patrzcie, jaki spostrzegawczy jegomość - zadrwiła.

- Nie rób z siebie słodkiej idiotki, Kristin. To nie w twoim stylu.

Naburmuszona, obrzuciła go wściekłym spojrzeniem i odwróciła się plecami.

- Och, przestań! Popatrz na mnie i powiedz szczerze, o co ci chodzi - rozkazał, a Kristin uświadomiła sobie, że mężczyzna ma głos nawykły do wydawania poleceń; co więcej/przyzwyczajony jest do tego, że polecenia te są wykonywane.

No cóż, z nią nie pójdzie mu tak łatwo. Uniosła buńczucznie głowę i ruszyła w stronę domu.

Usłyszała, że zeskoczył z płotu, ale to, że za nią poszedł, uświadomiła sobie dopiero wówczas, kiedy poczuła na ramionach dotyk jego silnych dłoni. Odwrócił dziewczynę do siebie.

- Czego ode mnie oczekujesz, panno McCahy? - zapytał.

- Chcę, żebyś został - odparła prosto i szczerze.

Popatrzył na nią czujnie.

- Zgoda, zostanę do czasu, aż znajdziesz sobie jakąś odpowiednią ochronę.

- Nie. - Miała kompletnie wyschnięte usta. Nie potrafiła złożyć rozsądnego zdania. Przeciągnęła językiem po wargach. Czuła utkwiony w sobie wzrok Cole'a. - Ja... ja chcę, żebyś został... zostań tu do czasu, aż zrobię coś z Moreau.

- Po prostu ktoś musi go zabić.

- Tak.

Zapadła cisza. Mężczyzna baczny spojrzeniem obrzucił całą jej postać.

- Rozumiem - przerwał w końcu milczenie. - Chcesz, żebym ja to zrobił.

Kristin milczała.

- Ale ja nie zabijam ludzi, ot tak sobie.

Odruchowo chciała odwrócić twarz, ale siłą woli zmusiła się i wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie mogę porzucić rancza. Zapewnię ci pracę.

- Nie potrzebuję pracy.

- Ja... - zaczerwieniła się, po czym wyrzuciła z siebie desperacko: - Uprzejmię ci tu pobyt!

Uniósł brwi, lekko się uśmiechnął i w jednej chwili jego twarz stała się nieprzyzwoicie wprost przystojna.

Był dużo młodszy, niż początkowo sądziła.

- Ty? Ty mi uprzyjemnisz pobyt?

Skinęła głową. Chciała go uderzyć, zrobić cokolwiek, żeby tylko przestał taksować ją wzrokiem jak niewypróbowaną klacz wyścigową.

- Zbliź się - powiedział.

- Słucham?

- Chodź tu.

- Przecież... przecież jestem.

- Bliżej.

Dotknął jej. Położył jej ręce na ramionach i przyciągnął do siebie. Czuła jego twarde jak stal ciało, czuła bijący od niego żar. Czuła przez ubranie jego męskość, twardą i pulsującą, napierającą na jej uda. Spoglądała mu prosto w twarz szeroko rozwartymi oczami, niezdolna wyrzec słowa. Czuła, jak jego tors uciska jej piersi.

Uśmiechnął się surowo i dotknął ustami jej warg.

Zdumiewające, ale pieszczota była bardzo, bardzo delikatna i Kristin zawirowało w głowie. Jego usta w najwyższym stopniu przerażały ją, a jednocześnie wabiły, sprawiały, że topniała od środka jak wosk. Jego wargi tak pasowały do jej warg...

Cole'a ogarnęło pożądanie. Nacisnął językiem na zęby dziewczyny i zapadł głęboko w jej usta.

Kristin poddała się pieszczocie. Czuła, jak pod sukienką sutki tężeją jej rozkosznym bólem. Gwałcił jej usta, poruszając w nich rytmicznie językiem; zupełnie jakby robił to inną, twardą częścią swego ciała...

Kristin odniosła wrażenie, że coś eksploduje w niej w cudowny sposób. Czuła przepływające przez nią od stóp do głów fale gorąca. Nie chciała wcale odpowiadać na jego pocałunek, ale nie miała też siły, by mu się oprzeć. Było to okropne; może nawet gorsze jeszcze od tego, co jej się przytrafiło rano.

Ku swemu zdumieniu pożądała Cole'a całą swoją istotą.

Nieoczekiwanie wypuścił ją z objęć. Wypuścił tak nagle, że gdyby w ostatniej chwili ponownie nie chwycił jej w ramiona, upadłaby.

Popatrzył na Kristin z góry. Usta miała wilgotne i rozchylone. Oczy jej lśniły

Poczuł złość do samego siebie.

- Uprzyjemniłem? - spytał.

Kristin zawirowało w głowie. O czym on, do licha, mówi?

- Nawet nie umiesz się porządnie całować - oświadczył.

- Słucham? - spytała tak oszołomiona, że nie zdawała sobie jeszcze sprawy z gniewu, jaki ją ogarniał.

Cole nieoczekiwanie zmienił ton.

- Przepraszam - powiedział.

- A niech cię piekło pochłonie! - wybuchnęła Kristin. - Pragnę dobić z tobą targu. Jeśli zostaniesz..-.

- Dosyć - warknął ochrypłym głosem. - Wybacz, ale nie mam czasu ani cierpliwości na małą, durną dziewczycę.

- Co?

Zrobiła krok do tyłu i patrzyła na Cole'a osłupiała.

Ależ cham!

Chciało jej się wyć, płakać.

- Nie zamierzam wplątać się w żadne romanse, panno McCahy. Potrzebuję kobiety tak długo, jak długo robi to dobrze, i nie obchodzi mnie, kim jest ani czego chce. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem. A ja z kolei potrzebuję pomocy. Potrzebuję ciebie. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

- Powiedziałem, że dziewczice mnie nie interesują...

- W takim razie proszę tutaj zaczekać - warknęła

Kristin. Oczy pałały jej gniewem. - Znajdę jakiegoś pastucha, który mnie zerznie i wtedy... Och...!

Mężczyzna chwycił ją za dłoń i boleśnie wykręcił rękę.

- Zamknij się! Kto cię nauczył takich słów?

- Nie twój zakichany interes! Puść mnie! Slater, żyjemy w okrutnym świecie...

- Nie życzę sobie więcej słyszeć z twoich ust takich wyrazów.

- Za kogo się uważasz? Za mego ojca? - krzyknęła Kristin.

Czuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Ale wiedziała, że jest to ostatnia rzecz, którą wolno jej zrobić. Nie tu i nie teraz - i nigdy w obecności tego włóczęgi. Przy nim czuła się młoda, naiwna, głupia i zagubiona, jak Shannon.

- Puść mnie! - powtórzyła.

- Masz rację, nie jestem twoim ojcem. Jestem nieznanym mężczyzną, którego próbujesz zaciągnąć do łóżka.

- Zapomnijmy o tym. A teraz puść mnie i...

- Panno McCahy, proszę się uspokoić.

Mocno nią potrząsnął i dziewczyna znieruchomiała. Odchyliła do tyłu głowę. Włosy miała niczym płynne złoto. Utkwiła w jego stalowych źrenicach oczy, które były jak dwa lśniące jeziora błękitu.

- Daj mi trochę czasu - odezwał się cicho Cole. Ton, jakim wypowiedział te słowa, sprawił, że dziewczyna zaczęła drżeć. - Przemyślę twoją propozycję.

- Słucham? - wydukała.

Wypuścił ją z objęć.

- Powiedziałem, panno McCahy, że przemyślę twoją propozycję. Zostanę tutaj na noc. Zaniosę swoje rzeczy do baraku, a rano dam odpowiedź.

Skinął głową, odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę domu.



Kristin wróciła do domu, dławiąc się ze złości. Cole'a Slatera nigdzie nie spotkała, z czego była niezwykle zadowolona.

Upokorzył ją, upokorzył i tyle. Próbowwała sprzedać mu całą siebie, swój honor, godność i cześć - a on nie wyraził nawet zainteresowania oferowanym towarem. Gdyby nie była w tak rozpaczliwej sytuacji... Natychmiast powiedziała mu, co o nim naprawdę myśli; powiedziała mu, że jest zimnym draniem, rewolwerowcem, niewiele lepszym niż Zeke i jego banda.

Ale w głębi serca wiedziała, że słowa te dyktuje jej zwykła złość, że są niesprawiedliwe. Ostatecznie Slater uratował ją przed człowiekiem, który zamordował jej ojca.

Kristin zaciągnęła wobec Cole'a Slatera olbrzymi dług.

I spłacam go, pomyślała gorzko. Własną godnością.

W jadalni zastała Delilah, która śpiewając cicho jakiś murzyński *spiritual*, zbierała ze stołu kryształ. Nie przestając nucić i nie przerywając pracy, popatrzyła na Kristin.

- Gdzie jest Shannon? - zapytała dziewczyna.

- Poszła karmić kury.

Postanowiła pomóc Delilah. Kiedy jednak zbyt energicznie chwyciła talerz z kruchej, chińskiej porcelany, Murzynka głośno zaprotestowała.

- Przepraszam - bąknęła dziewczyna i bezradnie opuściła ręce.

- Kristin, przez wzgląd na te delikatne przedmioty, które zostały po twojej matce, zajmij się czymś innym - fuknęła Delilah.

Kristin odeszła od stołu i założyła ręce za plecy.

- Zapytałaś pana Slatera o jego plany? - spytała Delilah.

- Nie interesują mnie plany pana Slatera - odparła pozornie obojętnie dziewczyna.

Delilah obrzuciła ją szybkim spojrzeniem.

- Ten człowiek uratował nam życie - przypomniała ostro.

Kristin odwróciła się gniewnie i wyjrzała przez okno.

- Uratował... i figę go obchodzi nasz dalszy los.

- Wyjedzie?

Kristin westchnęła. Za szybą widziała uwijającą się wśród ptactwa Shannon. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinna posłuchać Cole'a i wyjechać. Shannon, Delilah i Samson znaczyli dla niej zbyt wiele, jej obowiązkiem jest uczynić wszystko, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Ale przecież tu była jej ziemia obiecana. Jej dom. Dokąd miała pójść? Południe było jej obce - zwłaszcza po tym, co grasanci zrobili jej ojcu - ale z drugiej strony - nie chciała porzucić Missouri i przenieść się na tereny zajęte przez Jankesów. Chciała walczyć, ale była bezbronna. Nieważne, dokąd by się udała - do Richmond, Wirginii czy Waszyngtonu, Życie wszędzie było równie okrutne jak tutaj, na granicy, w „pławiącym się we krwi Kansas”. Ludzie wszędzie bezlitośnie mordowali się nawzajem.

- Kristin? - wyrwał ją z zamyślenia głos Delilah.

- Slater... - mruknęła.

Upokorzył ją. Chciała dać mu najwyższą nagrodę,

na jaką dziewczynę stać, a on brutalnie odparł, że nie jest tym zainteresowany.

- Kristin, jeśli nawet jesteś na niego o coś zła, to pamiętaj o nas. - Delilah, wymachując widelcami, z wyrazem troski na twarzy, podeszła do Kristin.

- Ludzie Quantrilla wrócą. Pamiętasz, co zrobili z twoim ojcem. Mam synka, Kristin, i...

- Och, zrobiłam, co w mojej mocy - odparła zniecierpliwiona dziewczyna. - Slater zostanie u nas na noc.

- To wspaniale.

- Nie, nie - sprostowała natychmiast Kristin. - Prześni się w szopie, a rano... rano zapewne odjedzie.

- Rano? - powtórzyła tępo Delilah. - Kristin, nie zrozum mnie źle, ale jeśli postarasz się być dla niego wyjątkowo miła...

- Delilah, sama już nie wiem, co jest właściwe, a co nie - odparła Kristin, bo nieoczekiwanie wrócił jej dobry humor. - Zrobiłam wszystko, co mogłam. Naprawdę! - Wzruszyła ramionami. - Zobaczymy się później.

Podeszła do Murzynki, pocałowała ją w policzek i ruszyła w stronę schodów. Czuła na sobie zaniepokojony wzrok starszej kobiety, ale kiedy już znalazła się na górze, przestała o niej myśleć. Dom był taki pusty.

Pokoje Delilah, Samsona i ich dziecięcia mieściły się wyżej. Kristin i Shannon miały sypialnie na pierwszym piętrze. Pokój Matthew i ogromna sypialnia ich rodziców stały puste. Puste były również oba pomieszczenia gościnne. Od bardzo dawna nikt ich nie odwiedzał.

Kristin ruszyła korytarzem do pokoju, który należał niegdyś do jej rodziców. Otworzyła drzwi i z lekkim uśmiechem przystanęła w progu. Po śmierci matki, ojciec nie potrafił rozstać się z ogromnym, bawarskim łóżem małżeńskim, które tak bardzo lubiła jego żona, i sypiał w nim do końca życia. Delilah nieustannie pie-

czołowicie polerowała mahoń, z którego było wykonane, i zmieniała pościel; zupełnie jakby lada chwila pan miał powrócić.

Kristin przekroczyła próg. Po obu stronach okna znajdowały się wielkie szafy. W jednej wisały ubrania ojca, a w drugiej matki.

Zmiany nie przychodzą nam łatwo, pomyślała melancholijnie. Jak mawiał ojciec, w ich żyłach płynęła irlandzka krew i dlatego byli sentymentalni. Ale to dobrze. Przeszłość należy chronić. Dlatego marzenia o ziemi obiecanej ciągle żyły. Być może kiedyś w tym pokoju zamieszkają wnuki, prawdopodobnie dzieci Matthew.

Jeśli naturalnie wróci z wojny, pomyślała. Niełatwo było dokonać tej sztuki chłopakowi z Południa, który przystał do Jankesów.

Kristin odwróciła się w stronę drzwi. Jeśli Zeke zrobi to, co zamierza, żadne z nich nie doczeka końca wojny. Kiedy przestanie ich torturować, zabije, a dom puści z dymem.

Wyszła z pokoju rodziców, dokładnie zamknęła za sobą drzwi i pośpieszyła do swojej sypialni. Tam zdjęła odświętną suknię, niedbale cisnęła ją na łóżko. Ściągnęła pantofle i gorset. Nałożyła halkę, bawełnianą bluzkę koszulową, bryczesy i wysokie buty do konnej jazdy.

Ruszyła do stajni. Nie zwracając uwagi na siodło, zdjęła z białego w ścianę haka uzdę i przeszła do boksu Debiutantki.

Debiutantka była arabską klaczą czystej krwi i należała kiedyś do ojca. Dostał ją w prezencie od jednego ze swoich partnerów, z którymi robił interesy w Chicago

Kristin uwielbiała tę kasztankę z białymi łatami na nogach i niezwykle długim ogonem. Czasami aż sama się dziwiła, że jeszcze nie skradziono przepięknego

zwierzęcia. Na wszelki wypadek wypasała je na jednym z odległych pastwisk.

- Witaj, śliczna - szepnęła Kristin, wsuwając koniowi do pyska wędzidło.

Debiutantka trąciła ją nosem. Kristin poklepała klacz po chrapach i wyprowadziła tyłem z boksu. Kiedy odjeżdżała, dała koniowi luźne cugle.

Jazda upajała dziewczynę. Upajał ją wiatr smagający twarz, upajała świeżość i chłód powietrza. Kristin cieszyła się, że nie zabrała siodła, ponieważ mogła lepiej czuć konia, czuć jego siłę, grę jego mięśni. Pochyliła nisko głowę i po policzkach smagneła ją rozwiana grzywa konia. Dziewczyna roześmiała się głośno.

Cieszyła się samym życiem.

W pewnej chwili spostrzegła, że ktoś podąża jej śladem.

Obejrzała się, ale oślepiły ją własne, rozwiane w pędzie włosy

Jej tropem jechał samotny jeździec.

Ogarnął ją strach. Już w tej chwili klacz pędziła z wiatrem w zawody. Gzy zwierzę zdoła wykrzesać z siebie jeszcze więcej siły?

- Debiutantko, proszę, gnaj, gnaj jeszcze szybciej!

Z całych sił ścisnęła udami boki konia. Klacz wyraźnie przyśpieszyła, ale ścigający był szybszy. Przed Kristin, z prawej strony, pojawił się las wysokich dębów. Dziewczyna postanowiła zgubić w nim swego prześladowcę.

Kiedy zamajaczyły przed nią pierwsze drzewa, wjechała do lasu. Gdy dalszy galop stał się niemożliwy, ściągnęła koniowi cugle i zaczęła posuwać się stępa, klucząc to w lewo, to w prawo między drzewami. Zagłębiła się w labiryncie krzaków i gęstych zarośli, zsiadła z konia i dalej szła już pieszo.

Serce waliło jej jak młotem. Gorączkowo rozglądała się za jakąś kryjówką.

Jeśli to wrócił Zeke i jeśli ją tutaj znajdzie.

W takim przypadku pozostawałaby jej tylko modlitwa o szybką śmierć.

Była sama i prosiła Boga o odwagę. Musiała pokonać wroga.

Za jej plecami trzasnęła gałąź. Odwróciła się gwałtownie. Nikogo nie dostrzegła, ale wiedziała, że ścigający również zsiadł z konia i posuwa się jej śladem.

Nad głową miała dach utkany z gałęzi i listowia. Wokół panował zielony półmrok i chłód. Zaczęła drzeć.

Pomyślała posepnie, że nie wzięła żadnej broni. Postąpiła nad wyraz głupio. Po wydarzeniach tego ranka oddaliła się od domu sama, nie zabierając nawet noża.

Rozejrzała się po ziemi i dostrzegła solidny kij.

Z tyłu ponownie trzasnęła gałąź. Kristine puściła uzdę i przycupnęła pod ogromnym dębem, oparta plecami o jego pień. Ktoś nadchodził.

Zamachnęła się, żeby zadać pierwszy cios.

- A niech to szlag! - zaklął ktoś, więc Kristin zadała straszliwy cios... prawie zadała. Mężczyzna uniósł ramię i kij ześlizgnął się.

Impet uderzenia sprawił, że Kristin przewróciła się, a w następnej sekundzie przeciwnik był tuż przy niej... Dziewczyna z całej siły uderzyła go w twarz. Znów głośno zaklął.

- Kristin, opanuj się! - krzyknął.

Chwycił ją za nadgarstki i przycisnął do ziemi.

Zamrugała oczami i znieruchomiała.

Cole Slater.

- To ty?

Mężczyzna potarł szczękę.

- Rączkę to ty masz - mruknął.

- Rączkę - powtórzyła oszołomiona. - Ty... ty...
Trzęsa się ze strachu i ze złości.

Właściwie wcale nie chciała tego zrobić, ale po ostatnich przejściach była roztrzęsiona i bliska hysterii.

Ponownie go uderzyła.

Już unosząc ramię, wiedziała, że popełnia ogromny błąd.

Cole zmrużył oczy. Zesztywniał. Kristin nerwowo zamruwała powiekami, wciągnęła głęboko powietrze w płuca i rozejrzała się za jakąś bronią. Zaciśnęła palce na kiju. Uniosła go.

Cole wyszarpnął jej gałąź, złamał ją na kolanie, a następnie przycisnął dziewczynę do siebie.

- Co ty wyprawiasz? - warknął.

Nigdy jeszcze nie wiedziała go w takiej furii; nawet wtedy, gdy rozprawiał się z Moreau i jego bandą, był zimny jak wiosenny strumień. Teraz oczy miał chmurne jak zimowe niebo, a jego usta tworzyły cienką, białą kreskę.

Kristin zaciśnęła zęby i próbowała wyswobodzić się z jego uścisku.

- Pytasz, co robię? Śmiertelnie mnie wystraszyłeś!
Ścisnął ją jeszcze mocniej i wysyczał:

- Ty durna babo! Po tym, co wydarzyło się rano, jedziesz sobie bez troski do lasu?

- Nie jestem dla ciebie żadną babą i nie jestem głupia, panie Slater. I byłabym wdzięczna, gdybyś łapy trzymał przy sobie.

- No tak, znów wielka dama z Południa.

Kristin zaciśnęła zęby, pragnąc opanować złość; złość i inne emocje. Slater był zbyt blisko. Dotykał jej, czuła emanujący z niego gniew, siłę, męskość i bała się własnych reakcji.

- Człowieku, puść mnie! Za kogo się masz?

- Za kogoś, kto ocalił ci życie.
- Mam już dosyć dziękowania ci!
- Dziękowania? Kijem po grzbiecie?
- Przecież nie wiedziałam, że to ty! Dlaczego nie zwołałaś? Dlaczego...

- Jechałaś trochę za szybko, żeby prowadzić towarzyskie pogawędki.

- Więc dlaczego mnie goniłaś?

- Ponieważ bałem się, że wpadniesz w kolejne kłopoty.

- A co cię to obchodzi? Przecież uznałaś, że nie jestem warta twego zainteresowania.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. Nie dość, że jesteś babą, to na dodatek głupią babą. Czyż nie pojawił się dzisiaj rano Zeke Moreau? Czy nie obroniłem cię przed zbiorowym gwałtem?

- Gdybyś się nie wtrącił, teraz przynajmniej nie byłabym głupią dziewczyną.

Kristin osłupiała, kiedy Cole uderzył ją w twarz. Mimo że mężczyzna uderzył bardzo słabo, w oczach stanęły jej łzy. Nie spodziewała się, że tak go rozgniewa i nie wyobrażała sobie, że ponownie może się aż tak upokorzyć.

- Puść mnie.

- Nie waż się tak po raz drugi przy mnie mówić. Rozumiesz?

Wstał i wyciągnął dłoń w jej stronę. W pierwszej chwili chciała zignorować jego pomoc, ale on wcale na to nie zwrócił uwagi. Chwytał ją za rękę i postawił na nogi.

W tym momencie naprawdę go nienawidziła. Nienawidziła Cole'a za to, że tak bardzo go potrzebowała. Nienawidziła go za żar, jaki w niej rozpalał samą swoją obecnością, każdym dotykiem. Nienawidziła go za to, że tak bardzo za nim tęskniła. Fascynował ją jego za-

pach, pragnęła dotykać jego twarzy, czuć miękkość jego brody.

Aż do bólu pragnęła jeszcze raz zatonać w jego objęciach, sycić się jego pocałunkami...

Oswobodziła dłoń, gwizdnęła na Debiutantkę i ruszyła w jej stronę. Cole, wycierając kapelusz połą surduta, szedł za dziewczyną.

- Kristin...

Odwróciła się w jego stronę.

- Wiesz, zastanawiam się, skąd pochodzisz - wyszczała. - Bo džentelmenem z Południa na pewno nie jesteś.

- Nie? - zapytał. Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. W końcu wykrzywił usta w pełnym ironii grymasie. - A ja z kolei zaczynam wątpić, czy ty jesteś damą z Południa... Czy w ogóle jesteś damą.

Uśmiechnęła się wyniośle, skrzyżowała ręce na piersi, odwróciła się i pomaszerowała w stronę czekającego cierpliwie wierzchowca.

- Wybacz, ale ostatnio nie miałem czasu zwracać uwagi na niuanse życia towarzyskiego.

Do kłaczy dotarli jednocześnie. Teraz Kristin również nie chciała jego pomocy, ale on po prostu podniósł ją i posadził na końskim grzbiecie. Uśmiechnął się szelmowsko.

- Chyba przyjmę twoją szczodłą ofertę.

- Moją szczodłą ofertę?

- Tak. Zapewne będę musiał pójść z tobą do łóżka, żeby obronić cię przed samą sobą.

Dziewczynie wydało się, że na króciutką chwilę załśniły mu oczy. Uśmiech sprawił, że jego twarz stała się pogodna i bardzo młoda. Wybuchnęła śmiechem.

Chciała coś powiedzieć, poinformować go, że propozycja jest już nieaktualna, że woli iść do łóżka z Moreau i całą jego bandą, niż spędzić jedną noc z nim. Ale

ugryzła się w język. Byłaby to oczywista nieprawda. A poza tym on się oddalił. Podszedł do swego czarnego mustanga, chwycił cugle i z świadcząca o wieloletniej praktyce wprawą wskoczył na siodło.

Kristin wyjechała z lasu i skierowała się prosto do domu. Nie obejrzała się ani razu. On podążał za nią w milczeniu.

Kiedy dotarli na miejsce, Kristin znów drżała. Nie chciała widzieć Cole'a na oczy, nie chciała z nim rozmawiać, nie chciała go w ogóle znać. Cała sprawa okazała się jakąś okropną pomyłką. Cole Slater powinien spędzić noc na jej ranczu i rano odjechać.

Przecież nie wiem nawet, kim jest, pomyślała przejęta nagłą zgrozą.

Kiedy przed domem zsiadli z koni, nawet nie spojrzęła w jego stronę.

- Pomocnicy jedzą kolację o szóstej - oświadczyła lodowatym tonem. - Dobrych snów. I jeszcze raz dziękuję za to, co dla nas zrobiłeś. Będę ci wdzięczna do końca życia.

- Kristin...

Udała, że go nie słyszy i ruszyła z Debiutantką do stajni. Serce waliło jej przyspieszonym rytmem, była przekonana, że Cole pójdzie za nią.

Nie poszedł.

Nie wytarła nawet konia, co koniecznie powinna zrobić. Wprowadziła tylko klacz do boksu i zdjęła jej uzdę.

Kiedy szła w stronę domu, w głowie miała kompletny zamęt.

Cole'a Slatera nie było na podwórku i Kristin energicznym krokiem weszła do pogrążonego w ciszy domu. Ponieważ na dworze świeciło oślepiające słońce, Delilah zaciągnęła w oknach kotary. Dziewczyna zagryzła wargi i zastanowiła się chwilę, co ma robić. Była

zdruzgotana. Wszystko stracone. Powinna była podziękować losowi za to, że wszyscy żyją, i zdecydować się na wyjazd; pogodzić się z faktem, że sny i marzenia legły w gruzach.

Poza tym wcale nie była pewna tego, czy chce zostać na ranczu. Tak wiele straciła. Ojciec. Adam. Jej świat wyrócił się do góry nogami. Powinna coś zrobić, żeby to wszystko uratować.

Coś!

Ale to coś było stanowczo za mało.

Cicho westchnęła i zaczęła wchodzić na piętro. Kiedy była już na górze, stanęła jak wryta. Mocno zabiło jej serce. Ktoś był na piętrze.

Ktoś był w sypialni rodziców.

Najpierw próbowała w siebie wmówić, że to Delilah albo Shannon, ale przecież z dołu dobiegał ją głos Murzynki i wesołe pokrzykiwania siostry.

- Boże! - szepnęła, chwytając się za gardło.

I nagle ogarnęła ją nieprzytomna wściekłość. Nie pozwoli, żeby Zeke lub któryś z jego kumpli wchodził do tego pokoju. Ten pokój był święty. Było to miejsce, w którym żyły wszystkie jej marzenia.

Pobiegła. Gdyby w środku rzeczywiście znajdował się Zeke, rozdarłaby go na strzępy gołymi rękami.

Ale to nie był Zeke. Był to Cole Slater. Stał nad rozwiniętym kocem, z którego wyjmował różne przedmioty. Popatrzył zaskoczony na Kristin. Na widok jej wzburzenia zmarszczył brwi i podszedł do niej szybkim krokiem.

- Kristin, co się stało?

Potrząsnęła tylko głową, niezdolna wymówić słowa.

- Nie... nie spodziewałam się ciebie - wydusiła w końcu. - To znaczy, nie spodziewałam się ciebie w tym pokoju.

Wzruszył ramionami, wrócił do rozłożonego koca, wyjął z niego koszulę i ruszył w stronę szafy ojca.

- To nie mój pomysł. Delilah uparła się, że w domu jest dużo wolnego miejsca i... - Urwał i popatrzył bacznie na dziewczynę. - Może rzeczywiście źle zrobiłem? Jeśli chcesz, opuszczę dom i...

Przełknęła głośno ślinę i potrząsnęła głową.

- Nie... Nie, w porządku.

Najwyraźniej zamierzał do niej podejść, więc gwałtownie odwróciła się na pięcie i szybko uciekła do swego pokoju.

O zmierzchu udała się do pomocników. Było ich czterech. Jacob, starzec blisko siedemdziesięcioletni, jego wnuki, Josh i Trin - obaj młodszy nawet od Kristin - których ojciec zginął pod Manassas na samym początku wojny, oraz Pete, jeszcze starszy od Jacoba, jakkolwiek nie przyznałby się do tego za skarby świata. To wszyscy, którzy jej zostali - dwóch starców i dwóch wyrostków. Ale przeżyli. Dzięki Bogu, przeżyli.

Dowiedziała się, że znów zniknęło kilka sztuk bydła, ale wiadomość tę skwitowała wzruszeniem ramion. W okolicy ciągle przecież grasowała banda Zeke'a...

- Słyszeliśmy o wszystkim, panienko - oświadczył Pete. - Myślę, że powinnaś opuścić te okolice.

Kristin wzburzyła mu siwe włosy.

- A co będzie z tobą, Pete?

- Skoro dożyłem swego wieku, to już tutaj spędzę resztę dni.

- Pomyślimy - odparła z uśmiechem Kristin.

- Słyszałem, że w domu zamieszkał człowiek na zwiskiem Slater.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Tak, zamieszkał. Dlaczego o to pytasz? Znasz go?

Pete popatrzył na patyk, który właśnie strugał, i potrząsnął głową.

- Trudno powiedzieć, żebym go znał.

Odniosła wrażenie, że stary człowiek skłamał, ale nie miała zielonego pojęcia dlaczego. Przecież zawsze był w stosunku do niej uczciwy.

- Wymieniłeś jego nazwisko. Slater.

- Tak, słyszałem o nim. Od kogoś. - Uniósł głowę i wycelował w Kristin palec. - Nie poradzisz sobie z typami pokroju Zeke'a Moreau. Nie ma w nich nic z człowieka; ani litości, ani uczciwości... - Splunął na ziemię. - Dotyczy to zarówno maruderów z Północy jak i grasantów z Południa. Musisz się stąd wynieść.

- Wszystko możliwe - odparła z roztargnieniem Kristin i wstała z wiązki siana. - Może.

- Twój ojciec nie żyje. Jesteś bystra i twarda, ale na Zeke'a to stanowczo za mało.

Popatrzył na nią wyczekująco. Chciało się jej śmiać. Wszyscy myśleli, że sobie poradzi. Myśleli, że wywróci kilka razy oczami do Cole'a Slatera, a ten natychmiast rzuci wszystko i ruszy jej na odsiecz. Gdyby tylko znali prawdę...

- Porozmawiamy o tym jutro - oświadczyła.

Do domu wróciła akurat na kolację.

Delilah i tym razem nakryła stół chińską porcelaną oraz kryształami. Podała szynkę na miodzie, słodkie ziemniaki i ciasto z czarnymi borówkami.

Przez całą kolację Shannon i Cole zajęci byli rozmową; jakby na świecie nie szalała wojna, zupełnie jakby nie istniało zło. Shannon była śliczna i czarująca, Cole zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu.

Kristin próbowała uśmiechać się pogodnie i włączać do rozmowy, ale cały czas miała świadomość, że Slater ją odrzucił, podczas gdy ona tak rozpaczliwie go po-

trzebową. Nienawidziła go z całej duszy, a zarazem, kiedy ich ręce stykały się, gdy jednocześnie sięgali po tę samą potrawę, ogarniało ją dziwne drżenie.

Piła stanowczo za dużo madery.

Kiedy po kolacji Slater wyszedł na werandę, żeby wypalić cygaro, postanowiła wziąć kolejną kąpiel. Miała nadzieję, że Delilah nie nabierze żadnych podejrzeń i pomyśli, że dziewczyna chce jeszcze dokładniej zmyć z siebie lepki osad, jaki zostawiły na niej wydarzenia tego dnia.

Po kąpieli włożyła na siebie najlepszą koszulę nocną, pochodzącą jeszcze z wyprawy ślubnej jej matki. Nocny strój opadał łagodnymi fałdami do samej ziemi, uszyty był z delikatnego, przeźroczystego jedwabiu, a w miejscu, gdzie krył piersi, widniały delikatne koronki.

Usiadła na skraj łożka i czekała. Pozornie była spokojna, ale wewnątrz targała nią burza uczuć.

Musiała uczynić wszystko - dosłownie wszystko - żeby Cole został i nie mogła się targować o cenę.

Dokładnie to właśnie musiała zrobić.

Jeszcze później usłyszała jego kroki na schodach. Usłyszała, jak idzie do sypialni jej rodziców, jak otwiera drzwi, a potem je za sobą zamyka.

Czekała i czekała. Czas włókł się jak ślimak.

A ona czekała.

W końcu podniosła się z łożka i bosy ruszyła do drzwi. Wyszła na korytarz. W pewnej chwili zawahała się, sądząc, że zabraknie jej odwagi, by zrobić ów ostatni krok. Ale determinacja nieubłaganie pchała ją do przodu. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie popadła w jakieś szaleństwo. Sama już nie wiedziała, czy żyje w dotychczasowym świecie, czy też zupełnie gdzieś indziej.

Wmawiała w siebie, że nienawidzi Cole'a. Przecież już raz ją odrzucił.

Ale jeszcze nadejdzie dzień, kiedy z nawiązką odpłaci mu za wszystkie upokorzenia. Położyła dłoń na gałce, powoli ją przekreśliła i wślizgnęła się do pokoju.

Wewnątrz było ciemno i mrok rozświetlał jedynie delikatny blask księżyca sączący się przez okno. Kristin kilkanaście sekund stała bez ruchu.

Postąpiłam głupio, myślała z rozpaczą. Zwlekałam zbyt długo. Cole dawno już zasnął.

Ale nie.

Siedział na łóżku. Był nagi do pasa i patrzył na nią. Mimo ciemności wiedziała, że bacznie ją obserwuje, że czeka i że jest wyraźnie rozbawiony.

- Wejdz, Kristin - powiedział cicho.

Nie szeptał jak ktoś, kto boi się, że złapią go na gorącym uczynku. Mówił cicho ze względu na pozostałych mieszkańców domu, którzy już spali, a on nie chciał mącić im snu.

Nie dba o konwenanse, błysnęło Kristin w głowie. Najwyraźniej liczył na to, że podejmie jego grę.

Mężczyźni!

- Przyszłam... przyszłam sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz.

- Pewnie - uśmiechnął się domyślnie. - No cóż, niczego nie potrzebuję. Ale dzięki za dobre chęci.

Ależ z niego łobuz, pomyślała. Nie stara się ułatwić sprawy.

- Jak na wizytę w sypialni obcego mężczyzny ślicznie się ubrałaś - zauważył z wyraźnym południowym akcentem.

Skąd on, do licha, pochodzi, pomyślała całkiem bez związku z sytuacją.

- To miło, że ci się podobam! - parsknęła.

- Och, bardzo mi się podobasz.

Taka rozmowa do niczego nie prowadziła.

- W takim razie...
- Kristin, chodź tutaj.
- To ty chodź tutaj!

Uśmiechnął się.

- Skoro tak chcesz.

Powinna się była domyślić, że jest nagi.

Cóż, ostatecznie przysłała tu, żeby go uwieść.

Dotąd nie próbowała nawet wyobrazić sobie jego ciała. Nie wyobrażała sobie jego długości. Sama zresztą już nie wiedziała, co sobie wyobrażała. Mrok i wzburzona pościel... Przecież doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że pod kołdrą leży nagi mężczyzna.

Ale nie brała pod uwagę szczegółów.

Starła się patrzeć mu tylko w twarz, bo czuła, że na policzki występują jej krwiste rumieńce. Chciała uciec, chciała krzyknąć, ale stała w miejscu jak wmurowana, niezdolna wykonać najmniejszego ruchu.

A jednak co chwila, odruchowo, spuszczała wzrok w dół. Wiedziała, że Cole to widzi i jest wyraźnie rozbawiony. Wsparłszy dłonie na biodrach, stał przed nią w bezruchu jak posąg.

Uniosła zadziornie podbródek i popatrzyła mu w twarz.

Nieoczekiwanie oparł dłonie o ścianę, po obu stronach jej głowy.

- Podoba ci się to, co zobaczyłaś? - spytał uprzejmie.

Na policzkach czuła jego oddech. Czuła bijące od niego ciepło. Zagryzła wargi i z całych sił starała się opanować drżenie. Oderwał dłonie od ściany i przeciągnął palcami po jej policzku. Wpatrywała się w niego, niezdolna wykonać ruchu. Wiedziała, że on czuje, iak drży. Nie spuszczał z niej wzroku. Przesunął rękę w dół i zamknął w dłoni jej pierś.

Gest był tak intymny, tak śmiały, że Kristin z najwyższym trudem powstrzymała okrzyk. Masował kciukiem sutkę i dziewczyna doznała graniczącej z bólem rozkoszy. Zaciskała zęby, żeby nie jęczeć. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że Cole patrzy jej prosto w twarz, starając się wyczytać, co ją nurtuje.

Strąciła jego dłoń i próbowała wyslizgnąć się mu z objęć, ale on chwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany.

- Raz już uraziłem twoje uczucia. Ale tobie nie brakuje pewności siebie. Wiesz, że jesteś piękna. Masz złociste włosy, a ciała pozazdrościłaby ci sama Wenus. Kristin, to nie ty jesteś nieczuła i wyprana z emocji. To ja, ja taki jestem. Nie znajdziesz we mnie tego, czego potrzebujesz, czego pragniesz. Czyż tego nie rozumiesz? Ja cię tylko pożądam. Jestem normalnym mężczyzną i mam wszystko, co Bóg podarował mężczyźnie. Pożądam cię. Teraz. Do licha, pragnąłem cię już wtedy, gdy wydarłem cię z łap Zeke'owi. Ale przecież wcale nie jestem lepszy od niego. Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

Oparła się mocno o ścianę i zacisnęła powieki. Nienawidziła Cole'a i nienawidziła siebie. Ponownie była kompletnie zagubiona.

- Wiem jedno: jesteś mi potrzebny. Mówisz o uczuciach? Widziałam, jak mordowali mego ojca, Adam...

- Tak, i Adam.

- Adam też nie żyje. Jeśli więc boisz się, że spotkają cię z mojej strony jakieś kłopoty, jesteś głupcem. Jesteś mi potrzebny tylko po to, żeby pokonać Zeke'a Moreau.

- Chcesz, żebym go zabił.

- Zapłacę każdą cenę.

- Już ci mówiłem... Nie zabijam ludzi z-zimną krwią.

- W takim razie chcę obrony.
- Tak bardzo ci na tym zależy?
- Tak. I dobrze o tym wiesz.
- Więc pokaż mi jak bardzo.

Kiedy zrobiła krok w jego stronę i zarzuciła mu ręce na szyję, uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszego pojęcia, co robić dalej. Wiódł ją wyłącznie instynkt, instynkt i nic więcej.

Przytuliła Cole'a tak mocno, że przez cieniutką koszulę czuła każdy szczegół jego nagiego ciała. Wspięła się na palce i przywodząc sobie na pamięć poprzedni pocałunek Cole'a, przycisnęła wargi do jego ust. Czuła go, czuła, jak źródło pożądania mężczyzny pulsuje w zetknięciu w jej ciałem. Czuła na sobie jego tors, brzuch i uda. Czuła, jak zapada się w jego potężne ramiona.

Wsunęła mu język do ust i zawirowało jej w głowie. Przyszła tu na zimno, z zamiarem uwiedzenia go, ale teraz naprawdę go pragnęła, chciała, żeby zagarnął ją bez reszty...

Kiedy tulił ją w ramionach, czuła, jak rośnie w nim namiętność, czuła jego pasję i przez chwilę napawała się zwycięstwem. Płonęła, tęskniła, przepełniała ją jakaś przedziwna żądza, ale nie wiedziała, dokąd ją to wszystko zaprowadzi. Jego usta spoczywały na jej wargach, smakowały je i z każdą upływającą sekundą dziewczyna wpadała w coraz większą otchłań pożądania. Puls rozrywał jej skronie, wypełniał łoskotem czaszkę, w uszach huczały wszystkie wzburzone morza świata. Jego pocałunek był dla niej całym życiem, jego ciało - całym światem.

Bała się.

I była w ekstazie.

Nieoczekiwanie wypuścił ją z objęć.

Oddychał ciężko, chrapliwie.

Długo, bardzo długo spoglądał jej w twarz. Czuła wbity w siebie wzrok, czuła, że zbliża się burza. Potrząsnął głową.

- Chodźmy do łóżka, Kristin.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Ogarnęła ją furia.

- Najpierw robisz ze mnie idiotkę, a teraz... Niech cię szlag...

Zacisnęła pięści i odepchnęła Cole'a. Mężczyzna zachwiał się, a ona sięgnęła do gałki w drzwiach, przekreśliła ją z impetem i wybiegła na korytarz.

Rzuciła się na łóżko we własnej sypialni. Rozsadzała ją wściekłość, w oczach miała łzy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Odwróciła się gwałtownie w tamtą stronę. W progu, niepomny na nic i na nikogo, stał nagi Cole.

- Wynoś się! - krzyknęła z furia Kristin.

Puścił jej słowa mimo uszu i spokojnie podszedł do łóżka.

Kristin usiadła; zdecydowana była walczyć do końca. Ale zanim zdążyła wstać, Cole usiadł na brzegu łóżka i chwycił ją za ramiona.

- Będę krzyczeć! - warknęła. - Pojawi się Samson i...

- Krzycz.

Wstrzymała oddech.

- Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

- Chciałaś zawrzeć ze mną układ - rzekł schrypniętym głosem.

- Co?

- Powiedziałaś, że chcesz zawrzeć ze mną układ. Zgoda. Omówmy warunki.

CZEŚĆ DRUGA

Kochanek



Cieszyła się, że pokój pogrążony jest w mroku. Ciemność skrywała postać Cole'a i Kristin miała nadzieję, że noc ukryje również malujące się na jej twarzy prawdziwe uczucia. Ach, jakże pragnęła nienawidzić tego mężczyznę. Ale nie potrafiła. Chciała zebrać myśli, chciała podejść do wszystkiego rozsądnie, lecz w pamięci jawił się jej wyłącznie widok jego twardego, krzepkiego ciała - tak gorącego, tak namiętnie tulącego ją do siebie.

Przyszedł nago, żeby przyjąć jej propozycję... Wszystko na to wskazywało... Ale był przy tym wściekły, po prostu wściekły. Hardy, zgorzkniały i zły.

Przez okno wpadł promień księżyca i w jego mdłym blasku dostrzegła wyraźnie twarz Cole'a - twardą, napiętą, prawie okrutną, jakby toczył jakąś straszną walkę z przeszywającym go od środka bólem.

- Omówić warunki? - szepnęła oszołomiona.

- Po pierwsze, panno Kristin, skoro jesteś zdecydowana wejść do tej gry, musisz poznać jej reguły.

- Nie wiem, co...

- Dokładnie to. Dlatego tutaj jestem. Chcę wszystko ci wyjaśnić. W uczciwej walce, twarzą w twarz, spotkam się z każdym, ale nie popełnię morderstwa; ani dla ciebie, ani dla siebie, ani dla kogokolwiek innego. Czy to jasne?

Skinęła głową. Tak naprawdę to nic nie rozumiała, ale bała się cokolwiek powiedzieć. Kompletnie straciła

głowę. Wojna i towarzyszące jej okrucieństwo zupełnie zamąciły jej w głowie, pozbawiły zdrowego rozsądku. Ona, Kristin McCahy, dama z Południa, leży w łóżku z nagim, obcym mężczyzną.

I wcale nie wzywa pomocy.

- Żadnego wiązania się uczuciowego, panno Kristin - dodał drwiąco śpiewnym, południowym akcentem i dziewczyna ponownie zastanawiała się przez chwilę, skąd go przywiał wiatr.

Znów aż do bólu była świadoma jego bliskości. Miał muskularny tors pokryty szorstkimi, ciemnymi włosami. Przypomniała sobie, jak sprawnie posługiwał się koltami i karabinem i po plecach przeszedł ją zimny dreszcz. Rozsnuwał wokół siebie jakąś aurę niebezpieczeństwa, która w dziwny sposób niebywale ją pociągała.

Czuła na brzuchu ucisk jego twardej męskości i tylko najwyższym wysiłkiem woli udawało się jej trzymać oczy utkwione w jego twarzy. Mogła sobie jedynie cały czas przypominać, że jest tutaj po to, żeby go uwieść, doprowadzić do ekstazy, sprawić, że jak psiak będzie wodził za nią pełnymi tęsknoty oczami.

Ale zdawała też sobie sprawę z tego, że tak się nie stanie, że on jej nie pokocha, że nie będzie za nią tęsknił. Szydził sobie z niej, był zdecydowany ją posiąść i z każdą upływającą sekundą coraz bardziej nią pogardzał.

Zebrała w sobie całą odwagę, na jaką było ją stać, i szepnęła szorstko:

- Nie obawiaj się z mojej strony jakichkolwiek komplikacji natury sercowej. Potrzebuję wyłącznie rewolwerowca; a takiego mężczyzny za skarby świata bym nie pokochała.

Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu.

- Tę transakcję przeprowadzimy na moich warunkach.

kach, droga parti. Żadnych głębszych uczuć, żadnych pytań. Nie zamorduję Zeke'a, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tobie, Shannon i twemu domowi zapewnić bezpieczeństwo. Mam jednak również inne zobowiązania, w innych miejscach i o tym, Kristin, nie zapominaj.

Dziewczyna milczała. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć lub zrobić, dokąd pójść. Jemu było łatwo. Był taki obojętny. Zapewne nawet już zapomniał, że jest nagi.

Dotknął delikatnie palcami jej twarzy i przeciągnął nimi po policzku dziewczyny.

- Dlaczego? - zapytał nieoczekiwanie.

Potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

- Go dlaczego?

- Dlaczego Zeke tak na ciebie nastaje?

- Nienawidzę Zeke'a. Nienawidzę go bardziej, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. Zabił mego ojca. Prędzej poszłabym do łóżka z bizonem niż z tym łajdakiem.

- Rozumiem. A ja stoję ciut ciut wyżej od bizona?

- Ciut ciut niżej.

- Jeszcze mogę odejść.

Wpadła w panikę. Zapragnęła nagle wziąć go w ramiona, zrobić wszystko, żeby tylko został, ale nie pozwalała jej na to duma. I wtedy spostrzegła, że mężczyzna uśmiecha się, najwyraźniej czymś rozbawiony. Pochylił się nad nią tak nisko, że jego oddech załaskotał ją w podbródek.

- W naszej umowie istnieje jeszcze jeden punkt-panno McCahy - powiedział cicho.

Poczuła bolesny skurcz serca.

- Jaki, Slater?

- Lubię, kiedy moje kobiety głodują... Co ja mówię; lubię wprost, jak umierają z głodu.

Dotknął jej podbródka, po czym przyłożył usta do jej warg. Na policzkach poczuła miękkość jego włosów,
 - Głodne moje serduszko? - Wyczuła, że w mroku ciagle się lekko uśmiecha. - To podniecające leżeć w łóżku z taką wielką bryłą lodu.

Zadała na oślepie cios, ale chwycił jej rękę i przygniół dziewczynę ciężarem swego ciała. Zacisnęła zęby, kiedy pochylił nad nią twarz wykrzywioną w szyderczym uśmiechu.

- Przykro mi, panie Slater, ale w tych sprawach mam niewielkie doświadczenie. Sam przecież nie pozwoliłeś mi oddać się w ręce pastuchów, pamiętasz?

- Kristin, niech cię szlag...

- O nie, to niech ciebie trafi szlag! - odpaliła bliska łez.

Odbędzie się to zupełnie inaczej. Nie będzie to noc, o jakiej marzyła w najskrytszych snach. O nie! - myślała z goryczą. W jej marzeniach noc ta miała nastąpić dopiero po ślubie. W jej snach był z nią Adam. I nie było w jej marzeniach nic zdrożnego. Nie było w nich nagich ciał, a jeśli były, to skrywała je kołdra. Ją od stóp do głów spowijała biała koszula nocna, a Adam szeptał jej do ucha gorące słowa uwielbienia, mówił jej, jaka jest piękna i wszystko to było tak cudownie czyste i niewinne...

Ale wtedy jeszcze obce były jej uczucia, których doznawała obecnie. Wtedy nie zaświtałaby jej w głowie myśl, że może sprzedać się mężczyźnie, który nawet nie będzie jej chciał.

- Proszę, zostaw mnie w spokoju! - krzyknęła nagle w udręce, pragnąc uniknąć jego dotyku. W oczach stanęły jej łzy, ale nie chciała, żeby on je zobaczył. Więcej upokorzenia by nie zniosła. - Ja... ja nie umiem być taka, jaka chciałbyś, żebym była... nie mogę...

- Kristin!

Zesztywniała, słysząc w jego głosie bezmiar pełnej bólu czułości. Delikatnie dotknął jej policzka, a następnie położył się obok niej i wziął ją w ramiona.

Była zdumiona, kiedy poczuła, że Cole również drży, że jego ciało jest nienormalnie rozpalone. Wymawiał w kółko jej imię i muskał wargami czoło dziewczyny.

- Czyż nie rozumiesz? - szeptał żarliwie. - Nie chcę czuć do ciebie tego, co czuję. Nie chcę ciebie pożądać.

Namiętność w jego głosie była mroczna i niepokojąca. Była płomienna, a jednocześnie przesączona goryczą i pełna bólu. Kiedy nieustannie dotykał Kristin, dziewczyna czuła, że przenikający go żar udziela się i jej. Jego dłonie raz były czułe i delikatne, a raz namiętne i gwałtowne.

- Nie chcę ciebie pożądać - szeptał - ale Bóg mi świadkiem, że nie panuję już nad sobą.

Wtedy ją pocałował i nagle opuściły ją wszystkie złe myśli. W jednej chwili nieoczekiwanie znalazła się w pograżonym w mroku niebie, gdzie nie było już miejsca na myślenie, nie istniał zdrowy rozsądek. Mogła się tylko tulić do Cole'a.

Wydało się jej nagle, że ziszczają się wszystkie jej pragnienia, które dręczyły ją od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzała Slatera. Głód... jego usta były głodne i Cole rozsmakował się teraz w Kristin. Odnosiła wrażenie, że jego wargi stapiają się z jej ustami, a jego język dociera do samego jądra jej istoty wprowadzając ją w ekstazę.

Sama nie wiedziała, kiedy opuściły ją wszelkie lęki i niechęć, a ich miejsce zajęły całkiem inne uczucia. Nie wiedziała nawet, kiedy opadła z niej wytworna koszula nocna, którą wraz z wyprawą ślubną przywiozła na zachód jej matka. Ruchy Cole'a były takie szybkie, tak

nełne czułości, że przyprowaiały ją o słodki zawrót głowy. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że ma odkryte piersi, a na jej ustach spoczywają jego wargi. Później ujął w dłoń jej delikatną pierś i zaczął wodzić ustami po sutku; całował, ssał, delikatnie gryzł zębami. Rosła w nim namiętność.

Prawie krzyczała. Nigdy nie wyobrażała sobie, że może istnieć aż taka bliskość, nie wyobrażała sobie, że doznania mogą być tak intensywne, że odczucia mogą budzić w niej tak palące dreszcze, które, biegnąc wzdłuż kręgosłupa, eksplodowały niebiańsko w dole brzucha. Ścisnęła Slatera w ramionach, nie zdając sobie sprawy, że wbija mu paznokcie w plecy, że obejmuje go tak kurczowo, jak tonący w morzu człowiek ścisną linę ratowniczą.

Jeszcze później ujął jej twarz w dłonie i pieścił ją z cudowną czułością. Pochylił nisko głowę i wyszeptał prosto w usta:

- Głodna?

Nie chciała o tym mówić. Wszystko było zbyt nowe, więc skinęła tylko w milczeniu głową. Ale jemu to nie wystarczało...

- Kristin?

- Proszę...

- Odpowiedz.

- Och, Boże! - krzyknęła, starając się wyswobodzić z jego ramion. Miała wilgotne usta, a jej wzburzone włosy były niczym rozdzielająca ich kurtyna; zadziwiająco jasne na tle jego spalonego na brąz torsu.

Uśmiechnął się, przesunął dłoń na jej szyję, gdzie jak oszalałe biło jej tętno, a następnie jego ręka powędrowała w dół, do piersi, i jeszcze niżej - do brzucha. Tam zatoczyła przyprowaiające o szaleństwo kółko i przesunęła się niżej. Kiedy wędrował palcami po jej udach,

spoglądał dziewczynie prosto w oczy... i nagle wykonał nieprawdopodobny ruch i wszedł w nią dłonią.

Krzyknęła i chciała się cała w nim zanurzyć, ale on trzymał ją na dystans, obserwując jej twarz, jej piersi, które unosiły się i opadały w spazmatycznym oddechu. Słuchał, jak głośno chwyta powietrze.

- Tak, jesteś... głodna - wyszeptał jej prosto w usta.

Co to jest? - myślała. Czy to właśnie ten głód, którego tak się domagał? Cóż znaczą owe płomienie, które, zdawało się, palą ją od środka? Była wdzięczna, że panuje mrok, że jest noc, była wdzięczna księżycowi, że zaszedł za chmurę. Bo dzięki temu mogła skryć swój grzech, mogła ukryć fakt, że frymarczy sobą; litościwy całun mroku otulał ją swym ciepłym płaszczem, łagodząc wstyd. Nie mieściło jej się w głowie, że leży w łóżku z tym mężczyzną, a na dodatek nie zamieniłaby tego na nic na świecie.

Wydała cichy okrzyk, mocniej zarzuciła Cole'owi ramiona na szyję i przytuliła twarz do jego torsu. Czując że od środka zalewa ją jakaś tajemna fala, przełknęła ślinę. Mruczała coś pod nosem i tuliła usta do jego piersi, nieświadoma prawie tego, że jej biodra tańczą w rytm ruchów jego ręki, a każdy taki ruch był coraz bardziej upajający.

Sam Slater w jakiś mglisty sposób pojmował, że nie powinien tu być. Powinien był oświadczyć tej dziewczynie, że nie zostanie, że nie jest w stanie jej pomóc. Związek z Kristin był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Ma własne zobowiązania i bez względu na fakt, czy umrze czy nie, czy pójdzie do nieba czy do piekła, musi ich dotrzymać.

Niewinność...

To również rzecz, której nie potrzebował. Wyczuwał w Kristin twardość, ale wyczuwał też w tej twardości

szczerby. Zrobiła to wojna. Wojna, śmierć, cierpienie, ból i krew. A jednak dziewczyna potrafiła zachować niewinność. Wydawało mu się, że skłoni ją do ucieczki, a później myślał, że wystarczy mu sił, żeby jej nie tknąć. Był zmęczony. Wiedział o tym. Był zmęczony, a ona zasługiwała na lepszy los niż ten, jaki on mógł jej zgotować. Ciągłe przecież żył, oddychał, a ona poruszała w nim każdy zmysł. Choć starał się w to nie wierzyć, dobrze wiedział, jak potoczą się sprawy, i teraz, kiedy to się stało, zwykła uczciwość zabraniała mu się tego wypierać. Oplotła go złocistą pajęczyną pożądania i pasji, delikatną jak jedwab i świetlistą jak jej włosy. Omamieni czarem własnych ciał, oboje ugrzęźli w tej pajęczynie. Kristin była piękna, miała uroczą twarz o małym, kształtnym nosie i niezgłębionych jak przestwór niebieskich oczach, okolonych długimi rzęsami. W tej chwili w jej źrenicach płonął nie skrywany żar. A jej usta... pełne i oddane, wrażliwe, skore w każdej chwili do śmiechu, cudowne, kiedy rozchylały się pod dotykiem jego warg. Cała była delikatna, aksamitna, budziła w nim burzę zmysłów pełnymi, strzelistymi piersiami, wąską talią i biodrami rozpalającymi jego żądze do białości.

Wcale nie chciał zostać z Kristin, wcale nie chciał tu przyjechać... Nie miał zamiaru jej tknąć...

Ale wszystko to uczynił.

Poruszyła się. Poruszyła się z ogromną gracją. Wydała ciche westchnienie, które sprawiło, że krew załomotała mu w skroniach, odbierając jasność myślenia. Kierował nim już tylko jeden instynkt: posiąść ją, musiał ją posiąść albo zwariuje. Czuł na torsie jej sutki, gdy pod dotykiem jego dłoni wyprężyła ciało w łuk.

Drapieżnie przyciągnął ją do siebie. Ujrzał jej szeroko rozwarte oczy i złożył na wargach Kristin gorący,

oszałamiająco namiętny pocałunek. Wsunął pod jej plecy ręce i z rozpaczą pomyślał, że ma do czynienia z niewinną dziewczyną.

Pocałował ją ponownie, jeszcze bardziej drapieżnie, i wszedł w nią.

Był powolny, powolny aż do bólu, a ona wilgotna i łagodna, jej gorące wnętrze było gotowe na jego przyjęcie. Czuł przebiegający po jej ciele dreszcz, słyszał jej bolesny krzyk, który tłumiła, tuląc usta do jego torsu.

Słyszał już kiedyś taki krzyk. Słyszał go w dzień własnego ślubu.

Ogarnęły go pełne goryczy wspomnienia i przez moment nienawidził siebie i jej. Na chwilę znieruchomiał. Kiedy poczuł, że dziewczyna drży, pomyślał, że Kristin za chwilę wybuchnie płaczem, i bezwolnie zaczęła szeptać jej do ucha.

Tak... był już kiedyś w tym miejscu. Też kochał się czule z kobietą pierwszy raz. Jej pierwszy raz.

Trzymał ją w objęciach, pieścił, obiecywał opiekę. I znów poruszył się w miłosnym rytmie, delikatnie, powoli i łagodnie.

I wtedy ona również, zrazu nieśmiało, zaczęła się poruszać pod nim. Brała go w siebie, w oczach nie miała już łez, minął pierwszy szok. Znów zalewał ją od środka żar.

Cole kompletnie już stracił nad sobą kontrolę. Bez reszty zatonął w rozkosznych doznaniach. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek ogarnęła go taka namiętność. Ponownie dotknął kształtnych piersi i znów uderzyło go ich piękno. Chłonał czystą, oszałamiającą woń jej wzburzonych włosów i czuł, że ogarnia go jakieś szaleństwo. Niecierpliwym ruchem oplótł jej nogami swe biodra, ujął krzepko pośladki Kristin i zaczął gwałtownie nimi kołysać, wypełniając sobą dziewczynę. Kiedy

przeszył go pierwszy dreszcz nadchodzącego spełnienia, odchylił do tyłu głowę i wydał chrapliwy okrzyk. Miarowo, raz za razem, brał Kristin w posiadanie. Kiedy westchnęła spazmatycznie, wiedział, że osiągnęła rozkosz. Ogarnęła go gorączka. Po raz ostatni wykonał gwałtowny ruch. Zadrżał, nie pamiętał, żeby kiedykolwiek doznał w życiu podobnego spełnienia.

Spocony, położył się obok Kristin i ciężko oddychał.

Dziewczyna milczała. Dotknął opuszkami palców jej policzka. Pod palcami poczuł wilgoć łez.

Nieoczekiwanie ogarnął go straszliwy gniew, zarówno na samego siebie, jak i na nią. To nie miało prawa się zdarzyć! Powinna była być w ślubnej bieli i wyjść za uczciwego, młodego człowieka, który by ją kochał, a nie tylko pożądał.

Wysunęła się z jego objęć, odwróciła plecami i Cole przez chwilę zastanawiał się, czy dziewczyna przypadkiem ponownie nie płacze. Miała sto powodów do tego, a on czuł się podle. Z Kristin robił to jeszcze czulej niż wtedy z Elizabeth.

Z Elizabeth!

Tak, odważył się w końcu wymówić w myślach jej imię. Zacisnął zęby. Wątpił, żeby ból kiedykolwiek go opuścił.

- Możesz... możesz już iść - odezwała się nieoczekiwanie Kristin.

- Słucham? - odparł ostro pytaniem.

- Nasz układ. - szepnęła. - Dotrzymałam go, prawda?

- Tak, dotrzymałaś tego cholernego układu, panno cCahy - odparł po krótkim wahaniu.

- Zatem możesz... możesz już wrócić do siebie. Twój pokój jest po drugiej stronie korytarza.

Nie wiedział, co w niego wstąpiło. Przestał dbać

o to, czy inni mieszkańcy domu usłyszą go, czy nie, nie dbał o nic. Ogarnęła go ślepa furia. Usiadł w łóżku, chwycił dziewczynę gwałtownie za ramiona i zmusił do popatrzenia mu w oczy. Powoli cedził słowa, a każde było niczym smagnięcie bata.

- Ani mi się śni, moja malutka primadonno. Sama mnie tu zaprosiłaś i tak łatwo się mnie teraz nie pozbędziesz. Podjęłaś tę grę, Kristin, i dobrze wiedziałaś, że obowiązywać w niej będą reguły, jakie ja ustalę...

- Boże drogi! - krzyknęła, odsuwając się od niego ze wstrętem. - Jesteś bezlitosny, nie masz za grosz...

- Współczucia? Nie, nie mam. Za to ty masz to, czego chciałaś.

- Odejdź - powiedziała z uporem.

- Ani mi się śni.

- W takim razie ja sobie pójdę.

- Nawet o tym nie myśl. A teraz śpijmy!

Odwrócił się do niej plecami. Sam siebie nie rozumiał. Po co zaczynał tę próbę sił? Ale skoro ją zaczął, nie zamierzał się poddawać.

Kiedy spostrzegł, że dziewczyna mimo wszystko wstaje, odwrócił się błyskawicznie i chwycił ją w pasie, Serce biło jej jak przerażonemu ptakowi.

- Marsz spać!

Kristin zacisnęła zęby, ale posłusznie się położyła. Zdawał sobie sprawę, że zamierza poczekać, aż zmorzy go sen sen i wtedy dyskretnie się wymknąć.

Uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że wyczuje najdrobniejszy jej ruch i natychmiast się obudzi.

Sprawy potoczyły się inaczej. To ona zasnęła pierwsza, a z rana pierwszy obudził się Cole. Stał nago w oknie i przeciągnął ramiona. Za szybą wstawał cudowny, letni dzień.

Piękna farma, pomyślał i ciężko westchnął; zdawał i

sobie sprawę, że Kristin uważa, iż tej nocy sprzedała się bardzo drogo.

On również sprzedał się drogo. Sprzedał swój honor i teraz musi już zostać, żeby bronić tej kobiety.

Ruszył w stronę drzwi, otworzył je, ostrożnie wyjrzał na korytarz, po czym na palcach wrócił do swego pokoju. Tam wymył się i ubrał.

Po przebudzeniu Kristin od razu wiedziała, że jest już późno. Kiedy otworzyła oczy, słońce stało wysoko. Natychmiast znów zacisnęła powieki. Czuła, że drży.

Rozpaczliwie pragnęła, żeby wszystko to, co spotkała ją w nocy, okazało się snem.

Ale to nie był sen. Cole Slater wprawdzie opuścił jej pokój, ale krążył gdzieś w pobliżu i już sama myśl o tym wystarczała, że dziewczyna rumieniła się po nasadę włosów.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

- Kristin?

To dobijała się Shannon. Jak rażona piorunem, Kristin siadła w łóżku i popatrzyła na pościel. Wszystko było w jak najlepszym porządku i nic nie wskazywało na to, co działo się nocą w sypialni.

- Shannon, zaczekaj chwilę! - zawołała.

Nocna koszula leżała na podłodze pod łóżkiem. Kristin zanurkowała tam i skrzywiła się, czując w dole brzucha silny ból. Wtedy też spostrzegła, że jej nocny strój jest podarty. Skonfundowana zwinęła koszulę w kłęb, wrzuciła do szafy i wyjęła inną, flanelową. Z trudem łapiąc oddech, krzyknęła do siostry, że może już wejść.

W progu stanęła Shannon. W rękach trzymała srebrną tacę z dzbankiem kawy, filiżanką i śniadaniem. Kristin popatrzyła tępo na Shannon, ale po chwili uniosła brwi.

- Dzień dobry, śpiochu - odezwała się radośnie Shannon.

- Śniadanie? Do łóżka? - Z trudem wiazali koniec z końcem i śniadanie w łóżku było największym luksusem. - Po tym jak przespałam cały ranek?

- Delilah chciała cię obudzić, ale Cole powiedział, że miałaś wczoraj ciężki dzień i potrzebujesz więcej snu.

- Aha, Cole powiedział!

Shannon puściła tę uwagę mimo uszu.

- Byłam już dzisiaj rano z Cole'em i Pete'em na północnym pastwisku. Tam wszystko w porządku.

Kristin pocałowała siostrę w policzek i krzywiąc się, ciężko usiadła w łóżku. Nawet przy tak prostej czynności bolało ją całe ciało.

Szybko chwyciła filiżankę i wypiła łyk kawy. Sparzyła sobie język, więc odstawiała naczynie.

- To bardzo miło z waszej strony. Mówię o śniadaniu.

- Och! - machnęła niedbale ręką Shannon. - To również był pomysł Cole'a. Powiedział, że możesz mieć niejakie problemy z rannym wstaniem.

- Och, naprawdę?

Tak energicznie ugryzła plaster bekonu, że aż zgrzytnęły jej zęby. Znów sobie z niej zakpił, a nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby zrobić to w jej obecności. Marzyła wyłącznie o tym, żeby solidnie dać mu w twarz.

Wpadła we własne sidła. Przecież wyraźnie ją ostrzegął, że to on będzie dyktować reguły gry. Ale ostatecznie cel swój osiągnęła: byli bezpieczni. Tak, przyjęła te warunki. Co więcej, sama chciała go uwieść, sama chciała, żeby to wszystko się stało, sama pragnęła tego układu. Ale teraz już nie była wcale taka pewna tego, kto kogo uwiódł.

- Gdzie jest teraz Cole? - zapytała.

Zdumiewał ją własny apetyt.

Shannon wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Ale nie słyszałaś jeszcze najnowszej wieści - odparła podekscytowana.

- Jakiej?

- Cole oświadczył, że przez jakiś czas zostanie z nami! Czyż to nie wspaniała wiadomość, Kristin?

- Wspaniała.

- Samson twierdzi, że to cud. Mówi, że Bóg wreszcie spojrział na nas z góry łaskawym okiem i okazał miłosierdzie.

- Niezbadane są Jego wyroki - mruknęła ponuro Kristin.

Shannon, która siedziała w nogach łóżka, zerwała się z miejsca, podskoczyła do siostry i mocno ją uścisnęła.

- Teraz damy sobie radę - szepnęła. - Naprawdę sobie poradzimy. Ale muszę iść na dół - dodała. - Dzisiaj Delilah piecze chleb i robi konfitury, a ja obiecałam jej pomóc.

Kristin skinęła głową.

- Dobrze, ja też zaraz tam zejść.

Po wyjściu siostry Kristin umyła się pośpiesznie. Była aż do bólu świadoma miejsc na swoim ciele, których dotykał Cole Slater. Na wspomnienie tamtych chwil i uczuć, jakie ją wtedy ogarnęły, zaczęła drżeć jak liść na wietrze. W środku okrutnej, krwawej wojny skradła losowi chwilę uniesienia.

Chwilę żenującego uniesienia.

Uniesienie.

Ubrała się, usiłując rozpaczliwie odgonić od siebie dręczące ją myśli. Jeśli nie skupi uwagi na czymś innym, do końca dnia będzie chodzić czerwona jak burak.

Włożyła robocze ubranie. Na północnym pastwisku stawiali nowe ogrodzenie i obiecała Pete'owi, że mu pomoże. Zapas ukrytego na stryszku z sianem złota był już wprawdzie na wyczerpaniu, ale na nowy płót jeszcze starczy, a na wiosnę ceny była z pewnością pójdą w górę. Nie mogła zapominać, że walczy o swoją ziemię i nic innego się nie liczy.

W bryczesach i w wysokich butach Kristin ruszyła do drzwi. W tej samej chwili przypomniała sobie o wzburzonym łóżku i prześcieradle, które mogło ją zdradzić.

Łóżka zazwyczaj słała Delilah. Utrzymywanie czystości i porządku w domu należało do obowiązków jej i Shannon. Pete i Kristin zajmowali się ranczem.

Tak było od lat.

Ale nie chciała, żeby Delilah słała jej łóżko... nie tego dnia.

Lubi, kiedy jego kobiety są głodne. K o b i e t y. Liczba mnoga.

Dziewczyna zakłęta i zerwała z łóżka prześcieradło. Zaniosiła je do stajni i tam upchnęła w wielkim pojemniku na śmieci. Później je spali.

Zbliżając się do boksu Debiutantki, przystanęła w drzwiach. Wyczuła, że w środku jest Cole; szcztokował swego czarnego mustanga.

Wspaniałe zwierzę, pomyślała odruchowo Kristin.

Podobnie jak jego właściciel.

Nie była jeszcze gotowa, żeby stanąć twarzą w twarz z Cole'em Slaterem. Właśnie odwracała się, zdecydowana opuścić stajnię i zmienić nieco rozkład dnia, kiedy mężczyzna zauważył jej obecność. Odwrócił się w jej stronę, więc Kristin nie pozostawało nic innego, jak zatrzymać się i hardo spojrzeć mu w oczy.

Długo spoglądali na siebie w milczeniu. O Cole'u

Slaterze dziewczyna mogła powiedzieć wszystko, ale nie to, że grzeszył nadmiarem uprzejmości i wrażliwości. Jego stalowe oczy spoglądały na nią z zainteresowaniem. Najwyraźniej to, co zobaczył, musiało go bawić, ponieważ na ustach igrał mu lekki uśmiech. Chwilami odnosiła wrażenie, że jej nienawidzi, ale czasami potrafił też spojrzeć na nią czule.

Czasami!

Wtak samo zdawkowy sposób uprawiał z nią miłość...

- Dobrze spałaś? - zapytał po chwili.

W pytaniu tym było coś bardzo nieprzyjemnego, jakieś szyderstwo. To otrzeźwiło Kristin. Skrzyżowała ramiona na piersiach i próbowała obojętnie go wyminąć podążając do boksu Debiutantki. Ale on chwycił ją za ramię i odwrócił w swoją stronę. Twarz miał już poważną.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał obcesowo.

- Na północne pastwisko. Chcę obejrzeć nowe ogrodzenie. Powinnam była zrobić to wczoraj rano, ale...
- urwała, próbując zapanować nad głosem.

Wyraźnie zniecierpliwiony Cole potrząsnął głową.

- Już rozmawiałem z Pete'em.

- I co z tego? To jest moje ranczo!

- A moje życie, panno McCahy. - Oparł ręce na biodrach, w jednej dłoni trzymał zgrzebło. - Chyba tracę tutaj czas. Zawarliśmy jakiś idiotyczny układ...

- Idiotyczny układ! - Dziewczynę aż zatkało ze złości. Najeżyła się. Była gotowa dać mu w twarz. Prosto w tę szyderczą twarz, na której malowała się taka pewność siebie.

Ale nie poruszyła się. Chwycił ją za nadgarstek.

- Wybacz, Kristin. Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

- Mnie też jest przykro, jeśli cię rozczarowałam.

Myślała, że w jego oczach pojawi się wyraz skruchy. Ale nie. Znow się uśmiechał.

- Wcale mnie nie rozczarowałaś. Przeciwnie, przesłaś moje najśmielsze oczekiwania. Wybacz, nie chciałem cię obrazić. Chodzi mi o to, że powinienem wynieść się stąd do wszystkich diabłów.

- Chyba nie zamierzasz złamać układu? - zapytała cierpko.

Oczy mu rozbłyły, odsunął z czoła kapelusz z piórami i potrząsnął głową.

- Nie, Kristin. - odparł cicho. Jego niski głos sprawił, że dziewczynie przeszedł dreszcz po krzyżu. - Nigdy nie łamię danego słowa. Ale jeśli zamierzasz pętać się samotnie po okolicy, zrobię wyjątek.

- Przecież...

- Nie ma żadnego przecież, Kristin, lojalnie cię ostrzegałem. Reguły gry dyktują ją. Nigdzie nie pojedziesz.

- Ale...

- Ty pojedziesz, ja odjadę!

- Ależ... ależ już ci przecież... przecież ci zapłaciłam! - krzyknęła, ogarnięta gniewem.

Gwałtownie uniósł brwi, wykrzywił szyderczo usta.

- Zapłaciłaś?

- Wiesz, o co mi chodzi.

Potrząsnął głową.

- Co ci do głowy strzeliło? To miała być zapłata? Na jednej szali noc w twoich ramionach, a na drugiej moje życie?

- Dżentelmenem z Południa to ty nie jesteś!

- A kto mówił, że jestem?

- W ogóle nie jesteś dżentelmenem!

- A kto mówił, że jestem? Kristin, ani słowem się na ten temat nie zająknąłem! Nie pamiętasz?

- Trudno o tym nie pamiętać!
 - Zamierzasz złamać nasz układ? - zapytał cicho.
- Wyprostowała się. Buńczucznie uniosła brodę.
- Więc nie pochodzisz z Południa?
 - Czy to ważne, skąd pochodzę?
 - Może.

Chwycił ją za rękę. Dłuższą chwilę spoglądali sobie w oczy. Za plecami parskął czarny wierzchowiec. wzrok Cole'a złagodniał.

- Nie, Kristin, to nieważne. Wszystko, co dotyczy mnie, nie ma znaczenia. Żadnego angażowania się. Pamiętaj.

Wyrwała dłoń z jego ręki.

- Zapamiętam, panie Slater.

Ruszyła w stronę boksu Debiutantki. Zdawała sobie sprawę, że nie powinna nigdzie jechać, ale nie mogła przecież zostać w stajni. Pogłaskam klacz po pysku cichutko się wymknę, postanowiła. Nie wiedziała, jak to wszystko zniesie. Czuła się jak uwięzione w klatce zwierzę.

Poklepała konia po chrapach i szeptem wyjaśniła mu, że na razie musi odejść, ale później, kiedy mężczyzna opuści już stajnię, wróci i odpowiednio zadba o klacz.

Odwróciła się w stronę wyjścia i uniosła hardo głowę. Postanowiła zachować choć odrobinę własnej godności.

- Kristin, jeszcze jedno - dobiegł ją głos Cole'a.

Zatrzymała się odwrócona do niego plecami i dopiero po długiej chwili sztywno spojrzała w jego stronę. Wcale na nią nie patrzył. Lekko pochylony szcztokował bok konia.

- Dlaczego nie przeniesiesz swoich rzeczy do większego pokoju? Będziemy mieli więcej miejsca.

- Co?

- To, co słyszałaś.

- Ależ... ależ wtedy wszyscy się dowiedzą! P o z a tym ile razy zamierzasz...

- Odbierać zapłatę - podsunął przyjaźnie. Odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że wcale na nią nie zwraca uwagi. Poklepał konia po łbie i dopiero wtedy odwrócił się w stronę dziewczyny. - Żądasz ode mnie mokrej roboty, a taka usługa drogo kosztuje. Ponadto chcę, żeby inni też o nas wiedzieli.

- Ale...

- Reguły ustalam ja, pamiętasz?

- O, nie! Na takie coś nie pójdę...

- Delilah to zrozumie. Tak samo Shannon, Sam, Pete i wszyscy inni. A kiedy wiadomość o tym dotrze do Zeke'a Moreau, on wyciągnie odpowiednie wnioski,

- Ale...

- Zrobisz tak, jak ci mówię, Kristin.

Rozgniewana w najwyższym stopniu odwróciła się na pięcie i nie oglądając się za siebie wybiegła ze stajni. Jak burza wpadła do domu, żałując z całego serca, że urodziła się dziewczyną. Gdyby była mężczyzną, dawno zaciągnęłaby się do wojska. Nieważne którego; byleby był tam ktoś, kto tak samo jak ona nienawidzi Qu-antrilia i jego zbydlęconej bandy.

- Kristin, to ty? - W hallu pojawiła się uśmiechnięta Delilah. - Pomożesz nam przy robieniu powideł? Po trzeba jest ktoś do przecierania. Shannon nakłada do słoików i zamyka je, a ja wyrabiam ciasto na chleb.

- Ee... naturalnie - odparła Kristin, choć w głębi ducha marzyła wyłącznie o ucieczce do wojska.

Kiedy weszła do kuchni, Shannon zapytała z promiennym uśmiechem:

- Znalazłaś Cole'a?

- Oczywiście.

Shannon skinęła pogodnie głową. Najwyraźniej bezkrytycznie i w pełni zaakceptowała Slatera. Cały świat stanął na głowie, zdecydowała Kristin.

- Chce, żebym zamieszkała z nim w pokoju ojca - oświadczyła mężnie.

Shannon, która właśnie uszczelniała woskiem słów, wypuściła naczynie z rąk. Słów roztrzaskał się z hałasem o podłogę.

Delilah aż podrzuciła w górę pacynę ciasta, które poleciało szerokim łukiem i spadło na duży stół.

Obie wytrzeszczyły na nią oczy. Potem w milczeniu popatrzyły na siebie.

- Powiedźcie coś - odezwała się błagalnie Kristin. - Pomóżcie mi podjąć decyzję!

- Nie wolno ci tego zrobić! - krzyknęła Shannon.

- A mnie się wydaje, że już podjęłaś decyzję - powiedziała cicho Delilah. - Ale to nieuczciwe. Nieuczciwe. Z drugiej strony.

- ... jest tysiąc razy lepszy od Zeke'a - wpadła jej w słowa Shannon. Przykucnęła. Zaczęła zbierać odłamki szkła i rozpaćkane na podłodze konfitury. - Cóż, zapewne nie masz innego wyjścia, a on jest dużo lepszy niż Zeke.

- Dlatego muszę sypiać z nieznanym. - Kristin wpadła na stojące przy ogniu krzesło. - Mnie samej nie mieści się to w głowie - stwierdziła.

Shannon popatrzyła bacznie na siostrę.

- Nie możemy zamykać oczu na fakty, Kristin - powiedziała. - Potrzebujemy go. Albo zostanie, albo my będziemy musieli się stąd wynieść.

- Shannon! - wybuchnęła starsza siostra. - Ojciec grobie się przewraca. Nie wiemy nawet, skąd Cole Slater pochodzi!

śliczne niebieskie oczy Shannon rozszerzyły się ze zdumienia.

- Jak to? Przecież wiemy!

- Co?

Twarz Shannon rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Mieszka w Missouri, ale jego rodzina pochodzi z Wirginii. Kupili tu spory szmat ziemi. Myślę, że dorobili się na hodowli tytoniu. Cole skończył West Point. Był w jednej klasie z Jebem Stuartem!

Kristin wpatrywała się w siostrę nie mogąc zebrać myśli. Shannon uważała generała konfederatów, Jeba Stuarta, za najprzystojniejszego i za najbardziej szarmanckiego mężczyznę na świecie, a więc zasób wiadomości na jego temat wcale Kristin nie dziwił. Zdumiało ją to, że Shannon tak dużo wiedziała o Cole'u.

- Co? - spytała tępo.

Shannon westchnęła, wywróciła oczyma i przesłała siostrze zniecierpliwione spojrzenie, zupełnie jakby tłumaczyła coś małemu i niezbyt rozgarniętemu dziecku.

- Jest wirgińczykiem, Kristin, który przeniósł się do Missouri. Uczył się w West Point, w swoim czasie służył w wojsku w Kansas. Służył razem ze Stuartem.

- Pięknie - mruknęła Kristin.

A więc jest Południowcem. I nie nosi munduru. Człowiek pokroju tych, którzy włączyli się z Quantrilem...

Ja też pochodzę z Południa, pomyślała. Nie każdy, kto pochodzi z Południa, jest taki jak Zeke Moreau.

Ale Cole...

On tak swobodnie i otwarcie rozmawiał z Shannon. Ale na wiele pytań nie znała jeszcze odpowiedzi.

Uczęszczał do West Point. Przed wojną służył w armii Unii. Służył razem z szarmanckim oficerem kawalerii, Jebem Stuartem.

Ale teraz nie nosi munduru. Ani Unii, ani konfederatów. Dlaczego?

Delilah mieszała coś w garnku stojącym na ogniu. Wyprostowała się i wytarła ręce w fartuch.

- Co zatem zrobisz, Kristin? Jeśli chcesz, przeniosę twoje rzeczy.

Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę. Chciała protestować. Chciała uniknąć losu, jaki gotował jej Cole Slater.

Popatrzyła na Delilah, ale twarz Murzynki była nieprzenikniona.

Kristin skinęła głową.

Miała do wyboru: albo porzucić ziemię, albo mocno trzymać się Cole'a Slatera. Innej możliwości nie było.

Obiecała sobie solennie, że zdobędzie wszelkie informacje o tym człowieku.



Kristin przez cały dzień dręczył niepokój o nadchodzącą noc. Długi czas spędziła na piętrach, starając się wynaleźć sobie jakieś zajęcie. Z największą niechęcią zrobiła to, co polecił jej Cole. Przeniosła do pokoju rodziców część swoich sukni i nocnych stroi, a następnie umieściła je w szafie.

W pewnej chwili dołączyła do niej Shannon. Na widok domyślnego, znaczącego spojrzenia siostry Kristin poczuła straszliwy wstyd.

- Cole... pan Slater uważa, że Zeke powinien myśleć, że... hm... myśleć, że Cole i ja... że...

- Rozumiem - powiedziała cicho Shannon.

Nawet ona straciła już całą niewinność, pomyślała Kristin. Zapadła kłopotliwa cisza, którą przerwała dopiero młodsza z sióstr. Zarzuciła Kristin ramiona na szyję i powiedziała.

- Lubię go. Bardzo go lubię.

- Tylko dlatego, że zna Jeba Stuarta?

Shannon skrzywiła się.

- Za to też. - Usiadła na łóżku. - Jak w ogóle mogło do tego wszystkiego dojść? - spytała cicho.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Istnieje tylu wspaniałych mężczyzn. Ludzie mówią, że generał Lee jest dżentelmenem w każdym calu, a Jeb Stuart ma wiele uroku osobistego. I popatrz sama, tutaj...

- Mamy do czynienia z grasantami i z maruderami!

- dokończyła za nią Kristin. Usiadła obok Shannon. Objęła ją. -I nie zapominaj, że nasz brat walczy w armii pana Lincolna.

- Nie zapominam! - odparła Shannon.

Zapadło długie milczenie. Nagle za oknem rozległo się kilkanaście wystrzałów. Kristin zerwała się na równe nogi i podbiegła do okna.

Zobaczyła Cole'a i Samsona. Pod płotem na tyłach domu Slater ustawił w kilku rzędach całą baterię pustych butelek po alkoholu. Flaszki te teraz miały służyć za cel. Mężczyźni oddali właśnie po pierwszej serii strzałów. Kristin zrozumiała, że jest to po prostu nauka strzelania.

Nadeszła akurat kolejka Samsona i dziewczyna poczuła, że na dźwięk głosu Cole'a tężeją jej wszystkie mięśnie.

- Chłopcy Quantrilla uzbrojeni są zazwyczaj w cztery lub pięć koltów oraz w strzelbę lub karabin albo i w to, i w to. Dlatego też ciągle sięją takie spustoszenie wśród żołnierzy Unii. Są znakomicie uzbrojeni, chłopcy w niebieskich mundurach ciągle jeszcze strzelają z karabinów ładowanych od przodu. Zeke zawsze będzie dobrze uzbrojony. Zatem i my musimy być w każdej chwili przygotowani na to, żeby natychmiast odpowiedzieć mu ogniem. Rozumiesz to, Sam?

- Rozumiem, panie Slater.

- Więc spróbuj jeszcze raz. Staraj się trzymać ręce nieruchomo, a kiedy naciskasz cyngiel, nie szarp ramionami.

Cole zdjął ozdobiony piórami kapelusz, przeciągnął palcami po włosach, ponownie włożył nakrycie głowy : naciągnął je głęboko na oczy.

- No, strzelaj! - ponaglił.

Samson zaczął raz za razem pociągać za spust Posy-

pało się szkło. Murzyn wybuchnął radosnym śmiechem. Zadowolony z postępów ucznia Cole poklepał go po plecach i powiedział coś tak cicho, że Kristin nie dosłyszała.

Nagle Slater spojrział w stronę okna. Zrobił to tak nieoczekiwanie, że dziewczyna nie zdążyła cofnąć się w porę.

Roześmiał się i machnął jej ręką. W pierwszej chwili chciała odpowiedzieć tym samym gestem, ale zaraz uświadomiła sobie, że Slater macha jej siostrze, która stała w oknie obok niej i również mu kiwała.

- Wprowadzamy właśnie Kristin do nowego pokoju! - zawołała Shannon.

Kristin skamieniała. Czuła na sobie wzrok mężczyzny, widziała, że na twarzy pojawił się mu lekki uśmiech. Miała ochotę uderzyć siostrę po głowie.

Zamiast tego po prostu wycofała się sprzed okna.

- Wejdiesz na górę? - spytała Shannon.

- Shannon! - syknęła Kristin.

Cole potrząsnął odmownie głową.

- Powiedz siostrze, że pojedę poszukać Pete'a i może mnie jakiś czas nie być.

Shannon odwróciła się Kristin.

- Cole mówi, że...

- Słyszę, co mówi Cole.

- Shannon! - dobiegł z dołu głos Cole'a.

- Tak, Cole?

- Powiedz siostrze, że mogę wrócić trochę później.

Nie musi na mnie czekać.

Shannon odwróciła się do Kristin.

- Cole mówi, że...

- Słyszę, co mówi Cole!

Kristin odwróciła się na pięcie i jak burza wybiegła z pokoju. Wróciła do swojej dawnej sypialni i z trzaskiem

zamknęła za sobą drzwi. Usiadła na łóżku i przycisnęła dłonie do skroni. Potwornie bolała ją głowa; czuła się się jak butelki, do których strzelał Cole.

No cóż, rozbił również jej świat.

Koniecznienie musiała coś ze sobą zrobić. I to szybko. był jej potrzebny. Pragnęła go. I nienawidziła.

Jeden Bóg wiedział, jak bardzo chciała poznać Cole'a Slatera. Jeden Bóg wiedział, jak bardzo pragnęła się do niego zbliżyć. Ale on na to nikomu nie pozwalał. Nikomu!

Żadnych romansów, żadnych pytań...

Nigdy nie dowiedziała się, czy wrócił na noc. Leżała bezsennie w łóżku rodziców aż do świtu i dopiero wtedy zmogło ją zmęczenie. Obudziła się koło południa. Nikt nie próbował zakłócać jej snu. Kiedy wreszcie ubrała się i zeszła na dół, Delilah nachylała się nad wielkim garem ługu, a Shannon oprowadała po podwórku ich ostatniego konia - dwulatka. Kristin czuła, że nie usiedzi w jednym miejscu i postanowiła udać się za konną przejażdżkę. Kiedy jednak dotarła do stajni, znalazł ją tam Samson i poinformował, że Cole zabronił ruszać się z domu na krok. Zacisnęła gniewnie usta, nie posłuchała rozkazu, a Sam zaczął z dumą demonstrować jej postępy, jakie uczynił w obchodzeniu się z bronią.

Na Kristin nowe umiejętności Sama wywarły duże wrażenie. Powiedziała mu to, ale po chwili oparła smętnie brodę o ogrodzenie i ciężko westchnęła.

- Ale czy to wystarczy, Sam? - spytała. - Czy to wystarczy na Zeke'a?

- Ja sam na pewno mu nie sprostam, panno Kristin. Ale Slater dziś rano zebrał wszystkich chłopców i również zaczął uczyć ich strzelania.

- Widzę, Sam, że bardzo polubiłeś Cole'a.

- Pewnie. Dziś rano przywitał mnie w moim rodzinnym języku, a kiedy powiedziałem mu, że twój ojciec był bardzo uczonym człowiekiem, odparł, że uczciwość i mądrość nie zależą od koloru skóry, i że jest bardzo rad, iż mnie poznał.

Kristin uśmiechnęła się.

- To miłe, Samson. Bardzo miłe.

Przez chwilę oboje milczeli i Kristin poczuła okropne skrępowanie na myśl o tym, co Samson sądzi o jej związku z Cole'em.

- Świat nigdy nie bywa taki sam, panno Kristin - odezwał się w końcu Samson. - Nigdy. - Żuł w zębach żdźbło trawy i spoglądał na pastwisko. - Tak, świat nigdy nie bywa taki sam i pozostaje nam wyłącznie modlitwa do Boga, żeby okazał się lepszy, kiedy już się skończy ta okropna wojna.

Kristin skinęła głową, odwróciła się w stronę Murzyna i z całych sił przytuliła go do siebie. Nie wiedziała, co by zrobiła bez niego i bez Delilah.

Cole'a nie widziała ani w ciągu dnia, ani w nocy. Przebywał gdzieś z Pete'em i resztą pracowników ranca. Nie wrócili na kolację, dopiero dużo, dużo później usłyszała dobiegający z szopy głos i śmiech Pete'a. Tę noc również spędziła samotnie w przestronnym łóżu swoich rodziców.

Rano też nie wiedziała, czy wrócił do ich sypialni. Z jakiś niejasnych powodów przypuszczała, że nie. Irytował ją ten cały układ, choć doskonale wiedziała, że powinna dziękować losowi za to, że sprowadził tutaj Slatera.

Drżała na samą myśl o tym, że opuści ją i odjedzie.

Nienawidziła go. Przypuszczała, że Cole jej pragnie. Dlatego przystał na jej propozycję. Sama Kristin czuła do niego wstręt za to, że tak niecznie wykorzystał jej

trudną sytuację. Ale tak naprawdę ona również cały czas go pragnęła. Nie, wcale nie, przekonywała się w duchu. Byłam tylko ciekawa.

Z drugiej strony nie mogła zaprzeczyć, że od chwili jego przybycia na rancho żyła w jakiejś dziwnej gorączce. Prosta uczciwość nie pozwalała jej wyprzeć się prawdziwych uczuć.

Cały następny dzień Cole spędził w domu. Kiedy mijał ją w hallu, uchylił kapelusza, na ustach igrał mu lekki uśmiech.

- Zaczekaj! - zawołała. - Dokąd się wybierasz?
- Muszę odnaleźć kilka sztuk zabłąkanego bydła.
- Mogę jechać z tobą?

Przestał się uśmiechać.

- Nie.

Ale...

- Reguły ustalam ja!

-Ale...

Powiedziałem: ja ustalam reguły.

Zacisnęła zęby ze złości i zeszywniała. Chwilę spoglądała na niego w milczeniu. Uśmiechał się.

- Kolację zjem dziś w domu - oświadczył nieoczekiwanie. - Stek ze słodkimi kartoflami, pyszny groszek, który przygotować potrafi tylko Delilah, a na deser ciasto z czarnej borówki. Później... - Zawiesił głos, znów uchylił kapelusza i już go nie było.

A ona nawet nie wiedziała, gdzie spędził ostatnią noc.

Był to kolejny, obrzydliwy dzień. Nakarmiła kury Wyczyściła dokładnie konia. Pobawiła się trochę z małym Danielem, podziwiając, jak dziecko szybko rośnie. Powłóczyła się po piętach. A później długo siedziała na łóżku.

W kącie pod serwantką leżał jego koc. Dłuższy czas

spoglądała z wahaniem w tamtą stronę. Później wstała i zdecydowanie podeszła do serwantki.

Rozwinęła koc i zaczęła przeglądać rzeczy, które zapakował w niego Slater.

Nie było tego dużo. Jeśli miał portfel, to musiał zabrać go ze sobą. Znalazła tylko miseczkę do golenia, mały talerzyk i skórzany woreczek z tytoniem. W drugim woreczku była kawa i paczka sucharów.

Znalazła również niewielki, srebrny dagerotyp.

Kristin dokładnie obejrzała przedmiot i odkryła małeńki, srebrny zamek. Nacisnęła go i dagerotyp otworzył się.

Po obu stronach medalionu znajdowały się portreciki. Jeden przedstawiał kobietę; piękną kobietę o ogromnych oczach, ciemnych włosach i promiennym uśmiechu.

Na drugiej fotografii tej samej kobiecie towarzyszył mężczyzna. Cole.

Fotografię najwyraźniej zrobiono w Stanach Zjednoczonych. Slater miał na sobie mundur kawalerzysty, a więc zdjęcie niewątpliwie pochodziło sprzed wojny. Kobieta ubrana była w wytworną, obszerną suknię z krynoliną i śliczne nakrycie głowy ozdobione piórami. Oboje nie spoglądali w kamerę.

Patrzyli na siebie.

W ich oczach malował się taki bezmiar miłości, że Kristin poczuła się, jakby popełniła świętokradztwo. Szybko zamknęła medalion i odłożyła go na kocu. Zgarnęła pozostałe przedmioty tak, żeby ich właściciel nie zorientował się, że ktoś je ruszał. Co za różnica? - pomyślała beztrąsko Kristin. Ostatecznie powinien spodziewać się tego, że ludzie, którzy nic o nim nie wiedzą zechcą sprawdzić, kim jest naprawdę.

Ta kobieta nie żyje, pomyślała.

Nie wiedziała, skąd to wie, ale wiedziała. Cole Slater

bardzo ją kochał i Kristin była święcie przekonana, że gdyby kobieta z fotografii żyła, jego by tu nie było.

Zdawało się, że przed kolacją zapanował w domu jakiś złowieszczy bezruch i zapowiadająca bliżej nieokreślone nieszczęście cisza. Zastawiwszy stół, Delilah poszła zanieść robotnikom kolację.

Stół zastawiony został dla trzech osób.

Tego wieczoru jedli już na zwyczajnej zastawie. Shannon wystawiła zwykłe cynowe talerze, miski i kubki, a przy stole panowało milczenie równie przygnębiające jak barwa naczyń.

Cole nie pojawił się aż do zmroku. Kristin robiła, co mogła, ale i tak wieczorem uznała, że dzień należał do straconych. Nic na to nie potrafiła poradzić. Cały czas miała w uszach słowa Cole'a, że na noc wróci do domu. Nie mogła też wymazać z pamięci srebrnego dagerotypu i wizerunku kobiety.

Przebrała się do kolacji.

Była wprawdzie farmerem, a jej ranczu, leżącemu na granicy stanów Kansas z Missouri, wiele brakowało do wytwornych salonów bogatych plantatorów ze Wschodu, ale Kristin była prawdziwą kobietą, uwielbiała piękne stroje i elegancję.

Ojciec zawsze utrzymywał, że jego starsza córka jest płocha, ale kiedy to mówił, w jego oczach lśniły wesołe iskierki. W głębi serca pragnął, żeby jego córki wyrosły na prawdziwe damy, na kobiety, które nie boją się żadnej pracy, ale są damami. Łatwo ulegał kaprysom córek, po-błażliwie traktował ich zainteresowanie modą, a nawet zaprenumerował czasopismo „Lady Godoy's” - jedyny dostępny w ich okolicy magazyn mody. Szafa dziewczyny zapełniona była po brzegi sukniami, a w szufladach znaleźć można było halki i nakrycia głowy, koszule i gorsety, pończochy i długie majtki. Te w sumie drobne rze-

czy bardzo uprzyjemniały życie. Ale to było przed wojną. W tamtych czasach pracowali ciężko, żeby zrealizować swoje marzenia. Wieczorami długo musieli zmywać z siebie kurz. Po kolacji ojciec zasiadał w głębokim fotelu z cygarem w ustach, a ona i Shannon ćwiczyły na szpinecie. Kristin głos miała przyjemny, ale daleko mu było do głosu Shannon, która śpiewała jak słowik.

Czasami bywał u nich wieczorami Adam. Nawet gdy za oknami była sroga zima, w domu panowała atmosfera pełna miłości, było ciepło i przytulnie.

Tego właśnie najbardziej nienawidził Zeke, pomyślała. Nie wierzył w miłość, nie wierzył w radość, nie wierzył w nic, co nie zostało zrabowane lub kupione okazyjnie. Twierdził, że Kristin zdradziła ideały Południa. Zaczęła nim pogardzać, a zaraz potem straciła ojca i Adama.

Często wspominała Adama. Uwielbiał książki. Był taki przystojny w chwilach gdy pochylony nad płonącym w kominku ogniem czytał im opowieści Hawthorne'a lub sir Waltera Scotta.

Nikt jej nie powiadomił, że Adam ruszył w pościg za Moreau. Nie miała nawet szansy go zatrzymać.

Ale teraz dręczyły ją pewne wątpliwości, czy rzeczywiście kochała Adama Smitha. Och, na pewno bardzo go lubiła. Był wspaniałym mężczyzną, dobrym, przyzwoitym i czułym człowiekiem, który zawsze potrafił rozśmieszyć ją do łez.

Ale nigdy - nigdy - nie myślała o Adamie w taki sposób, jak o Cole'u Slaterze; nigdy nie wyobrażała sobie, żeby robić z nim rzeczy, które robiła z Cole'em.

A przecież nie kochała Slatera. Nie mogła go pokochać; zwłaszcza teraz, po tym, co jej zrobił. Jaka kobieta pokochałaby mężczyznę, który traktuje ją tak jak Slater Kristin?

Ale myśl o nim towarzyszyła jej nieustannie. Pamiętała uczucie, jakie ogarnęło ją, kiedy ujrzała Slatera po raz pierwszy. Czyż wolno jej uznać za niebyłe wszystko to, co ich połączyło? Kristin z przerażeniem uświadomiła sobie nagle, że nie wytrzyma z nim w jednym pokoju. W jego obecności traciła wprost dech, nie wiedziała gdzie podziąć wzrok, a za każdym razem, kiedy na nią patrzył, pragnęła skryć się w mysia norę. Jego widok natychmiast nasuwał jej obrazy ich wspólnej spędzonej nocy. Przepęłniał ją wstyd, i to bynajmniej nie na wspomnienie tego, co robili, ale na myśl, że sprawiało jej to tak nieprawdopodobną przyjemność. Ilekroć wchodziła do ich wspólnej sypialni lub choćby tylko przebywała w pobliżu Slatera, ogarniało ją podniecenie.

Instynktownie czuła, kiedy pojawiał się w domu.

Zbliżała się jesień i wieczory były chłodne. Włożyła więc białą sukienkę o przedłużonym staniku, uszytą z miękkiego jedwabiu i ozdobioną czarnymi lamówkami. Ponieważ była cienka i zanadto uwydatniała nogi, Kristin zdecydowała się włożyć pod spód obręcz i trzy halki.

Delilah tak mocno ściągnęła jej na plecach gorset, że Kristin w pierwszej chwili zwątpiła, czy będzie mogła oddychać.

Z jakichś tajemniczych względów zapragnęła nagle wyglądać bardzo pojętnie. W przeciwnym razie, choć Cole nie pozwoliłby sobie na żadną grubiańską uwagę, z pewnością rzuciłby kilka cierpkich uwag na temat jej wyglądu. Ostatecznie ani na chwilę nie pozwalał jej zapomnieć, że związek, jaki ze sobą zawarli, nie ma nic wspólnego z głębszym uczuciem. W straszny sposób raniło to dumę dziewczyny i nie pragnęła niczego bardziej, niż odpłacić mu pięknym za nadobne. Oczywiście wtedy, gdy nie będzie już go potrzebować.

Upięła włosy w wysoki kok, zostawiając jedynie kilka starannie ufryzowanych, długich loków opadających luźno na kark i ramiona.

Powzięła silne postanowienie, że do jadalni wejdzie majestatycznie, ale życie brutalnie skorygowało jej plany. Kiedy stanęła u góry schodów, poczuła, że kolana ma jak z waty i nie pozostawało jej nic innego, jak tylko niezgrabnie zbiec po stopniach.

Shannon rozstawiała właśnie na stole filiżanki. Popatrzyła na Kristin szeroko rozwartymi, niebieskimi oczami, ale nie odezwała się słowem. Kristin ze swojej strony również nie pytała o Cole'a.

- Jest w biurze - szepnęła nie pytana Shannon.

Kristin w milczeniu skinęła głową i zdenerowana ruszyła w obchód domu. Zatrzymała się na chwilę w salonie, a potem z determinacją ruszyła do gabinetu ojca. Przystanęła w progu.

Cole siedział za biurkiem jej ojca. Czytał gazetę, a brwi miał ściągnięte, co nadawało jego twarzy wyraz tak mroczny i zamyślony, że Kristin w pierwszym odruchu chciała wyjść nie zauważona. W tej samej chwili Slater uniósł głowę. Dziewczynie wydawało się, że na jej widok w jego źrenicach zapaliły się ogniki zdziwienia; w sekundę później jednak jego twarz przybrała zwykły, uprzejmy, trochę wyniosły wyraz. Nie spuszczał z Kristin wzroku.

- Jakież niedobre wiadomości? - zainteresowała się Kristin, spoglądając znacząco na gazetę.

Wzruszył ramionami.

- Takie jak zwykle. Nic nowego.

- Południe nie wygrywa, a Unia nie ponosi druzgoczącej klęski?

- Mówisz to z goryczą.

- Tak.

- Czy ktoś z twojej rodziny służy w armii?
- Mój brat.
- Po stronie Północy czy Południa?
- Północy. Jest w wojsku z Illinois... - Kristin zawa-
hała się. Nie chciała, żeby Cole traktował go jak kogoś,
kto zdradził sprawę Południa. - Matthew widział, jak
zamordowano naszego ojca. Poznał, co to nienawiść.

- Rozumiem.

Skinęła głową i po chwili zapytała:

- A czy z twojej strony ktoś służy w armii?

- Tak.

- Po stronie Północy czy Południa?

Przez chwilę się wahał.

- Po obu.

- Ale ty służyłeś w Unii?

- Zgadza się. - Przez chwilę milczał, po czym po-
wtórzył cicho: - Zgadza się. I za każdym razem kiedy
przeoglądam listę poległych, nieważne, której ze stron,
serce mi się ściska jak wszyscy diabli. Widzisz, Kristin,
po obu stronach walczą najwspanialszy ludzie, jakich
wydała nasza ziemia.

Była to dziwna chwila. Kristin czuła, że oblewa ją
fala jakiegoś dziwnego ciepła. W jakiś niepojęty sposób
zbliżyła się nagle do tego człowieka i choć niczego je-
szcze nie rozumiała, ogarnęła ją szalona radość, że Cole
jest przy niej.

Ale trwało to bardzo krótko.

Odwrócił się i Kristin przez moment studiowała je-
go profil. Widziała siłę bijącą z tego oblicza; widziała
również znaki, które wyrył na nim czas. Potem przy-
pomniała sobie kobietę z fotografii i z całą mocą dotar-
ło do jej świadomości, że Slater przecież wcale jej nie
kocha.

Poczuła się okropnie.

- Zaraz będzie kolacja - oznajmiła.

Skinął głową.

- Czy...czy mogę podać ci coś do picia? A może pragniesz czegoś innego?

Czegoś innego!

Zauważyła lekki uśmiech na jego twarzy i na policzki wystąpiły jej gorące rumieńce. Poczuła się głupio.

- Czy może być madera?

- Wystarczy whisky.

Kristin skinęła głową, zastanawiając się, skąd w ogóle przyszedł jej pomysł, by proponować mu cokolwiek. To raczej jemu wypadało wyjść z tą propozycją, dobrze o tym wiedział. Uśmiechnął się ironicznie, ale nie wykazał najmniejszej chęci, żeby sięgnąć po trunek osobiście. Bez słowa podeszła do komódki i wzięła butelkę. Stali bardzo blisko siebie. Cole nie przebrał się. Miał na sobie grube bryczesy, flanelową koszulę i wysokie buty do konnej jazdy. Wiedziała, że ostatnio dużo przebywa z Pete'em; już wcześniej zorientowała się, że Slater doskonale zna się na prowadzeniu rancza. No cóż, wedle informacji Shannon, mieszka przecież w tych stronach.

Nalała mu podwójną porcję bursztynowego płynu, wyciągnęła w jego stronę dłoń ze szklanką, ale on jakby tego nie zauważył. Patrzył na nią pociemniałymi, jak niebo przed deszczem, oczami.

Wyciągnął rękę i dotknął złocistego pukla włosów opadającego jej na piersi. Owinął go wokół palca, muskając przy tym kciukiem jej dekollet. Kristin stała jak sparaliżowana, niezdolna wykonać najdrobniejszego ruchu. Wydała tylko jakiś zdławiony jęk; w jednej chwili oblał ją cały żar piekieł, odbierając resztki sił. Popatrzyła na Cole'a, ale on ciągle wzrok miał utkwiony w jej włosach. Czuła ciepło bijące od jego wysokiego,

mocnego ciała. Na wspomnienie siły jego ramion, twardości brzucha i krzepkości ud zaczęła dygotać.

Pamiętała również szybkość, z jaką wyciągał broń. Ostatecznie jest rewolwerowcem, pomyślała.

Ale to nie mogło być prawdą. Przecież studiował w West Point. W randze kapitana służył w regularnej kawalerii Stanów Zjednoczonych. Tak w każdym razie twierdziła Shannon.

Ale czy to istotne? Był tutaj i jak długo zamierzał pozostać z Kristin, ona czuła się bezpieczna przed zakusami Zeke'a Moreau. Przemknęło jej przez myśl, że z ich układu najbardziej musi cieszyć się piekło, ponieważ za każdym razem, kiedy jej dotykał, nawet tak lekko jak teraz, zaczynał palić ją od środka jakiś ogień; czuła prawie zapach siarki...

- Czy zawsze do kolacji tak się stroisz? - zapytał, a dźwięk jego głosu sprawił, że po plecach przebiegł ją rozkoszny dreszcz.

- Zawsze - burknęła.

Jego dłoń zawisła w niepokojącej bliskości piersi dziewczyny. Ich oczy spotkały się i Cole powoli wypuścił z palców jej lok. W tej pełnej oczekiwania i najśodszych obietnic chwili Kristin poczuła, że uginają się pod nią kolana, za chwilę straci równowagę i przewróci się. O mało nie rozlała whisky ze szklanki trzymanej w dtoni. Slater wyjął jej z ręki naczynie i odstawił na stół.

- Jesteś piękną kobietą, panno McCahy - odezwał się cicho takim tonem, że w Kristin zaczęła burzyć się krew.

- A zatem... nie jesteś tak zupełnie rozczarowany naszym układem?

Znów się uśmiechnął. Jego srebrnoszare oczy rozbłyły łobuzersko.

- Czy naprawdę potrzebny był do tego aż układ?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparła, choć dobrze wiedziała, co Cole ma na myśli.

W oczach pojawiło mu się jakieś dziwne światło. Sięgnął po szklaneczkę i opróżnił ją jednym haustem.

- Cholera jasna, cały czas zastanawiam się, co ja tu jeszcze robię - mruknął.

- Myślałam...

I oblała się rumieńcem.

Dotknął jej policzka.

- Myślałaś, że już spłaciłaś haracz?

Straciła jego dłoń. Nie chciała, żeby jej dotykał.

- Doprawdy potrafisz się zachować tak, że kobieta w twojej obecności czuje się jak wyrzucony przez fale rzeki śmieć - powiedziała najsłodziej, jak potrafiła.

Uniósł brwi, a Kristin dostrzegła w jego twarzy leciutką kpinę i rozbawienie. Nie umiała z nim walczyć, a jeśli już nawet do tego dochodziło, nie potrafiła długo dotrzymać mu kroku. Wpadła w popłoch. Ogarnęła ją nieprzeparła chęć ucieczki.

- Nie chciałem, żebyś czuła się jak... śmieć.

- Nie przejmuj się. Udała ci się ta sztuka... T a m t e j |
nocy.

Kristin przesłała mu ironiczny uśmiech i ruszyła w stronę wyjścia.

W połowie drogi jednak gwałtownie się zatrzymała i odwróciła w jego stronę. Zaciśnęła usta. Ciągłe zapomniała, jak rozpaczliwie go potrzebuje. Cole wykrzywił twarz w cynicznym grymasie, który wyraźnie mówił, że mężczyzna dokładnie zna jej myśli.

Obojętnie nalał sobie kolejną porcję whisky.

- Nie bój się - oświadczył pogodnie. - Nie zostawię cię. Jeszcze nie teraz.

Kristin przeciągnęła językiem po wargach.

- Jeszcze nie teraz?

- Jak mógłbym opuścić damę, która wpadła w takie tarapaty, panno McCahy!

- Co przez to rozumiesz?

Wzniósł lekko szklanę.

- Traktuj moje słowa dowolnie.

Kristin zakłęła w duchu i podeszła do Slatera. Ze złością wyrwała mu z dłoni szklanę, mając szczyry zamiar wylać ją jemu na głowę. Oczy Cole'a zwięzły się Kristin odrzuciła ten pomysł.

Wypiła whisky jednym haustem. W gardle zapiekło żywym ogniem, a w głowie zawirowało. Podwójna whisky - jednym haustem. Opanowała się na tyle, że przywołała na twarz pogodny uśmiech.

- Nie jesteś mi już nic dłużny - powiedziała.

- Oczywiście, moja panno. To ty jesteś mi dłużna. - Z uśmiechem wyjął z jej dłoni szklanę i ponownie napełnił. - A co więcej, muszę upomnieć się o następną ratę.

Kristin znów wyrwała mu z ręki szklanę i wychyliła ją duszkiem. Nie wiedziała, czy czuje większy gniew, czy większe pożądanie.

Odstawiła z trzaskiem szklanę na biurko i zamierzała się odwrócić na pięcie, kiedy Cole zastąpił jej drogę i chwycił za łokieć. Uniosła zadziornie głowę i popatrzyła mu w twarz.

- Naprawdę jesteś przekonana, że sama tego nie ~~chcesz~~? - zapytał.

- Chcę tylko zemsty. Niczego więcej.

- Naprawdę niczego innego?

- Chcę... chcę, żebyś został. Nie chcę stracić rancza. Chcę zachować to, co do mnie należy.

- Drogocenne ranczo - stwierdził posepnie.

Serce załopotało jej ze strachu.

- Panie Slater... Cole... czy naprawdę chcesz... chcesz złamać dane słowo?

- Jeśli nie dotrzymasz warunków umowy, zdecydowanie tak.

Kręciło się jej potężnie w głowie. W tak krótkim czasie wypła tyle whisky. A on był taki gorący, taki męski, tak przerażająco męski. No i raz już była z nim w łóżku. Matka przewraca się w grobie, błysnęła jej myśl.

Wykorzystał ją. Wykorzystał ją, ponieważ kiedyś kochał kobietę, a potem został sam.

- Twoje warunki! Ale ranczo należy do mnie,
Wyswobodziła łokieć, odwróciła się na pięcie i szybko wyszła z pokoju.

Tak bardzo się bała, że Cole zostawi ją na pastwę losu. Wprost torturował ją tą groźbą.

Kiedy dotarła do jadalni, stwierdziła ze zdumieniem, że Slater nie odstępował jej na krok. Szedł bezszelstnie, jak duch. Odbierało jej to całą odwagę.

- Zostaw mnie w spokoju! - warknęła.

Z kuchni wyszła Shannon, a za nią Delilah. Zaskoczone, zatrzymały się w miejscu.

Cole nie zwrócił na nie uwagi.

- O co ci chodzi?

- Przestań się za mną włóczyć!

- Wcale się za tobą nie włóczę. Powiedziałaś, że kolacja na stole, więc przyszedłem.

- Matko Boska, Kristin, ty się upiłaś! - krzyknęła Shannon, patrząc na siostrę.

- Jasne, że się upiłam! - warknęła, obrzucając Cole'a płonąącym wzrokiem. - I jeszcze bardziej się upiję, zanim... zanim...

- Do licha, lepiej siadajmy już do stołu - odezwał się Cole.

Chwycił Kristin za rękę, wysunął krzesło i obcesowo wskazał dziewczynie miejsce. Jej szeroka spódnica zafalowała. Cole, nie krępując się wcale, przycisnął do siedze-

nia fałdy materiału i podsunął krzesło. Kristin zawsze starała się zachowywać godnie. Chciała być wyrafinowana i elegancka, a przede wszystkim w każdej sytuacji sprawować nad sobą i wszystkim kontrolę.

- Ty bydlaku! - powiedziała cicho ochrypłym z emocji głosem.

- Kristin, zamknij buzię.

To już dopełniło czary goryczy.

Zaczęła niemrawo wstawać od stołu, ale na ramię spadła jej ciężka dłoń Cole'a i dziewczyna została na miejscu.

- Kristin, zamknij buzię - powtórzył.

- Ty sku.

- Spokój, Kristin. - powiedział bardzo cicho. - Siedź, albo porozmawiamy na zewnątrz.

Whisky znów uderzyła jej do głowy, uderzyła bardzo mocno. Myślała, że za chwilę zacznie wrzeszczeć.

Zamiast tego wybuchnęła śmiechem.

- Na zewnątrz? Może na pistolety?

- Nazwij to sobie jak chcesz, kochanie, ale na pewno nie na pistolety.

Spowodowany alkoholem zamęt w głowie był rozkoszny. Jeśli ten drań zostanie tu dłużej, błysnęła Kristin całkiem rozsądna myśl, to wpadnę w pijaństwo.

- Czy możemy zaczynać kolację? - zapytał grzecznie Cole.

W jadalni zapadła głucha cisza. Shannon wpatrywała się w Slatera. Oczy miała jak spodki.

- Siadaj! - powiedział do niej.

Shannon po krótkim wahaniu zajęła swoje miejsce, pochyliła głowę i ukradkiem zerkała na Kristin, która dostała właśnie ataku czkawki.

Cole jęknął i popatrzył na Delilah.

- Czy ty i Samson nie jadacie przy wspólnym stole?

- Oczywiście, że nie, sir - odparła Delilah. - Nie wypada, żeby czarni dzielili stół z...

- Delilah, przestań... - urwał i przeniósł wzrok z Samsona na Kristin. Shannon o mało nie wybuchnęła śmiechem.

- Łotr - rzuciła w przestrzeń Kristin.

Teraz już Shannon parsknęła głośnym śmiechem. Zachichotała nawet Delilah.

- Bierz swego męża, kobieto, i usiądź do stołu! - polecił Cole. - Kiedyś przekonałem się, że czarny jego-
mość potrafi, równie dobrze jak biały, uratować skórę. Kończmy ten temat i siadajmy do jedzenia.

- Oczywiście, oczywiście ... - powiedziała szybko Delilah, ciągle chichocząc i ruszyła w stronę kuchni.

Kristin siedziała sztywno z rękami złożonymi na podłokciu. Wytworna suknia ciążyła jej. Czuła, że lada chwila spadnie z krzesła. Kiedy nagle sobie uświadomiła, że Cole bacznie ją obserwuje, niewiele ją to obeszło.

Z kuchni wróciła Delilah.

- Czy nikt jej przypadkiem nie włożył do buzi mydła? - zapytał Cole, wskazując Kristin i popatrzył na Murzynkę.

Kristin doszła do wniosku, że może już siedzieć w miarę prosto. Oświadczyła zatem radośnie Cole'owi, że przypomina jej to, co ludzie ścierają z butów, kiedy wychodzą z chlewu.

Shannon przełknęła ślinę i zaczęła niepowstrzymanie chichotać. Delilah zamarła w bezruchu. Stojący za nią Samson miał twarz szarą jak popiół.

Cole siedział nieporuszony, ale widać było, że aż się w środku gotuje.

Po chwili zerwał się z krzesła i Kristin, która już trochę otrzeźwiała, poczuła strach. Podeszedł do niej szybko, odsunął ją razem z krzesłem od stołu, chwycił za

łokieć i poderwał do góry. Halki i spódnica zafurkotały. Kristin zaklęła i uderzyła Slatera w kark.

- Cole - sapnęła.

Ale się rozpanoszył w moim domu! - pomyślała.

Pchnął ją w kierunku schodów.

- Co ty wyprawiasz? - pisnęła.

- Położę cię do łóżka.

- Nie mam zamiaru kłaść się do łóżka!

- Moje reguły, panno McCahy.

Wszyscy - i Shannon Delilah, i Samson - spoglądali w jej stronę, ale żadne z nich nie stanęło w jej obronie. Po prostu siedzieli i wytrzeszczali oczy.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła.

- Trzeba coś koniecznie zrobić, żeby zatkać ci buzię - oświadczył ponuro Cole.

- To mój dom.

- Ale moje reguły.

Chciała mu powiedzieć, gdzie może wsadzić te reguły, ale było już za późno. Znaleźli się na schodach.

Noga otworzył drzwi ich przestronnej sypialni i zanim dziewczyna pojęła, co się święci, wylądowała z impetem w łóżku. Chciała się natychmiast zerwać, ale tylko głucho jęknęła i chwyciła się za skronie.

Cole spojrzał na nią spod oka.

- Co jest, panno McCahy? - zapytał. - Myślałem, że jak każdy człowiek mieszkający na zachód od Missisipi, możesz pić nawet wtedy, kiedy już spadniesz pod stół.

- Maderę, nie whisky - odparła ponuro. Nie miał dla niej żadnej litości. Chwycił ją za nogę i ściągnął pierwszy but.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła, próbując przyjąć pozycję siedzącą.

- Zdejmuję ci buty.

Kiedy uporał się z obuwiem, jego dłonie powędro-

wały w górę jej nóg. Czując palce Cole'a na udach, próbowała protestować.

- Niech cię piekło pochłonie, Slater...

Urwała, gdyż Slater gwałtownie odwrócił się i mocno pociągnął ją za kostkę tak, że dziewczyna wylądowała na plecach. Błyskawicznie ściągnął z niej jedwabne pończochy, które niedbale rzucił na podłogę. Znowu próbowała usiąść, ale on przygniótł ją ciężarem swego ciała.

- Gdzie są te cholerne tasiemki? - mruknął majstrując przy krynolinie.

Kristin próbowała go powstrzymać, ale on znalazł tasiemki. Chciała złapać go za dłonie, ale on zabrał się do rozpinania sukni. Chwilę później stała w samych tylko długich majtkach, staniku i gorsecie.

- Chodź tu - powiedział szorstko.

Kristin krzyknęła cicho i próbowała mu się wymknąć, ale on sprawnie rozsznurował jej gorset. Westchnęła z ulgą, dziwiąc się, że w płucach może się pomieścić aż tyle powietrza.

Została prawie naga, tylko w skąnym staniku i majtkach. Ogarnął ją straszliwy wstyd.

Próbowała coś powiedzieć, ale on chwycił ją za ramiona i brutalnie pchnął na łóżko.

- Uspokój się i śpij - rozkazał. Zbliżył się do niej. Oczy miał zimne jak stal. Chciała uderzyć go w tę przystojną, obojętną twarz, ale jej dłoń minęła cel o całą miłą. Cole bez trudu unieruchomił jej rękę.

- Moje reguły - warknął.

Tym razem powiedziała mu, gdzie może schować swoje reguły.

- Zostaniesz sama, czy trzeba cię pilnować?

Uspokoiła się, próbując pojąć sens jego wypowiedzi, Cały pokój wirował.

I nagle wszystko do niej dotarło.

Spoglądał na nią, a następnie pochylił głowę i pocałował Kristin w usta. W jakiś sposób, mimo alkoholowego zamroczenia, pojęła zranionym sercem, że Cole naprawdę jej pożąda. Wiedziała też, że jej nie kocha, nie kocha jej ani trochę.

Pocałunek był mocny, długi, zaborczy, ale w pewien sposób również i karzący. Później stał się zachłanny i pełen namiętności, jaka ogarnęła mężczyznę. Ciało Kristin spontanicznie zareagowało na pieśczołę. Czula bijący od Cole'a żar, czula jego stwardniałą męskość. Zadrzała i w jednej chwili zapragnęła go, pragnęła, żeby ją kochał, żeby kochał ją czule i gęęboko, a nie tylko pożądał.

Wodził pożądlawie ustami po jej twarzy, po szyi, pieścił czubkiem języka jej piersi. Był niczym płomień wdzierający się w najskrytsze zakamarki jej ciała, przenikał w gęęb jej duszy i dziewczyna była zdumiona łatwością, z jaką wydobył na jaw jej prawdziwe uczucia.

Tak szybko i łatwo się w nim zakochała.

Robiła wszystko, żeby tylko nie miał do niej dostępu ów bijący od Cole'a żar, który spopielał jej wolę. Starala się nic nie czuć, przywoływała w pamięci wszystkie rozczarowania, jakie przyniosło jej życie w ostatnich latach, rozpamiętywała ciosy, które na nią spadły. Kiedy więc Slater uniósł na chwilę głowę, hardo popatrzyła w jego stalowe źrenice i spytała bezbarwnym tonem:

- Kim ona była? Twoją żoną?

Ugodziła go bardzo celnie.

Ochłódł w jednej chwili. Zupełnie jakby zamienił się w lodowy posąg. Spoglądał na Kristin długą chwilę. Szczęki mu drgały, rysy twarzy stwardniały, a w źrenicach zapłonęły wrogie iskierki. Później przecoczył się na bok i usiadł na skraju łóżka. Przeciagnał

palcami po włosach/przyłożył dłoń do skroni, jakby chciał ukoić jakiś straszny ból.

- Idź spać - powiedział głucho. - To nie twoja sprawa.

Kristin zasłoniła ramieniem twarz.

- Ale twoje reguły - mruknęła.

- Kristin, nie lubię takich scen - powiedział matowym głosem. - Ale...

- Ale co?

- Ale to ty zaczęłaś dziś tę awanturę, a ja musiałem ją skończyć. I tak będzie zawsze.

Poczuła, że łóżko poruszyło się, kiedy z niego wstał. Zaczęła drżeć, ale po chwili Cole otulił ją kocem.

- Śpij - powiedział cicho, prawie czule.

Prawie...

Wyszedł z pokoju. Usłyszała, jak cicho zamyka za sobą drzwi. Przerażona zamknęła oczy i zaczęła płakać tak gwałtownie jak wtedy, kiedy dowiedziała się, że Adam nie żyje.



To whisky, myślała Kristin. Leżała w ciemnym pokoju i czuła się okropnie. Kiedy zamykała oczy, natychmiast zaczynało się kręcić jej w głowie. Zastanawiała się, jaki zły duch podkusił ją, żeby tak szybko wypić tyle mocnej whisky. Sama siebie upokorzyła i nie pozostawało jej nic innego, jak znieść to z godnością i w milczeniu.

Ale w jakiś sposób wcale nie czuła się winna. Z dołu dobiegały ją przytłumione głosy i przez chwilę zastanawiała się, czy Samson i Delilah zasiedli ostatecznie do stołu z Cole'em i jej siostrą.

Tak, Cole Slater był niezwykłym człowiekiem. Naprawdę niezwykłym.

W głowie wirowały jej wszystkie karuzele świata. Powinna właściwie czuć wyrzuty sumienia, że tak się upiła, ale w głębi serca była z tego zadowolona. Alkohol bowiem zagłuszył na chwilę cały ból. Nie pamiętała chwil, kiedy umierał ojciec, nie pamiętała, że Matthew zdradził Południe i zaciągnął się do wojska Unii.

Wypadły jej nawet z pamięci chwile spędzone z Cole'em Slaterem. Nie pamiętała gorzkich nauk, jakie dało jej życie. Nie wiedziała, co znaczy lęk, co znaczy pogoń za czymś ulotnym, nieuchwytnym, co majaczy wyłącznie gdzieś na obrzeżach świadomości.

W zadziwiający sposób dzięki whisky osiągnęła całkowity spokój umysłu.

Zamknęła oczy i zapadła w sen. Kiedy się przebu-

dziła, pokój zalewało światło księżyca, a ona ciągle czuła błogi spokój.

Był z nią w sypialni.

Przyszedł bezszelestnie, bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Stał przy nich nieruchomo, ręce wsunął do kieszeni i obserwował śpiącą. Padający mu na twarz blask księżyca podkreślał surowość jego rysów, a jednocześnie w widmowym świetle jego oblicze było zdumiewająco piękne. Stał tak bardzo długo. Na zewnątrz zerwał się wiatr i szeptał cicho w załomach domu. Kristin oczyma wyobraźni ujrzała toczone wiatrem kule zielska, tańczące swój słodki taniec Zachodu. Podmuchy miotają nimi na wszystkie strony, podobnie jak nią miotał los. Czuła, że sama jest taką kulą - nie znała celu, nie rozumiała sensu.

Nie...

Cole Slater był wspaniałym mężczyzną - smukłym jak kuguar i drapieżnym jak orzeł. Stał bez ruchu przy drzwiach, ręce trzymał w kieszeniach i słuchał szmerów wiatru za oknem.

Poruszył się. Rozpiął mankiety koszuli, zdjął buty i ściągnął skarpetki. Podeszedł bosy do łóżka i odłożył na bok pas z rewolwerem. Popatrzył na Kristin.

- Nie śpisz?

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Przepraszam za dzisiejszy wieczór. Wyraźnie nie byłam w formie. Nie chcę... nie chcę robić więcej takich awantur.

Rozpiął koszulę i usiadł na łóżku. Nie spuszczał wzroku z dziewczyny. Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Ja też nie chcę. Kristin, przeszłaś wiele, ale zachowywałaś się znakomicie. Ktoś inny na twoim miejscu poddałby się już dawno.

Głos miał łagodny niczym szum wiatru, a spoczywające na jej policzku palce były czułe. Nic nie odpowiedziała ale cały czas patrzyła mu w oczy i wydawało się jej, że delikatny wiatr wypełnia jej ciało, przenika duszę. Czuła w skroniach pulsowanie krwi, aż do bólu była świadoma samej siebie i obecności mężczyzny. Tak, na pewno jeszcze spała. Tak, na pewno był to sen; czar, który spłynął wraz z blaskiem księżyca. Bujała w chmurach własnej wyobraźni.

A jednak działo się tak naprawdę. Naprawdę. Pochylił się i złożył na jej wargach delikatny pocałunek. W pierwszej chwili był on niczym strumień łagodnego światła. Cole smakował jej usta, drażnił je końcem języka. Później wszedł językiem głębiej, a ona zarzuciła mu ręce na szyję; jego muskularny tors przylegał do jej piersi. Czuła jego zaborcze i czułe zarazem dłonie na swoim ciele. Palce mężczyzny wędrowały po jej twarzy, później zbłądziły na szyję, na ramiona i do miejsca, gdzie pod koronkowym stanikiem rozkosznie kryły się piersi. Kiedy chciwe usta Cole'a zaczęły pieścić przez cienki materiał sutki, Kristin głośno westchnęła. Wtedy uniósł głowę i ich usta ponownie się spotkały.

Kristin załkała bezgłośnym szlochem.

Wstał i zdjął z siebie resztę ubrania. Padł na niego promień księżyca. Mężczyzna prezentował się imponująco: był wysoki, i chociaż smukły, to potężnie zbudowany. W sinawym świetle miesiąca jego skóra lśniła miedzianym blaskiem. Zafascynowana dziewczyna patrzyła nań wstrzymując oddech. Jeśli nawet był to sen, dziękowała losowi, że zesłał jej właśnie taki. Pragnęła Cole'a. Pragnęła duszą i ciałem, pragnęła go każdą cząstką swej istoty.

Nie porafiła już dłużej tego się wypierać.

Czas przestał dla niej istnieć. Leżała skąpana w po-

tokach księżycowego światła, a jedyną rzeczywistością był ten mężczyzna i pożądanie wyzierające z jego wzroku. Jego oddech stał się gwałtownym wiatrem, miotająca nim burza pożądania i zmysłów. Już nie pieścił jej delikatnie. Ssał gwałtownie jej sutki i Kristin myślała, że umrze z rozkoszy. Nie dotykał wstydliwie i delikatnie jej ud, ale szalał między nimi, sięgając językiem jądra jej kobiecości. Jego dotyk wydarł z piersi dziewczyny głośny krzyk. Cole uklęknął obok Kristin, spojrzawszy na nią zamglonym wzrokiem, od którego zakręciło się jej w głowie, a następnie oplótł jej smukłymi nogami swoje biodra. Pochylił głowę i Kristin chciała coś powiedzieć, powstrzymać go, ale nie była w stanie wymówić słowa.

Pod wpływem tak intymnego i palącego dotyku odchyliła głowę i żeby nie krzyczeć, aż do krwi zagryzła wargi. Straciła jednak kontrolę nad sobą i z jej ust dobył się głośny jęk. Szarpnęła ciałem, ścisnęła konwulsyjnie uda i usłyszała jego cichy, dźwięczny śmiech. Chciała uderzyć Cole'a, chciała od niego uciec, ale on był już na niej, był już w niej, rozpalając białe, oślepiające ognie. I znów się to stało, wszystko zaczynało się od początku. Objął drapieżnie dłońmi jej pośladki i wprowadził Kristin w oszalałymi, poruszając jej każdy nerw rytm.

Otoczyła ich jakaś szaleńcza, wirująca mgła. Dziewczyna zamknęła oczy i wtuliła twarz w jego tors, smakując językiem słony pot Cole'a.

W mężczyźnie nie było już nic czułego. Tylko te oszalałe, pełne żądzy, drapieżne, gorączkowe ruchy, Kristin bała się, że zatraci się w Cole'u bez reszty. Tuliła się do niego wychodząc mu radośnie naprzeciw. Ponownie przyszła ekstaza i tak samo jak wtedy wbiła mu paznokcie w plecy i długo drżała pod nim konwul-

syjnie. Przez jego ciało również przechodziły dreszcze; ogarnął ich wspólny żar spełnienia. Kiedy opuściło go pierwsze uniesienie, przesunął się w bok i zaczął łagodnie gładzić wzburzone włosy Kristin.

Nie wyrzekli ani jednego słowa.

Ani jednego!

Wiatr za oknem ucichł.

Serce wciąż waliło jej w oszalałym tempie. Musiał to doskonale wyczuwać, kiedy trzymał ją w objęciach. Było to wspaniałe uczucie: zapadać w sen z plecami wtulonymi w tors Cole'a, podczas gdy jego czułe palce spoczywały tuż pod jej pełnymi, wrażliwymi piersiami. Nie dbała o to, czy jest dzień, czy noc, czy świeci księżyc, czy nie. A księżyc cały czas zalewał ich swym srebrzystym blaskiem.

Tak, to zapewne był sen. Ale nie chciała wiedzieć tego na pewno. Zamknęła oczy; już nie wirowało jej w głowie. Zasnęła.

On również zasnął i również śnił. Koszmar przeszłości, koszmar, który prześladował go nocą i dniem powrócił z całą mocą.

Sen krystalizował się powoli, ach, jak powoli! Najpierw dotarł do niego dźwięk... cichy, ciągły łomot, niczym głos odległych bębnow. Tętent końskich kopyt. Później usłyszał krzyki. Początkowo nieokreślone, nie mające żadnego sensu. Najmniejszego. Po chwili dopiero uświadomił sobie, że łomot podków dobiega spod niego. Tak, to on był jeźdźcem. Zrozpaczony gnał na złamanie karku i tak bardzo chciał dotrzeć do domu, zanim...

Dym. Wciągnął głęboko powietrze do płuc i poczuł na języku kwaśny smak. W zapachu było coś... Po kręgosłupie przeszedł mu lodowaty dreszcz. Poznał odrażający odór palonego ciała.

Widok, jaki ujrzał, przejął go zgrozą. Palił się dom, płonęła stodoła.

I wtedy ujrzał Elizabeth.

Biegła w jego stronę.

Wykrzyknął jej imię. Głos miał ochrypły i ciągle czuł pod sobą ruch wierzchowca, słyszał łoskot podków. Gnał przez równinę w kierunku ciągnących się szerokim pasem zarośli. Elizabeth była coraz bliżej. Wołała jego imię, ale głos nie docierał do niego, tonął w huku.

Upadła i stracił ją z oczu. Wbił koniowi ostrogi w boki, zmusił do jeszcze szybszego cwału. Bez ustanku wykrzykiwał jej imię. W końcu ją znalazł. Jej długie, gęste kruczoczarne włosy rozlewały się jedwabistą falą na ziemi.

- Elizabeth...

Wziął ją w ramiona i popatrzył na trawę. Czerwień. Z rąk też ciekła mu krew, brudziła ubranie. Krew, całe potoki krwi, czerwień... barwa krwi...

Odrzucił głowę do tyłu i krzyczał - krzyk odbijał się echem, zwielokrotniał i płynął nad równiną...

Obudził się.

Był spocony i drżał. Potrząsnął głową, żeby wrócić do rzeczywistości, potem spojrzał na leżącą obok kobietę. Ujrzał złociste włosy i białą pierś poruszającą się w rytmicznym, lekkim oddechu.

Nie obudziła się.

Wstał i podszedł do okna. Popatrzył na księżyc. Nie budził jej, tak było dużo lepiej. Dla niego... Ale ostatecznie nie krzyczał przez sen.

Wrócił do łóżka i zaczął z góry obserwować Kristin. Wyglądała tak młodo i niewinnie. Była po prostu śliczna. Poczł straszliwą ochotę, żeby obudzić ją i powiedzieć, jak ryzykowną podjęła grę.

A może dobrze o tym wiedziała?

Znów podszedł do okna i znów popatrzył na księżyc. Powoli opuszczało go wywołane snem napięcie. Ciężko westchnął. Wrócił do łóżka, ale nie mógł znieść dotyku Kristin. A przecież potrzebował jej jak powietrza

Nie mógł zasnąć. Kiedy nadszedł świt, ubrał się i wyszedł przed dom. Popatrzył na rozciągającą się równinę i znów oczyma wyobraźni ujrzał biegnącą w jego stronę Elizabeth. Zamknął oczy i obraz zniknął. Pozostał jedynie ból. Cole rozprostował ramiona. Ból powoli cichł, ale nigdy go do końca nie opuszczał. Ścisnął jego serce lodowatymi palcami. Ponownie zadał sobie pytanie, co, u licha, robi w tym miejscu. Natychmiast sobie przypomniał, że zawarł „układ” i musi go dotrzymać.

Odwrócił się, popatrzył na okno pokoju, w którym spała Kristin, i powoli ruszył z powrotem do domu.

Nie spodziewała się tak brutalnego przebudzenia. W jednej chwili pogrążona była w błogim śnie, a w następnej już ktoś mocno klepał ją w pośladki. W gołe pośladki!

Później ten ktoś ściągnął z niej kołdrę. Głośno protestując, usiadła na łóżku i gwałtownie podciągnęła nakrycie pod samą brodę. Oczy ciskały błyskawice.

W nogach łóżka stał kompletnie już ubrany Cole i mierzył ją chłodnym wzrokiem.

- Chodź do biura - oświadczył obcesowo. - Jeśli mam ci pomóc, muszę przejrzeć księgi.

- Zejdę, kiedy będę gotowa - odburknęła.

Nie rozumiała tego mężczyzny. Nie potrafiła zrozumieć jego dziwnego zachowania i dystansu, jaki utrzymywał po tym, co wspólnie przeżyli tej nocy.

To bolało.

- Wstawaj!

Zmrużyła oczy.

- Wstanę, gdy wyjdiesz z pokoju. Powiedziałam, że zejdę do biura, kiedy będę gotowa.

Ponownie ściągnął z niej kołdrę i nim Kristin zdążyła się zorientować, rzucił ją na podłogę. Beznamiętnie patrzył na dziewczynę stalowoszarymi oczyma.

Zakłęta, wyskoczyła z łóżka i rzuciła się na niego z pięściami. Z ponurym, pełnym samozadowolenia uśmiechem chwycił ją za ramiona; sprawiał takie wrażenie, jakby chciał się z nią bić. Próbowała uwolnić się z jego uścisku. Krępowwała ją nagość, zwłaszcza że miała do czynienia z kompletnie ubranym mężczyzną. Przyciągnął ją do siebie. Poczowała na brzuchu ucisk klamry od jego pasa; ale przede wszystkim była świadoma emanującej od niego namiętności, choć pozornie sprawiał wrażenie kogoś, kto całkowicie panuje nad swoimi emocjami.

- Kristin - powiedział szorstko. - Nie będziesz wylegiwać się w piernatach do południa. Jesteś farmerem i sama o tym najlepiej wiesz. A może traktujesz wszystko jak zabawę? Może chodzi ci wyłącznie o to, żeby pojeździć z chłopcami konno i odgrywać rolę ślicznotki z Południa?

- W nic się nie bawię, panie Slater - odparła z uśmiechem, choć rozsadzała ją złość; - Jestem farmerem i to zapewne lepszym niż ty. I wcale nie muszę przy tym być szpetna jak zad starej kobyły. Tak więc, Slater, jeśli ponownie będziesz miał do mnie jakiś interes, proszę najpierw zapukać, tylko zapukać, a ja ze swojej strony obiecuję, że będę dla ciebie grzeczna. Proszę więc już nigdy nie traktować mnie tak obcesowo i nie podnosić na mnie ręki.

Unióśł brwi, a na twarzy pojawił mu się szeroki uśmiejch. Puścił dziewczynę i założył ręce za plecy. Jego wzrok palił ją żywym ogniem. Kristin przez chwilę sądziła, że po prostu weźmie ją w tej chwili, w jasnym świetle dnia; myślała, że chwyci ją na ręce, zanieśie do łóżka i będą się kochać w promieniach porannego słońca. Powinna coś zrobić, powinna krzyzczyć...

Sama nie była pewna, czy chce, żeby to właśnie uczynił. Ale Cole uchylil tylko kapelusza, odwrócił się na pięcie i wyszedł z sypialni.

Kiedy zesza na dół, Cole kończył właśnie śniadanie. Rzucił na stół kraciałą serwetkę, wstał, po czym popatrzył na stojącą w progu dziewczynę. Ta wesza do jadalni i zajęła miejsce przy stole.

- Naleśniki, kochanie? - zapytała Delilah.

Cole obszedł stół i położył Kristin dłoń na ramieniu.

- Delilah, daj jej tylko filiżankę kawy. Zje później. Czeka nas masa pracy.

Mogła ponownie zrobić awanturę tak, jak zrobiła to przy kolacji. Delilah, Samson i Shannon nie spuszczałi z niej wzroku. Shannon patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami. Najwyraźniej na coś czekała.

Co za kawał łobuza! - pomyślała Kristin. Zachowuje się jak cham. Ale ona również poprzedniego wieczoru się nie popisała. Zdawała sobie sprawę, że jeśli powtórzy wyczyn z poprzedniego dnia, wyjdzie na idiotkę.

- Cole ma rację - przyznała potulnie. - Czeka nas bardzo pracowity dzień. Daj mi tę kawę, Delilah.

Odebrała z jej ręki filiżankę i uśmiejchnęła się z przyzusem.

- Do dzieła, panie Slater. Przed nami długi i nudny dzień.

Kiedy przeszli do biblioteki, natychmiast zajął miejsce za biurkiem jej ojca. Kristin dosza do wniosku, że

był już tu tego dnia wcześniej, ponieważ na blacie leżała księga rachunkowa. Kiedy dziewczyna zajęła miejsce, Cole zasypał ją gradem pytań. Gdzie kupuje paszę, jak dużo, jak często? Czy rozważała pomysł, żeby wypasać stada na odleglejszych pastwiskach i uniknąć w ten sposób rekwizycji ich przez wojska, nieważne, Unii czy konfederatów? Czy myślała o tym, że było powinno dłużej przebywać na pastwiskach? Czy zamierza zająć się hodowlą nowych ras?

Pytania ciągnęły się bez końca.

Na wszystko odpowiadała bez wahania. Ostatecznie była farmerem. Miała bystry umysł, cechowało ją zdecydowanie, była wykształcona i chciała, żeby o tym wiedział. W pewnej chwili zaświtała jej nawet myśl, że Cole jest po prostu zwykłym włóczęgą i nie ma tu żadnych praw. Natychmiast jednak przypomniała sobie, że to ona przecież prosiła go, żeby został. Błagała go o to.

Wszystko wyszło od niej, to ona postanowiła zrobić co w jej mocy, żeby Slater został. I został, a ona jest już zupełnie kimś innym. Ale bez względu na to, jak bardzo się zmieniła, on nie będzie nią pomiatał.

Ale przecież wyrwał mnie z rąk Zeke'a, błysnęła jej rozsądna myśl. Pojawił się w najbardziej odpowiednim momencie i uratował mnie. A teraz wszystko wskazuje na to, że sam zamierza mnie wykorzystać.

Nieoczekiwanie wstał i niecierpliwie potrząsnął głową.

- Wychodzę - oświadczył.

Nasunął głęboko na oczy kapelusz i obszedł biurko.

Kristin również wstała.

- Czy mogę jechać z tobą...

- Nie.

- Mogłabym ci pokazać...

- Do diabła, czy jesteś głucha? A może wcale nie słuchasz, co do ciebie mówię? Sam sobie wszystko obejrzę. Obejrzę sobie to, na co będę miał ochotę. A ty zostaniesz w domu. Jeśli pod moją nieobecność gdzieś pojedziesz i wpadniesz w łapy Zeke'a, nikt ci nie pomoże.

I to byłoby chyba najlepszym rozwiązaniem, chciała rzucić mu w twarz, ale ugryzła się w język, bo w głębi duszy wcale tak nie uważała. Zeke zamordował jej ojca, a bez względu na to, jak grubiańsko zachowywał się względem niej Cole, do Moreau było mu daleko.

Skrzyżowała ramiona na piersi i odchyliła się do ty-

- Nie zamierzam pilnować każdego twojego kroku owiedziała zjadliwie.

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem i opuścił gabinet.

Nie miała pojęcia, dokąd pojechał, ale była przekonana, że niezbyt daleko.

Kristin usiadła za biurkiem i zaczęła przeglądać gazetę.

Wojna. Wszystkie artykuły traktowały o wojnie: o wojskach Unii, które trzymały w rękach Kansas, o środkach, jakie zamierzano podjąć celem zniszczenia bandy Quantrilla...

Wojna i wojna. Unia zdobyła Nowy Orlean i Grant zaklinał się, że niebawem zdobędzie również Vicksburg. Ale bez względu na to, jakie odnosił sukcesy, jednego faktu nie dawało się ukryć: na Wschodzie panoszył się Lee. Miał wprawdzie mniej liczną armię, mniej ywności i amunicji, ale był zdolnym, inteligentnym dowódcą i tego nie potrafiła zatuszować nawet gazeta, która ukazywała się w mieście opanowanym przez Unię. Południe było silne i choć nie wiodło mu się na

froncie, to w jego szeregach walczył genialny Lee i Stonewall Jackson, Jeb Stuart, Morgan Hunt i wielu, wielu innych dzielnych ludzi.

Kristin oparła policzek o chłodny, drewniany blat biurka swego ojca. Po lekturze gazety wcale nie czuła się lepiej. Przeciwnie, treść artykułów jeszcze bardziej zmroziła jej serce. Wszystko wskazywało na to, że wojna skończy się nieprędko. Żadna ze stron nie mogła uzyskać decydującej przewagi. Wojna zapowiadała się na długą.

A banda Quantrilla będzie grabić i grabić...

Po chwili Kristin uniosła głowę. Ktoś pukał do drzwi. Delilah. Murzynka niepewnie wsunęła głowę do pokoju.

- Co będziesz jadła? - spytała. - Naleśniki czy bekon?

Dziewczynie z głodu kiszki grały marsza. Przecież nie jadła ani wczorajszej kolacji, ani dzisiejszego śniadania. Wstała od biurka i wsunęła dłonie w tylne kieszenie spodni.

- Mam wielki apetyt na naleśniki.

- To doskonale. Chodi.

- Delilah, zaczekaj!

Kobieta zatrzymała się w progu i popatrzyła na Kristin.

- Delilah, czy postępuję właściwie? - zapytała dziewczyna.

- Kochanie, nie masz innego wyjścia.

Kristin potrząsnęła głową.

- Wczoraj wieczorem zrobił ze mnie kompletną idiotkę.

- Sama się o to prosiłaś.

- Tak, to racja. Niemniej...

- Potrzebujemy go - odparła bez ogródek Delilah. Uśmiechnęła się i Kristin wiedziała, że gdyby nie jej he-

banowego koloru skóra, Murzynka by się zaczerwieniła. - Potrzebujemy Slatera, a ponadto bardzo go lubię. Bardzo. To uczciwy i porządny człowiek.

- Żyję z nim bez ślubu - odparła czerwona jak burak Kristin. - Delilah, jestem... jestem jego... nałożnicą.

- I co z tego? - odparła Murzynka. - Powtarzam ci, że lubię Cole'a i nie obchodzi mnie, kim jest. To przyzwoity mężczyzna... - urwała. - Chodź na śniadanie.

Kristin bez sprzeciwu ruszyła za nią.

Po posiłku z pasją zaczęła sprzątać i zamiatać dom. Później udała się do stajni, gdzie oporządziła konie. Na koniec wzięła kąpiel. Siedząc w wannie, doszła do wniosku, że jakkolwiek Cole Slater jest dużo lepszy od Zeke'a, to i tak go nie znosi. Nawet w wannie nie dawał jej spokoju. Myślała o nim cały czas. To ze względu na niego chciała wyglądać ładnie, miło pachnieć...

Postanowiła, że przy kolacji i przez resztę wieczoru zachowywać się będzie chłodno, wyniośle i dumnie.

Ale on na kolację nie wrócił. Nie wrócił wcale. O północy dała za wygraną i poszła na górę. Włożyła zapinaną pod samą szyję na maleńkie guziki koszulę nocną i przez godzinę jeszcze czuwała. W końcu zmorzył ją sen

Cole zwlekał z powrotem do domu, czekając, aż dziewczyna zaśnie. Palił cygaro, pociągał brandy i zastanawiał się, co porabiają chłopcy Quantrilla.

Sam Quantrill nie jest jeszcze najgorszy, myślał Slater. Przerażający byli jego kompani. Krwiożerczy Bill Anderson, okrutny i pozbawiony skrupułów Zeke...

Cole słyszał, że niektórzy z bandy Quantrilla przejęli obyczaje od Indian i skalpują swoje ofiary.

Quantrill opowiadał się za Południem.

Tacy jak Lane czy Jennison - za Północą. Jedni i dru-

dzy bez litości zabijali każdego, kto stawał im na drodze. Korzystali z wojny, którą obie strony zaciekle toczyły w imię odmiennych ideałów.

Z ogniska bił w niebo dym. Cole nieoczekiwanie zdrzął. Przed oczyma znów stanęła mu Elizabeth. Ale ku swemu zdumieniu, kiedy zamknął oczy, pod powiekami ujrzał obraz Kristin. Ujrzał ją, jak zajadle walczy o swoją godność, ujrzał ją powaloną na ziemię...

Wstał i otrzepał spodnie z kurzu.

Kristin żyła, a Elizabeth była martwa. Elizabeth zaabił Doc Jennison i jego maruderzy. Kristin napastować grasanci.

Jestem na nią wściekły za to, że żyje, uświadomił sobie nagle. Ona żyje, a Elizabeth nie. Zdawał sobie sprawę, że tego problemu dziewczynie nie wytłumaczy.

Cisnął cygaro na ziemię i zgniótł je obcasem. Rozejrzał się. Wiedział, że nie złamie danej Kristin obietnicy. Taką już miał naturę. I było rzeczą nader istotną żeby Quantrill dowiedział się, że Cole żyje z Kristin McCahy.

Popatrzył w stronę domu, zaklął i po cichu ruszył w jego stronę. W progu na chwilę przystanął. To był dobry dom. Mocny, duży i panowała w nim ciepła, rodzinna atmosfera. Miał duszę.

Głęboko odetchnął i zaczął bezszelestnie wspinać się po schodach. Cicho wszedł do sypialni, głęboko przekonany, że Kristin wróciła do swego pokoju.

Nie wróciła.

Spała skulona na swojej połowie łóżka. Jej włosy rozsypywały się i na jego poduszce.

Szybko zrzucił z siebie ubranie, ale zanim wsunął się pod kołdrę, odsunął spoczywające na poduszce, złociste i pachnące olejkiem różanym pasma włosów dziewczyny. Przeszył go dreszcz, sam dotyk jej włosów

wburzył w nim krew, rozpalił namiętności. Ona nic mnie nie obchodzi, napomniał się w duchu.

Wyciągnął się wygodnie na plecach i zaczął wpatrywać się w sufit, bębniąc palcami po klatce piersiowej. Śpi mocno, pomyślał. Gdyby się obudziła, na pewno nie byłaby zachwycona moją obecnością.

Ponownie musnął dłonią jej włosy. Naszła go refleksja, że powinny być czarne.

Nie kochał Kristin.

Wsunął dłoń pod jej koszulę i zaczął wodzić palcami najpierw po łydkach, potem po smukłych udach krzywiźnie bioder. Musnął dłonią jej pośladki, a następnie łagodnie wziął dziewczynę w ramiona i przycisnął usta do jej warg.

Słodko i spontanicznie zareagowała na jego dotyk.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się całym ciałem. Rozchyliła usta, a on wszedł w nie językiem, spijając miodowy smak jej warg. Przywarł do Kristin, jego biodra znalazły się między jej rozchyłonymi udami. Miała zamknięte oczy, nie zdążyła się jeszcze w pełni rozbudzić.

Kiedy jednak wróciła do rzeczywistości, zaczęła stawiać gwałtowny opór. Nabrzmiałym od łez głosem wyzwała go od łobuzów.

- Wiem - szepnął.
- Więc skoro wiesz...
- Przepraszam.

Ponownie próbował ją pocałować, ale Kristin gwałtownie odwróciła głowę i jego usta trafiły na jej szyję.

- Zachowujesz się jak tyran.
- Wiem. Przepraszam.
- Traktujesz ludzi jak służących...
- Wiem. Przepraszam.
- Zachowujesz się...

Rozchyliła usta, a on chwycił delikatnie zębami jej dolną wargę i zaczął pieścić ją językiem. Kristin znów przywarła doń całym ciałem. Ujął jej twarz w dłonie i kiedy, łapiąc z trudem powietrze, popatrzyła mu w oczy, szybko ją pocałował i namiętnie zaczął szeptać jej prosto w usta:

- Przepraszam. Tak bardzo, bardzo przepraszam.

Milczała, spoglądając na niego z napięciem. Leżała nieruchomo, aż do bólu świadoma jego pulsującej męskości. Jeśli spróbuje stawiać mu opór, on odejdzie.

Nie stawiała oporu. Po prostu na niego patrzyła. I wtedy ją wziął. Wydała zdławiony okrzyk, objęła go za szyję i wtuliła twarz w jego ramię. Oplotła go smukłymi nogami i teraz już był w niej bardzo głęboko.

Kochała się z nim z ogromną pasją dając rozkosz, o jakiej nie śnił nawet w najdzikszych marzeniach. Potem leżał obok niej, na torsie miał rozsypane jej włosy. Są jasne a nie kruczoczarne, ponownie błysnęła mu myśl. Byli dla siebie kompletnie obcy i ich drogi zeszyły się przez czysty przypadek, a teraz jedynie zaspokajali zmysły.

Gdyby zamknął oczy, ujrzałby Elizabeth biegnącą do niego. Biegnącą, biegnącą, biegnącą...

Ale w marzeniach nie jawiła się mu twarz Elizabeth. Kobieta, która biegła do niego, miała rozwiane, jasnoblonde włosy. Poprzez noc biegła do niego Kristin, a on chciał ją złapać, ale bał się. Bał się, że znowu nie zdąży.

Bał się, że weźmie ją w ramiona i ujrzy na swoich dłoniach krew. Bał się, że spojrzy w cudowne, niebieskie oczy Kristin, a po rękach płynąć mu będą strumienie krwi.

7

Kristin obudził huk wystrzałów. Kiedy podbiegła do okna, ujrzała, że to Samson i Delilah, pod baczny nadzorem Cole'a, uczą się obchodzić z koltem. Szybko włożyła bawełnianą koszulę, spodnie oraz wysokie buty i wybiegła na łąkę. Delilah po każdym strzale w wyniku odrzutu broni traciła równowagę, ale niezrażona, z wyrazem uporu na twarzy, nie rezygnowała z kolejnych prób. Kiedy w końcu Samson zaczął z niej podkpiwać, dała mu potężnego kuksańca. Cole roześmiał się i popatrzył na Kristin. Natychmiast się zorientował, że dziewczyna jest w nie najlepszym humorze. Nie schodząc z płotu, na którym siedział, pokiwał jej głową i uniósł brwi. Kristin zaczerwieniła się. Noce spędzamy wprawdzie razem, pomyślała, ale noc to noc. Jasne światło dnia to zupełnie inna sprawa. Nie zamierzała dłużej zachowywać się jak dziecko i udawać, że Cole nie wywarł na niej piorunującego wrażenia, że nie wzbudził w niej nowych, niewiarygodnych wprost uczuć. I co z tego, że jest to niezgodne z obowiązującym kodeksem moralnym i towarzyskimi konwencjami? Morderstwo również jest z nimi sprzeczne. Świat nigdy nie kierował się zasadami etyki, a ona nie miała nic przeciw takiej bliskości z Cole'em. Umiał postępować z kobietami, wiedział, kiedy należy okazywać czułość, wiedział, jak rozpalić w kobiecie płomień nieprzytomnego pożądania. Nawet teraz, kiedy rzucał jej wyłącznie zdawkowe spojrzenia, z całą siłą wracał

do niej żar ich wspólnie spędzanych nocy, i nie było te wcale uczucie przykre. Cole po prostu nie zdawał sobie sprawy z tego, ile dla Kristin znaczy.

Nie odezwał się słowem. Tylko patrzył. I czekał.

- Panno Kristin, zobaczysz sama, że jeszcze nauczę się strzelać! - zapewniła ją Delilah.

Kristin uśmiechnęła się z przymusem.

- Wiem, Delilah, że jak się przy czymś uprzesz, zawsze swego dopniesz. - Włożyła kciuki w kieszenie spodni. - Cole, czy mogłabym cię prosić o chwilę rozmowy?

- Rozmowy? - spytał obojętnie.

Oświadczył już wprawdzie Kristin, że jest mu bardzo przykro z powodu wielu rzeczy, ale generalnie jego stosunek do niej nie zmienił się na jotę.

Nawet nie zszedł z płotu.

- Tak, w cztery oczy - dodała dziewczyna.

Wzruszył ramionami i zeskoczył z ogrodzenia.

- Niech pan się nie trudzi, panie Slater - dobiegł ją zza pleców głos Samsona i zdziwiona Kristin odwróciła się w jego stronę. W głosie miał smutek, a na ustach posępny uśmiech. - Sama najlepiej wiesz, jakim cię dażę szacunkiem, panno Kristin, ale wiem, że zamierzasz powiedzieć mu, iż nie życzysz sobie, aby uczył nas posługiwania się bronią. Jesteśmy wolnymi Murzynami i sądzisz, że jeśli nie będziemy używać broni, wystawią nas tylko na sprzedaż, a nie zastrzelą na miejscu lub powieszą. Wielokrotnie rozmawiałem o tym z Delilah. Ale jesteśmy razem. Teraz popadliśmy w kłopoty i musimy się trzymać razem. Delilah szybko nauczy się strzelać. Widzisz, panno Kristin, od dawna jestem już wolnym człowiekiem. To wspianiałe uczucie.

- Samsonie... - Kristin przełknęła głośno ślinę i za-

zamknęła oczy. - Samsonie, jeśli przeżyjesz, zawsze możesz odzyskać utraconą wolność. Jeśli umrzesz...

- Pokładam ufność w Bogu, panno Kristin. Pewnego dnia, na drugim brzegu rzeki, stanę z nim twarzą w twarz. I nie chcę, żeby spotkał tchórza lub ktoś, kto wsparł się swoich ideałów. Jesteśmy razem, panno Kristin. Na dobre i na złe.

Popatrzyła ze złością na Cole'a. Ten tylko wzruszył ramionami,

- Tyś chyba postradał rozum! - warknęła. - Samson jest czarny.

- Samson jest człowiekiem - odparł Slater. - Wolnym człowiekiem. Twój tata po to dał mu wolność, żeby w chwilach takich jak ta mógł swobodnie dokonać wyboru.

Wszyscy z napięciem spoglądali na Kristin. Nikt nie wyrzekł słowa, nikt nie wykonał najmniejszego ruchu. Stali w promieniach porannego słońca. Cole przeszywał ją wzrokiem. Oczy miał beznamietne, wyprane z wszelkich uczuć. Nie znam tego człowieka, pomyślała ogarnięta nagłą paniką. Nie znam go zupełnie. Ale czy to ważne? - zadała sama sobie pytanie. Nieważne. Kości zostały rzucone.

- Muszę wracać do domu - oświadczyła nieoczekiwanie Delilah. - Chcę zająć się Danielem i przysłać tutaj Shannon, żeby też sobie postrzelała.

- Shannon? - szepnęła Kristin.

Cole odebrał Delilah broń i powoli, z namysłem, ponownie ją naładował. Rondo kapelusza kompletnie zasłaniało mu twarz.

Czy chcesz, żeby twoja siostra była bezbronna?
Unióś głowę i popatrz na Kristin prosto w oczy.

Dziewczyna uśmiechnęła się i odebrała z jego dłoni broń. Przy tylnym płocie ciągle stały w rzędach butelki.

Mierzyła równie powoli i z namysłem jak on ładował pistolet. Dobrze pamiętała rady, jakie dawali jej ojciec i Adam. Pamiętaj o odrzucie, pamiętaj, że dla słabszej od mężczyzny kobiety może to stanowić pewien problem. Naciskaj cyngiel łagodnie. Nie szarp przy tym ręką...

Nie chybiła ani razu. Sześć strzałów i sześć roztrzaskanych butelek rozprysło się w powietrzu. Odłamki szkła lśniły w promieniach słońca.

Dziewczyna z uprzejmym uśmiechem odwróciła się do Cole'a i wdzięcznym ruchem oddała mu kolta.

Wyczyn Kristin wcale go nie zaskoczył, nie okazał nawet zdziwienia. Długą chwilę wpatrywał się w jej twarz, a następnie wyciągnął z kabury drugiego kolta i wręczył go dziewczynie.

- Zobaczmy, jak poradzisz sobie z ruchomym celem - powiedział.

- Proszę bardzo.

Cole skinął na Samsona i Murzyn radośnie się uśmiechnął. Chwycił jedną z butelek i cisnął ją wysoko w górę. Kristin trafiła bezbłędnie flaszkę w chwili, kiedy ta osiągnęła w powietrzu najwyższy punkt. Znow zalśniła w słońcu tęczą rozbitego szkła.

- Nieźle - mruknął Cole. Przesunął kapelusz na tył głowy i ostro popatrzył na Kristin. - A Shannon? - zapytał.

W tej chwili, jak na zawołanie, na podwórku pojawiła się Shannon. Miała na sobie robocze ubranie. Koszula i bryczesy uwydatniały kształty budzącej się w niej pięknej kobiety. Popatrzyła chytrze na Kristin i ta od razu wiedziała, że jej młodsza siostra przez cały czas myśli o wydarzeniach, jakie miały miejsce przy kolacji. Miała ochotę dać jej w twarz, ale w ostatniej chwili opamiętała się. Postanowiła ignorować kpiący uśmieszek Shannon.

- Cole chce zobaczyć, jak strzelasz - powiedziała.
- Wiem.

Uśmiechnęła się do niego. Bardzo go lubiła. Kristin miała ochotę przywrócić siostrę do rzeczywistości, powiedzieć jej, że ten człowiek pewnego dnia zniknie z horyzontu ich życia i dlatego nie powinna żywić żadnych złudzeń.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Shannon w ogóle potrzebuje takiej przestrogi.

A ona sama?

- Pokaż mu - powiedziała głośno Kristin.

Shannon pokazała. Była jeszcze lepszym strzelcem niż jej starsza siostra i Cole natychmiast zwrócił na to uwagę. Nigdy nie był rozrzutny w pochwałach, ale do Shannon odnosił się miłej niż do kogokolwiek innego.

- Dobrze. Bardzo dobrze - powiedział.

Zadowolona i dumna z siebie Shannon zaczerwieniła się. Kristin odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę domu. Nie pozwalała jej ruszać się na krok z rancza. Gdyby mu się sprzeciwiła, z całą pewnością obojętnie zdałby ją na łaskę grasantów. Postanowiła zachowywać się jak człowiek dorosły, dojrzały i mający własną godność i własny rozum.

A przede wszystkim nie zamierzała już więcej wszczynać na ranczu awantur.

- Kristin! - usłyszała jego głos.

Odwróciła się.

- Co ty wyprawiasz?

Stał w przekrzywionym na bakier kapeluszu, ręce założył na biodra. Było w nim coś nieubłaganego, nieprzejednanego, niezgłębionego, jakaś twardość. Ale dlatego właśnie go potrzebowała. On nie da się pokonać. Nie dokona tej sztuki Quantrill, nie dokona jej także Kristin.

Zadrżała na tę ostatnią myśl. Zacisnęła szczęki i przez chwilę zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie trwać wojna, przez chwilę rozważała, czy nie byłoby rzeczywiście lepiej, gdyby wyniosła się z tych stron.

- Czeka mnie dużo papierkowej roboty - odparła spokojnie. - Niech pan się nie boi, panie Slater, nie zamierzam łamać reguł gry.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Później odjechał Cole. Siedząc w biurze i biedząc się z długimi kolumnami cyfr, usłyszała oddalający się dźwięk kopyt jego wierzchowca. Zaniepokojona wyszła przed dom. Było jej bardzo ciężko na duszy. Dotąd wszystko kręciło się wokół jej osoby.

Ale teraz grali o wysoką stawkę. Bardzo wysoką. Zmusiła się do powrotu do gabinetu i usiadła za biurkiem. Dokładnie skalkulowała cenę wołowiny oraz odległość, jaka dzieliła ich ranczo od miejsca skupu bydła. Potem odsunęła papiery i gryząc w zadumie gumkę zastanawiała się, jak to będzie wieczorem, kiedy Slater wróci na kolację.

Jeśli w ogóle wróci na noc do domu.

Nieistotne, natychmiast napomniała samą siebie. Ciągłe zapominała, że łączy ich tylko układ. Była przekonana, że Cole o tym fakcie nie zapomina ani na sekundę.

Dała sobie najuroczystsze słowo honoru, że od tej chwili ona też będzie o tym pamiętać - układ, interes, nic więcej, nic osobistego. A jednak ciągle nie dawało jej spokoju pytanie, jak to będzie, kiedy Slater wróci na kolację. Postanowiła że pokaże mu klasę, udowodni, że jest prawdziwą damą z Południa.

Cole wrócił.

Kristin była czarująca. Do stołu ubrała się bardzo

elegancko: nałożyła błękitną brokatową bluzkę ze wstawkami i szeroką spódnicę. Nieustannie przypominała sobie swoją matkę i robiła wszystko, żeby zachowywać się dokładnie tak, jak ona by się zachowywała.

W trakcie posiłku cały czas zwracała się do Cole'a *per* panie Slater. On z kolei spoglądał na nią uprzejmie i prowadził grzeczną rozmowę, zupełnie jakby całe życie spędził w salonach na Wschodzie.

Po kolacji wyszedł przed dom. Kristin długo jeszcze kręciła się na dole, ale w końcu, kiedy wszyscy poszli już spać, ona również udała się do siebie. Stała przy oknie i dostrzegła na werandzie sylwetkę Cole'a. Palił jedno z drogich cygar jej ojca i z kieliszka do koniaku popijał brandy. Oparty plecami o jedną z podpór ganku, patrzył w nocne niebo.

Zastanawiała się przez chwilę, o czym myśli, za czym tęskni.

Przeniósł nagle wzrok na okno, w którym stała Kristin. Choć jej twarz natychmiast stanęła w pałach, dziewczyna wdzięcznie się uśmiechnęła.

- Dobry wieczór - powiedział cicho.

Kristin nic nie odpowiedziała. Obserwował ją z zainteresowaniem dłuższy czas, po czym po twarzy przemknął mu uśmiech.

- Zaraz przyjdę na górę.

Serce jej załopotało i zaczęło boleśnie objąć się o żebra. Natychmiast jednak napomniała się, że ma zachowywać się jak dorosła kobieta, a nie ekscytować się jak podłotek.

A jednak kiedy usłyszała jego kroki na schodach, nie potrafiła opanować drżenia. Później buty mężczyzny zastukały w korytarzu, otworzyły się drzwi i w progu stanął Cole. Ciągłe miała na sobie błękitną, brokatową bluzkę i stylową spódnicę. Spoglądał chwilę, jak falują

w głębokim dekolcie jej piersi. Uśmiechnął się lekko, a w oczach pojawiła mu się niezwykajna dla niego czułość.

- Chodź tu - powiedział miękko.

Wyciągnął rękę w stronę dziewczyny i Kristin nagle znalazła się w jego objęciach. Nie było w tym nic nie-naturalnego. Pocałował ją w usta, a następnie odwrócił i zaczął rozpinać spódnice. Ciało w miejscach/gdzie dotykały go palce mężczyzny, pulsowało tak samo jak serce. Błysnęło jej w głowie, że rozbiera ją z taką wprawą, ponieważ robił to już z dziesiątkami innych kobiet, ale z jakiś powodów refleksja ta nie sprawiła jej przykrości. Liczyło się tylko to, że jej ubranie leżało porzucone na podłodze, zaś Cole wziął ją na ręce; znów byli tylko oni i blask księżyca. Zaniósł dziewczynę do łóżka. Widziała namiętność malującą się w jego wzroku, czuła emanujący z każdego jego dotyku żar. Zarzuciła mu ramiona na szyję i westchnęła, rozkoszując się wonią jego ciała, twardością jego mięśni, pulsującą, drapiezną męskością. Gdzieś tam na preiach wiatr toczył kule zielska, wył potępieńczo, a ich sypialnię przenikał zapach róż - dziki, podniecający, burzący krew w żyłach.

Gdzieś tam trwała wojna, gdzieś tam toczyły się bitwy. Północ walczyła z Południem, a cały kraj pławił się w posoce. W Kansas i Missouri krew płynęła strumieniami, niczym z rozdartej aorty, ale tej nocy Kristin w ogóle o to nie dbała.

Odżywała w jego objęciach; podniecona, omdlewająca. Uczyła się, gdzie go dotknąć, jak poruszyć, doprowadzić do ekstazy, jak wspólnie opuścić rzeczywisty świat, w którym przyszło im żyć. Żaden narkotyk, żaden trunek nie oszołomiłby ich tak, nie wzniosł na wyżyny doznań tak silnych i tak pełnych słodczy.

Tej nocy on zasnął pierwszy. Obserwowała jego majaczącą w mroku twarz. Miała nieprzepartą chęć dotknąć jej, ale nie zrobiła tego. Jego długi, prosty, mocny nos był niczym dziób drapieżnego ptaka. Miał wydętne kości policzkowe, wysokie czoło i kwadratowe szczęki skryte pod gęstą brodą. Intrygowały ją blizny widniejące na jego ramionach i torsie. Po chwili jednak przypomniała sobie, że przed wojną służył w kawalerii Unii. Zastanawiała się, w jakiej bitwie został ranny.

I miała taką ogromną ochotę go dotknąć...

Wyciągnęła dłoń, ale natychmiast ją cofnęła. Cole stanowił absolutną zagadkę, a jednocześnie fascynował dziewczynę. Przyciągał ją niczym ciepło ogniska; a tego właśnie Kristin bała się najbardziej.

Tak mało o nim wiedziała. Ale jednocześnie bała się głębiej w to wnikać, gdyż czuła, że wówczas Cole odepchnie ją bez wahania i bez skrpułów. Dotychczas traktował ją w miarę przyzwoicie. Znosił nawet jej humory. Dbał o nią, potrafił być czuły i dorównywał jej namiętnością.

Ale czuła, że z nią nie zostanie. Nie zostanie na dłużej. A co gorsza, miała przeczucie, że nigdy jej nie pokocha, choć ona tak łatwo wpadła w sidła własnych uczuć. Już teraz każdy inny mężczyzna, myślała posępnie, w porównaniu z nim wydaje mi się nijaki i mało atrakcyjny.

Inny mężczyzna... jeśli ktokolwiek przeżyje tę wojnę.

Podeszła do okna i spojrzała na nocne niebo. Księżyc stał wysoko, zalewając swym srebrzystym blaskiem wybieg dla koni i budynki gospodarcze rancza. Świat jakby zamarł w jakimś nieziemskim spokoju.

Kristin westchnęła.

Choć formalnie wojna zaczęła się od wystrzałów

w Fort Sumter w kwietniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku, to w Kansas i Missouri krew płynęła chyba od zawsze. Armia Północnej Karoliny dwukrotnie pokonała pod Manassas wojska Potomacu podczas gdy w Missisipi wojskom Unii powodziło się trochę lepiej. Północ wygrała bitwę pod Shiloh i w kwietniu, dzięki zwycięskiej batalii pod Farragut, Unia zdobyła Nowy Orlean.

To powinno mieć dla mnie ogromne znaczenie, pomyślała. Osobiście jestem zainteresowana tym, kto w tej wojnie wygra, a kto przegra. Powinnam się tym bardziej interesować. W Sharpsburgu w stanie Maryland, nad Antietam Creek, obie strony zadały sobie mordercze straty. Była akurat w mieście, kiedy wywieszano listy poległych - przerażająco długie listy. W gazetach ogromne nagłówki głosiły o tej najkrwawszej z dotychczasowych bitew, że ludzie po kolana brodzili we krwi, a stopy trupów sięgały nieba. Widziała łzy w oczach matek, narzeczonych i kochanek - rodzin chłopców, którzy poszli walczyć po stronie Północy, i rodziny, których synowie opowiedzieli się za Konfederacją. Z drżeniem serca szukała nazwiska Matthew, dzięki Bogu nie znalazła. Wtedy dopiero dotarło do niej, że otaczają ją zrozpaczeni, zapłakani rodzice, siostry i bracia poległych.

Czasami odnosiła wrażenie, że prawdziwa wojna toczy się gdzieś daleko, na zupełnych rubieżach świata. W Missouri walczyli wszyscy ze wszystkimi. Tutaj nie walczyły ze sobą armie - tu ludzie po prostu wyrzynali się.

Tutaj chodziło jedynie o to, żeby przeżyć. A Kristin, najbardziej ze wszystkiego, chciała właśnie przeżyć.

Zadrzała z zimna - uświadomiła sobie, że wyszła z łóżka nago. Odwróciła się i spostrzegła, że Cole nie

śpi i czujnie ją obserwuje. W blasku księżyca niesamowicie lśniły mu źrenice i dziewczyna ponownie zastanowiła się, o czym on naprawdę myśli. Mężczyzna otaksował spojrzeniem jej postać i Kristin uświadomiła sobie, że jest nago, że jego wzrok pieści jej ciało.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Sama nie wiedziała dlaczego, ale nagle zachciało się jej płakać.

- Myślę o wojnie - odparła cicho. Oczy mężczyzny jakby straciły blask.

- Wydaje się, że toczy się ona daleko stąd - odezwał się cicho. - Co więcej, nie sądzę, żebyśmy toczyli tę samą wojnę co reszta kraju. - W jego głosie zabrzmiał bezmiar goryczy i dziewczynę ogarnął nieoczekiwany chłód; odniosła dziwaczne wrażenie, że mężczyzna w ogóle zapomniał o jej obecności. Po chwili jednak jego wzrok znów spoczął na Kristin; w oczach pojawił się smutek i jakaś niezwykła czułość. - Nie myśl o tym - powiedział. - Nie myśl o wojnie. Niczego nie jesteś w stanie zmienić.

Chciała coś odpowiedzieć, ale zawiódł ją głos i tylko w milczeniu skinęła głową.

- Wracaj do łóżka - odezwał się Cole. - Jest bardzo późno.

Nawet kiedy mówił szeptem, jego głos był głęboki i dźwięczny.

Zapomniała o wojnie. Zapomniała o całym świecie. Cole przejął nad nią absolutną władzę. Poczowała ucisk w żołądku, sutki jej stwardniały i zapragnęła nagle zakryć swą nagość. Nie wiedziała, skąd brało się w niej tyle odwagi i śmiałości. Stała nago, rozmawiała z mężczyzną, ale przede wszystkim ze względu na zwykłą przyzwoitość powinna czymś się okryć.

Nic jednak nie zrobiła. Wyprostowała się, odchyliła

do tyłu głowę i jej włosy, niczym złocista kaskada w blasku księżyca, opadły miękką falą na plecy. Zbliżyła się do Cole'a. Skoro już zawarli ten układ, to powinni przynajmniej być wobec siebie uczciwi. Naprawdę go pragnęła. Pragnęła tych nocy. Pragnęła być w jego ramionach, pragnęła ekstazy, która była słodsza niż samo życie.

Podeszła bardzo powoli, wdzięcznie. Szła z kocią gracją, falując zmysłowo biodrami. Na widok ten w żyłach Cole'a szybciej popłynęła krew- Był rad, że przykryty jest kołdrą, ponieważ na widok Kristin zareagował spontanicznie i natychmiast. Zacisnął pięści i czekał na dziewczynę. Czekał, aż zbliży się do łóżka. Wtedy wyciągnął rękę i już po chwili Kristin spoczywała w jego ramionach. Ich usta połączyły się, chłonąc łapczywie nieziemską, przyprawiającą o zawrót głowy słodycz.

W najdzikszych snach i marzeniach nie przypuszczał, że dojdzie do tego, że znajdzie u Kristin taki azyl, taką oazę spokoju. Od samego początku wiedział, że jest piękna, cudna jak wschodzące słońce, jak nie kończące się pola kukurydzy w czasach, kiedy nie zostały jeszcze zbrukane krwią. Zdawał sobie sprawę, że pożąda dziewczyny.

Nie wiedział tylko jak bardzo.

Jej oczy były niczym niezgłębiona otchłań przyzywającego go morza, a sploty włosów niczym złota pajęczyna, po której piął się do raj. Nie mógł pokochać Kristin, ale tęsknił za nią każdym nerwem swego ciała. Ogarniała go palące żądze, których nie potrafił ugasić. Zaspokajała go kompletnie, lecz już po chwili wystarczał drobny jej gest, poruszenie ciałem, szept, żeby ponownie ogarnął go pożar zmysłów. Był jej pierwszym mężczyzną, wyzwolił w niej kobietę. A jednak cały czas miała w sobie jakąś

zdumiewającą niewinność. Musiał czuć bliskość Kristin, wodzić palcami po jej delikatnej twarzy, ujmować w dłonie jej piersi, wdychać jej zapach.

Ale to wszystko się skończy, pomyślał i jęknął, kiedy Kristin, napierając nań biodrami, wbiła mu w plecy paznokcie. Ale to wszystko się skończy, powtórzył w duchu.

Ogranięty pożądaniem, odrzucił wszelkie rozsądne myśli. Popatrzył dziewczynie w oczy, w błękitne, otchłanne, świetliste źrenice wypełnione bez reszty miłosnym szałem. Zagarnął ją pod siebie, wniknął w nią, wniknął w najpiękniejszą krainę fantazji. Koiła jego ból, leczyła rany, dawała chwile nieprzytomnej rozkoszy. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak pożądał jakiegokolwiek kobiety.

Było to dla niego zupełnie nowym doznaniem.

Później dziewczyna zasnęła. Założył ręce za głowę i spoglądał niewidzącym wzrokiem w sufit, na którym w księżycowym blasku układały się dziwaczne cienie.

To źle, myślał Cole. Źle, kiedy ktoś ma duszę wypraną z wszelkich uczuć i kieruje nim wyłącznie myśl o zemście.

Ale nie mógł, nie potrafił już inaczej żyć. Kristin przyszła do niego z propozycją, a on nie wykręcił się byle pretekstem.

Ale to wcale go nie usprawiedliwiało.

Tak bardzo potrzebował Kristin.

Jednak to również go nie tłumaczyło. Ale było ważne. W jakiś osobliwy sposób ich losy splotły się ze sobą i, jak w wielu innych przypadkach, okazało się to bardzo proste.

Bardzo proste...

Tym razem to on wstał z łóżka. Podeszedł do okna

i popatrzył na księżyc. Tak, niebawem nadejdzie czas rozstania.

Jeszcze raz spojrzął na księżyc i wzruszył ramionami. Jutro uda się do najbliższego punktu telegraficznego, gdzie, miał nadzieję, uda mu się nadać wiadomość. Nie wiedział, na jak długo musi wyjechać, a nie chciał zostawiać Kristin samej.

Nie teraz.

Ale ile czasu może jej strzec? Jak długo może żyć marzeniami?

Zamknął oczy. Sny, ciągle sny. Sny o śmierci, o śmierci kogoś...

Serce zmroził mu strach. Nie wiedział... Nie, wiedział aż za dobrze. Wiedział, że choćby świat się walił, a z Chin przybyła szarańcza, choćby pojawili się Jankesi albo jeźdźcy Quantrilla - on znajdzie sposób, żeby ochronić Kristin. Nie wiedział tylko, dlaczego ma to zrobić. Może to kwestia honoru, którego już tak niewiele na świecie zostało?

A może dlatego, że tak strasznie pragnął tej kobiety? Ponieważ tylko ona była w stanie ukoić jego ból? Ponieważ tylko w jej ramionach potrafił prawie zapomnieć...

Nie chciał zapominać.

Ale zapominał, na krótkie, ulotne chwile.

Tak czy owak, pomyślał zniecierpliwiony, zawarliśmy układ i muszę jej bronić. Muszę, choćby cała obrosła futrem, a pod nosem pojawiły się jej sumiaste wąsy.

Uśmiechnął się. Ty stary łgarzu, zganił siebie. Sam się okłamujesz. Ona ciebie potrzebuje, a ty jej pożadasz; i o to w tym wszystkim chodzi.

Nie. Będzie jej bronił dlatego, że nie chce tulić w ramionach jej skrzwawionego ciała. Będzie jej bronił, żeby nie powtórzyło się tamto...

Zaczął głęboko oddychać, próbował się odprężyć.

Obroni ją. Wie, jak to zrobić. Pomogą sobie wzajemnie, a wtedy będzie już mógł z czystym sumieniem odjechać. Któregoś dnia przecież wojna się skończy.

Boże, spraw, żeby ta wojna się skończyła, szepnął z rozpaczą.

Dni płynęły utartym torem.

Pewnego razu, kiedy wszyscy mężczyźni zajęci byli przy bydle, Cole pozwolił Kristin towarzyszyć sobie, w przeciwnym razie dziewczyna musiałaby zostać sama w domu.

Objechali cały majątek McCahy'ow. Pokazała Cole'owi wszystkie studnie, pokazała miejsca zagrożone powodziami podczas obfitych opadów. Innym razem poszukiwali zabłąkanych krów, a raz nawet udali się do miasta, żeby kupić drut na ogrodzenie północnego pastwiska.

Pomimo że przebywali ze sobą tyle czasu, sprawy między nimi układały się dziwnie. Roboty mieli huk, byli dla siebie uprzejmi, ale nie potrafili obalić dzielącego ich muru chłodu i dystansu. Kristin i Shannon stroiły się do kolacji; Kristin nie chciała tak zupełnie odrzucać obyczajów cywilizowanego świata i wieczorne posiłki stanowiły dla niej namiastkę starych, dobrych czasów. Ale rozmowy przy stole nie kleiły się i były sztywne. Cole odzywał się rzadko, a jeśli już nawet zabierał głos, to mówił wyłącznie o sprawach rancza, o bronii albo niepewnych losach wojny. Kristin i Shannon nie ruszały się z domu bez bronii, to samo dotyczyło Dalilah i Samsona.

Do siostry Kristin Cole odnosił się z uprzedzającą grzecznością. Kristin ze zdumieniem skonstatowała, że jej blisko osiemnastoletnia siostra stała się prawie doj-

rzałą kobietą. Cole jednak ciągle traktował ją jak dziecko - pobłażliwie i z wielką wyrozumiałością, co niebywale irytowało Kristin. Chciała, żeby mężczyzna również dla niej zarezerwował trochę takich uczuć. Czasami zadawała mu bardzo osobiste pytania, ale on zawsze wykręcał się od jasnych odpowiedzi. Kiedy spytała go, dlaczego otacza się taką tajemnicą, odburknął, że jego przeszłość ani przyszłość nie powinny jej obchodzić, i że nie życzy sobie podobnych pytań.

Nie robiło mu różnicy, czy po takiej wymianie zdań oddalała się bez słowa, czy też wdawała się w sprzeczkę. Po prostu pozwalał jej odejść albo wysłuchiwał, co ma mu do powiedzenia, i sam odchodził.

Tylko noce były zawsze takie same.

Płynął czas...

Pewnego poranka obudziła się samotna i zmarznięta. Nie było to nic nadzwyczajnego. Cole sypiał krócej niż Kristin i często wychodził z sypialni, kiedy ona pogrążona była jeszcze w głębokim śnie. Ale tym razem instynkt powiedział jej, że Cole'a nie ma w domu.

Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz.

Odszedł!

Dobiegł ją jakiś dźwięk. Tętent konia. Wskoczyła z łóżka, podbiegła do okna i popatrzyła w stronę korralu. W stronę domu, na wielkim, gniadym wierzchowcu, nadjeżdżał jakiś człowiek.

Przycisnęła dłonie do ust, tłumiąc okrzyk. Przybysz miał na sobie mundur stalowego koloru. Kristin z uwagą przyjrzała się złotym epoletom.

Kawalerzysta. Jeździec był oficerem kawalerii w armii Południa.

Błyskawicznie ubrała się, wkładając spodnie, koszulę i buty. Wmawiała sobie, że sama pochodzi z Połud-
przerobiła Anula43

nia, urodziła się na Południu, a swoich ziomków znie-
nawidziła wyłącznie za to, że po. ich strome opowiadał
się Quantrill. Uśmiechnęła się na myśl, że największy
bohater Shannon, Jeb Stuart, również jest oficerem ka-
walerii i służy w wojsku Południa.

Wcale jej to nie uspokoiło. Prześladowała ją myśl, że
oficera przysłał tutaj Zeke lub któryś z jego kompanów.

Cole nieustannie ją przestrzegał, żeby nie wychodzi-
ła z domu bez broni; wiedział, że dziewczyna wyśmie-
nicie włada sześciostrażowym koltem. Włożyła zatem
i pas z bronią, nerwowo sprawdziła, czy pistolet jest na-
bity i gotowy do strzału.

Później szybko zbiegła po schodach.

Dom pogrążony był w ciszy.

Gdzie podziała się Shannon?

Przed oczyma Kristin stanął straszliwy obraz: jej śli-
czna siostra zaciągnięta została do stajni i tam brutalnie
zgwałcona.

Przełknęła głośno ślinę i starała się przekonać samą
siebie, że przesadza, że strach ma wielkie oczy. Nie-
mniej dom ciągle pogrążony był w upiornej ciszy, a na
dodatek dręczyło ją przeczucie, że Cole wyjechał, nie
na objazd rancza, ale na zawsze. Nie potrafiła racjonal-
nie wyjaśnić, skąd to wie. Może mówiła jej o tym dziw-
na pustka, która czaiła się w domu?

Strach ścisnął ją stalową, zimną niczym lód obręczą.
Ale teraz...

Teraz miała ważniejsze sprawy na głowie.

- Delilah?

Odpowiedziała jej głucha cisza. W kuchni nie było
ani Delilah ani Samsona. Nie słyszała płaczu ich dzie-
cka i nie miała zielonego pojęcia, gdzie podziewa się
Shannon. Ale nowo przybyły oficer kawalerii nie pukał
do domu...

Wyszła cichutko tylnymi drzwiami, żeby nie spowodować najmniejszego hałasu. Bezszelestnie podeszła do załomu bocznej ściany i wyrzała na drugą stronę. Jeździec i jego koń zniknęli bez śladu.

Serce boleśnie łopotało jej w piersi. Pochyliła się i najszybciej, jak umiała, pobiegła po suchym piasku do stodoły. Przemknęła wzdłuż zabudowań gospodarczych i z duszą na ramieniu dotarła do budynku.

Kiedy już oparła się o ścianę, głęboko odetchnęła. W skroniach jej pulsowało.

Minęła narożnik budynku i przed nosem ujrzała wylot lufy karabinu enfield.

Broń trzymał mężczyzna w uniformie oficera kawalerii wojsk Konfederacji. Mundur był brudny i wytarty; część epoletów oddarta.

- Rzuć broń! - odezwał się cicho obcy.

Miał piękne, niebieskie oczy, ale spojrzenie ostre jak brzytwa.

Kristin uświadomiła sobie, że celuje w nieznanego z kolta.

- To raczej ty rzuć swoją! - odwarknęła.

Uśmiechnął się i dziewczyna nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że mężczyzna jest młody i bardzo, ale to bardzo przystojny.

- Enfield zrobi w tobie dziurę na wylot.

- Na twoim miejscu nie byłabym wcale tego tak pewna.

- Nie żartuj! Z tej odległości?

- Mój kolt oskalpuje cię szybciej niż cała banda Indian.

Choć mundur miał zniszczony, przybysz sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie, był męski i, co dziwne, na swój sposób elegancki. Kristin szybko doszła do wniosku, że nie zamierza wyrządzić jej krzywdy. Ale

nie wypuszczała broni z ręki. Dawno już nauczyła się nie ufać nieznajomym.

- Kristin McCahy?

- Tak, to ja.

Roześmiał się i opuścił karabin.

- Dlaczego, do licha, podkradasz się do mnie w taki sposób?

Schowała kolta do kabury, czując instynktownie, że nie zagraża jej już żadne niebezpieczeństwo. Ponuro pokręciła głową.

- Przykro mi, ale wszedłeś na mój teren. Widzę cię po raz pierwszy. To ty się zakradłeś na moje terytorium... Do licha, kim w ogóle jesteś?

- Ja się zakradłem? - zapytał oburzony, ale w oczach lśniły mu wesołe ogniki.

Zdjął z głowy kapelusz i pochylił się w niskim, szarmanckim ukłonie.

- Panno McCahy, pragnę zapewnić panią, że Slaterowie nigdy i nigdzie się nie zakradają.

- Slater? - zapytała szybko, marszcząc brwi.

- Kapitan Malachi Slater, brat Cole'a. Na urlopie... czy raczej oddelegowany do nowego zadania. Zaraz, zaraz, chcesz mi powiedzieć, że Cole o niczym ci nie wspominał?

Dziewczyna poczuła, że uginają się pod nią kolana. Cole odjechał. Nie powiedział nawet „do widzenia”.

- Cole...

- Otrzymał nowe rozkazy, więc w jego zastępstwie ja tutaj zostanę... Jeśli naturalnie nie masz nic przeciwko temu.

Miała naturalnie bardzo dużo przeciw temu. Malachi jej nie przeszkadzał, ale była wściekła na Cole'a za to, że odjechał.

Uśmiechnęła się z przymusem i wyciągnęła dłoń.

- Nie mam nic przeciwko temu, panie Slater. Jestem wdzięczna za to, że się tu pojawiłeś; niezmiernie wdzięczna.

- Dziękuję, panno McCahy.

Ujął jej dłoń i podniósł do ust. Ich oczy spotkały się i dziewczyna w jednej chwili pojęła, że on o wszystkim wie. Ponadto w jego wzroku było coś, co mówiło, że w pełni podziela jej uczucia.

- Och, mój Boże! - wykrzyknęła nagle, robiąc krok do tyłu.

- Co takiego?

- Jest pan oficerem konfederatów.

Wyrażnie zeszywniał, zacisnął z uporem szczękę, co bardzo upodobniło go do Cole'a.

- Panienko, słyszałem, że mieszkańcy Missouri ciągle uważają się za południowców... A na pewno większość z nich.

Kristin lekko skinęła głową.

- Cóż, ma pan rację, panie Slater. Ale tutaj jest pogranicze. Połowa kraju znajduje się w rękach sił federalnych.

- Proszę się o mnie nie troskać. Natychmiast zamienię mundur na ubranie cywilne i w ten sposób nic mi nie będzie zagrażać.

Znów potrząsnęła głową.

- Po prostu mam brata, który... no cóż, on...

- Walczy po stronie Jankesów?

- Zgadza się, jest Jankesem.

Małachi bardzo był podobny do Cole'a. Wysoki, o szerokich ramionach i ostrym spojrzeniu. W tej chwili nachmurzył się i Kristin pomyślała, że wybuchnie gniewem.

Mężczyzna jednak wzruszył tylko ramionami i roześmiał się.

- Na tym polega piekło tej wojny, panno McCahy, prawda? Piekło!

W tej samej chwili powietrze rozdarł huk, a ze ściany, pod którą stali, posypały się wióry.

- Cóż jest, do diabła? - wykrzyknął Malachi.

Szarpnął z całych sił dziewczynę i oboje upadli na ziemię. Kolejny odgłos strzału i kolejny pocisk trafił w ścianę stodoły. ,

W powietrzu znów zawirowały strzępy drewna.

- Co się, dzieje, do diabła? - wykrzyknął ponownie Malachi.

Właśnie, co?

Kristin nie miała najmniejszego pojęcia, kto do nich strzela.



Kristin leżała twarzą do ziemi, w ustach czuła smak kurzu, a na niej spoczywał Malachi, chroniąc ją własnym ciałem. Kiedy strzelanina ucichła, dobiegł ich dźwięk czyichś lekkich kroków.

- Złaż z niej, rebeliancie!

Kristin odetchnęła z ulgą i o mało nie wybuchnęła śmiechem. Był to głos Shannon.

- Na drugi raz uważaj, dziecko, i nie baw się takimi przedmiotami - powiedział Malachi, podnosząc się z ziemi.

Zmrużył ze złości oczy i popatrzył na Shannon. Kristin, która również zerwała się na równe nogi, natychmiast stanęła między nimi. Shannon najwyraźniej wpadła we wściekłość, w jej oczach paliły się niebezpiecznie isierki nieprzytomnej furii.

- Nie jestem dzieckiem, rebeliancie, i zapewniam cię, że wiem, co robić z koltem - odparła.

- Cóż, dzie...

- Dosyć, dosyć - wzniosła ręce Kristin i sięgnęła po pistolet. Nie wiedziałyby, jak wytłumaczyć Cole'owi Slaterowi, dlaczego jej siostra postrzeliła mu brata. - Shannon...

- Kristin, to jest rebeliant. Zapewne jeden z ludzi Quantrilla...

- Dziewczyno, nie widziałaś w życiu munduru regularnej kawalerii?

Kristin straciła cierpliwość i odwróciła się na pięcie.

- Panie Slater, czy będzie pan uprzejmy zamilknąć na chwilę? - spytała. - Shannon, to jest brat Cole'a.

- Brat?

Popatrzyła rozszerzonymi ze zdumienia oczami na przybysza, po czym znów przeniosła wzrok na siostrę.

- Jesteś tego pewna? Wcale nie jest do niego podobny.

- Mamy identyczne paluchy u stóp - warknął zjadliwie Malachi.

Shannon zeszczywniała.

I wtedy padł kolejny strzał. Cała trójka popatrzyła na siebie tępo. Jeszcze jeden wystrzał i ze ściany stodoły posypały się na nich odłupane kawałki drewna.

- Na ziemię... - zaczął Malachi.

- Rzućcie broń! - dobiegł ich z tyłu rozkazujący męski głos.

Shannon najwyraźniej nie zamierzała zastosować się do polecenia. Odwróciła się gwałtownie, mierząc w tamtą stronę. Malachi, z głośnym przekleństwem, uderzył dłonią w nadgarstek dziewczyny i wytrącił jej rewolwer. Shannon, z nie mniej ordynarnym przekleństwem, rzuciła się nań z pięściami. Malachi chwycił ją za ramiona i ponownie zaklął, a Kristin przemknęło przez myśl pytanie, jak długo zamierzają to ciągnąć, podczas gdy ktoś obcy trzyma ich na muszce. Były to wyłącznie strzały ostrzegawcze, uświadomiła sobie. Popatrzyła odruchowo na podwórko i ujrzała, że z rzucanego przez werandę cienia wynurza się męska postać.

Kolejny przybysz był młodszy od Cole'a i Malachiego. Miał na sobie surdut, wysokie farmerskie buty, a twarz ocieniał mu nasunięty na czoło kapelusz z jedną połową runda zgiętą w dół. Malachi nawet nie spoj-

rzał w stronę nieznanego, który uchyliwszy przed Kristin kapelusza, spytał:

- Nie przypadli sobie do gustu, co?

- Tak sądzisz? - Kristin skrzyżowała ramiona na piersiach i popatrzyła na młodzieńca, który wszczął ostatnią strzelaninę. Shannon ciągle wyzywała Malachiego, próbując jednocześnie wyswobodzić się z jego rąk. Kristin ignorując ich, nie spuszczała wzroku z przybysza. - Dlaczego do nas strzelałeś?

- Myślałem, że chce wywiercić dziurkę w starym Malachim - wyjaśnił skromnie.

Miał szaroniebieskie oczy, płową czuprynę i zaraźliwy uśmiech.

- Rozumiem, że jesteś kolejnym Slaterem? A może tylko przyjacielem tej rodziny?

Wyciągnął dłoń.

- Jamie, proszę pani.

Z gardła Malachiego wydarł się dźwięk przypominający warczenie.

- Cholerna szczeniara! - zagrzmiał.

- Shannon! - zawołała błagalnie Kristin i popatrzyła w ich stronę.

Malachi ciągle trzymał tak mocno jej młodszą siostrę, że dziewczyna tylko czubkami butów dotykała ziemi.

- Ach, Malachi! - Jamie smętnie pokiwał głową.

- Tak dzielnie stawiałeś czoła Grantowi pod Shiloh, a tutaj taka pannica...

- Nie jestem... - zaczęła Shannon.

- Jesteś małą, rozwydrzoną szczeniara! - powiedział Malachi, wypuszczając ją z objęć i popychając w kierunku Kristin. Shannon w pierwszej chwili zamierzała ponownie rzucić się na niego, ale Kristin chwyciła ją za rękę.

- Shannon, proszę!

Shannon ciągle patrzyła na Malachiego z nienawiścią.

- Nie jestem szczeniara, rebeliancie! Zatakowałeś moją siostrę...

- A ty mojego brata - wtrącił uprzejmie Jamie. - Wszyscy jesteśmy siebie warci. Gdyby był tu Cole, powiedziałyby, że stanowimy gromadę idiotów, nieodpowiedzialnie bawiących się bronią. Ale Cole'a musiał wyjechać i dlatego jesteśmy tutaj ja i Malachi.

- Ciebie też przysłał Cole? - zapytała Kristin.

- Naturalnie.

- Rozumiem - odparła sztywno Kristin.

Na twarzy Jamiego rozlał się szeroki uśmiech.

- Nie, proszę pani, wątpię, czy rozumie pani cokolwiek. On naprawdę ma coś ważnego do załatwienia.

- Już o tym wspominałem - dodał Malachi.

- Mój brat jest także oficerem kawalerii - warknęła pod adresem Malachiego niepomna na nic Shannon. - Gdyby wiedział, że przypętasz się na naszą ziemię, nadziałyby cię na szablę!

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar wybuchnąć gniewem, ale tylko głęboko westchnął i z rezygnacją machnął ręką.

- Miałem uważać na Quantrilla, a okazujecie, że przede wszystkim muszę uważać na tę pannę, która - w każdej chwili może mi przyłożyć czymś ciężkim po głowie.

Ze złością naciągnął na oczy kapelusz i ruszył w stronę domu. Kristin spoglądała za nim z rozbawieniem, a Shannon, która jakby wrosła w ziemię, wsparła ręce na biodrach i wrzasnęła:

- A ty dokąd się wybierasz?

Malachi zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Do środka. Na śniadanie i kubek kawy. Jeśli ci to nie

odpowiada, dziecko, twoja strata. Jak wróci Cole, to mu się wyżalisz. Mnie prosił, żebym tu przyjechał, więc przyjechałem. I nie wyjadę aż do jego powrotu. Proszę więc tylko o jedno: trzymaj się ode mnie z daleka. Jak najdalej... - urwał i zaklął cicho pod nosem. - Cholera jasna, jak pomyślę sobie, że mogłem teraz spokojnie walczyć z Jankesami, to serce mi się w piersi kraje!

Odwrócił się i ponownie ruszył w stronę domu.

Na werandzie ukazała się szeroko roześmiana Delilah.

- Pan jest Malachi? - dobiegło Kristin pytanie Murzynki i dziewczyna uniosła brwi.

Ani ona, ani jej siostra nie wiedziały o tym, że mają pojawić się bracia Slatera, ale Delilah najwyraźniej została przez niego we wszystko wtajemniczona. Cole zwierzył się ze swoich zamierzeń Murzynce, a dziewczętom nie powiedział na ten temat słowa.

Zacisnęła pięści ze złości, klnąc w duchu Cole'a. Co takiego ważnego musi załatwić? Przecież zawarł z nią układ, a Zeke stale kręci się gdzieś w okolicy. Nie potrzebni jej dwaj opiekunowie. Potrzebuje kogoś, kto zaopiekuje się Moreau.

A przede wszystkim potrzebowała Cole'a, żeby opowiadał jej o sobie, a nie wymykał się chyłkiem z sypialni o wschodzie słońca.

- Niech panowie wchodzą! - wołała serdecznie Delilah. - Śniadanie już czeka, chłopcy. Śniadanie już czeka.

Kristin poczuła na sobie wzrok Jamie'ego, odwróciła się w jego stronę i natychmiast poczuła, że na policzki występują jej gorące rumieńce. Człowiek ten zapewne czytał w jej myślach lub też domyślał się tego, co łączy ją z jego bratem. Tak, z całą pewnością o wszystkim wiedział. Wyczytała to w jego spojrzeniu.

Jamie uśmiechnął się, jakby doszedł do wniosku, że polubił Kristin. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Również polubiła Jamie'ego; polubiła zresztą obu braci. Podobała się jej nawet prywatna wojna, jaką toczyli ze sobą jej siostra Shannon i Malachi. Na widok tych dwojga śmiały się jej oczy, a ostatnio tak mało miała okazji do radości.

- Ja też umieram z głodu - oświadczył Jamie, podając jej ramię. - Czy możemy udać się na śniadanie?

Kristin po sekundzie wahania przyjęła oferowane ramię. Oboje zgodnie ruszyli w stronę domu, ale dziewczyna prawie natychmiast odwróciła się w stronę stojącej nieruchomości na środku podwórka siostry.

- Shannon?

- Nie będę jadła śniadania - odparła, nie spuszczać wzroku z pleców znikającego wewnątrz domu Malachiego. - Nie czuję się na siłach siedzieć przy jednym stole z... - Widząc, że Jamie uważnie się jej przygląda, urwała i szybko dokończyła: - Nie jestem głodna.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do stodoły. Kristin znów popatrzyła na Jamie'ego.

- Dokąd pojechał Cole? - zapytała. - Nie potrzebuję waszej opieki. Twój brat i ja zawarliśmy... układ.

Starając się nie czerwienić, odważnie patrzyła mu w oczy.

- O tym opowie ci sam Cole - odparł zdecydowanie Jamie. - A my jesteśmy tutaj właśnie ze względu na układ, jaki ze sobą zawarliście. Znamy Quantrilla i jego bandę. Musimy dopilnować, żebyście do powrotu naszego brata były bezpieczne i nie spotkała was jakaś zła przygoda. Czy to ci się tak nie podoba? Czy naprawdę jesteśmy tacy okropni?

- Nie, ja tylko... nie, oczywiście, że nie. Bardzo mi

miło, że tak się o nas troszczycie — odparła, zmuszając się do uśmiechu.

Wcale nie kłamała. Tylko że...

Tylko że ona była okropnie ciekawa, gdzie, do licha, podział się Cole. Zastanawiała się, czy jego niespodziewany wyjazd miał związek z jakąś inną kobietą, a jeśli tak - jak ona to zniesie.

Przez pierwszy dzień posuwał się niezmordowanie na południowy wschód. Im głębiej wjeżdżał w terytoria Missouri, spotykani ludzie, których wypytywał o Quantrilla i jego jeźdźców, coraz częściej nabierali wody w usta.

To naturalne, myślał. Wszystko potoczyło się w tak paskudny i odrażający sposób. Zaczęło się jeszcze w latach pięćdziesiątych, kiedy do Missouri wyprawiał się John Brown, żeby mordować właścicieli niewolników. Cole, tak naprawdę, nigdy nie zrozumiał tego człowieka. Słuchając jego przemówień, dochodził do wniosku, że stary John Brown gada jak fanatyk. Ale wiedział też, że mówi on z głębi serca, kiedy stwierdzał, że tylko krew może zmyć z tej krainy grzech niewolnictwa.

Kiedy John Brown i jego oddział wyruszyli, żeby zdobyć arsenał w Harper 's Ferry, wysłano przeciw nim Roberta E. Lee - wówczas jeszcze oficera armii Stanów Zjednoczonych. Towarzyszył mu Jeb Stuart.

W kampanii tej brał również udział Cole Slater. Ujęli Johna Browna i żywego dostarczyli do Charlestown, gdzie postawiony został przed sądem. W tamtych czasach Konfederacja jeszcze się nie zawiązała, a Cole nie miał najmniejszego pojęcia, do czego to wszystko zmierz

rza.

Na Północy natychmiast powstała popularna pieśń: „Ciało Johna Browna spoczywa już w grobie”, zaś lu-

dzie bardzo szybko zapomnieli, że Brown, choć był bardzo bogobojnym mordercą, to jednak był mordercą.

Mieszkańcy Missouri nauczyli się brać srogi odwet.

Pod niebiosa wynosili Quantrilla i jego jeźdźców, którzy bronili ich przed bezlitosnymi, łaknącymi krwi maruderami z Kansas, nieustannie najeżdżającymi te ziemie, by siać śmierć i zniszczenie. Cole zatem musiał zachowywać najwyższą czujność. Kiedy chciał zatrzymać się na jakiejś farmie, z daleka dawał znać o swoim przybyciu. Potem prosił o łyk wody ze studni, a następnie pytał, gdzie może znaleźć Quantrilla i jego chłopców. Był uprzejmy, uśmiechał się i jak umiał najlepiej naśladował miejscowy akcent.

Kierowano go coraz bardziej na południe. W końcu w maleńkim miasteczku leżącym prawie pięćdziesiąt mil na południe od Osceola dowiedział się, że Quantrill bywa w miejscowym saloonie.

Tutaj nikt nie obawiał się rozmawiać o nim ze Slate-rem. Chłopcy Quantrilla czuwali. Południe samo o sobie dbało. Na farmie, gdzie przyjęto Cole'a bardzo gościnnie, poinformowano go, że Quantrill pojawi się w saloonie około szóstej wieczorem.

Cole jechał do miasta bardzo ostrożnie. Jeśli najpierw spotka Quantrilla lub Andersona, wszystko będzie w porządku. Ale nie chciał natknąć się na Zeke'a, jeszcze nie teraz. Gdyby jednak do tego doszło, miał swoje kolty i dwa karabiny; wszystkie załadowane i gotowe do natychmiastowego użycia.

W miasteczku panował spokój. Zupełnie jakby wcale nie toczyła się wojna. Przed sklepami gromadziły się elegancko ubrane kobiety w fantazyjnych kapeluszach. Kiedy posuwał się pokrytą kurzem główną ulicą, wodziły za nim wzrokiem, a on uprzejmie uchylał kapelusza. Natychmiast rumieniły się i zaczynały coś między sobą szep-

154t

tać. Dopiero po pewnym czasie Cole uświadomił sobie, że w miasteczku wcale nie ma spokoju i panuje pełna napięcia atmosfera.

W końcu usłyszał dobiegające z góry śmiechy i dźwięk pianina, a następnie zauważył szyld: „Red Door Saloon”. Przed frontem budynku stało przywiązanych do pala co najmniej osiem koni.

Więc to tutaj Quantrill i jego kompania założyli sobie kwatery, pomyślał. Ściągnął cugle, zeskoczył z wierzchowca, przywiązał uzdę do drewnianej poręczy, otrzepał z kurzu dłonie i ruszył w stronę czerwonych drzwi, od których saloon wziął swoją nazwę.

Pchnął je, stanął w progu i przez chwilę przyzwyczajał wzrok do panującego w środku półmroku. Potem szybko obrzucił spojrzeniem gości saloonu.

Zeke'a nie było.

Williamam Clarke'a Quantrilla dostrzegł natychmiast. Siedział na odchyłonym do tyłu krześle, w ustach trzymał cienkie cygare i grał w karty przy okrągłym stole. Był to blady, szczupły mężczyzna o ciemnych włosach i wypiełgnowanych, brązowych wąsach. Natychmiast spostrzegł stojącego w progu Cole'a i przesłał mu uśmiech. Odłożył trzymane w dłoni karty, po czym wstał. Był średniego wzrostu, mierzył nie więcej niż sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Nie miał w sobie nic, co wskazywać by mogło, że jest postrachem Zachodu. Nic, z wyjątkiem oczu. Były jasnoniebieskie i zimne jak sama śmierć.

- Cole! Cole Slater! Niech mnie diabli... Czym zasłużyłem sobie na taki zaszczyt?

Cole nie odpowiedział, tylko jeszcze raz rozejrzał się po sali. Zeke'a z pewnością nie było, ale przecież Quantrill nie mógł pojawić się tutaj sam. W czterech mężczyznach siedzących z nim przy okrągłym stoliku

rozpoznał ostatnio zwerbowanych rekrutów. Byli to dwaj chłopcy Jamesa, Jesse i Frank, Bill Anderson oraz mały Archie Clements. Cole wiedział więc, że w salonie przebywa więcej ludzi Quantrilla. Nie wynikało to wcale z faktu, że ich dowódca czegoś się bał. W tych stronach otaczała go aura bohatera. Nie było ważne, że ustalał listy proskrypcyjne. Nie było ważne, że jego ludzie gwałcili, zabijali i rabowali. Liczyły się krwawe łaźnie, jakie sprawiał mieszkańcom Kansas za to, co ich maruderzy wyczyniali w Missouri.

Ale Slater nie przybył tutaj, żeby wałczyć.

Ruszył przez salę w stronę pokerowego stolika.

Pianista przestał grać. Oczy wszystkich gości skierowane były na przybysza.

Podszedł do Quantrilla. Ten wyciągnął rękę w jego stronę. Cole podał swoją.

- Witaj, Quantrill - pozdrowił go cicho i skinął głową siedzącym przy stole mężczyznom. - Cześć, Jesse, Frank, Archie, Bill. Świetnie wyglądacie. Widzę, że wojna wam służy.

- Służy mi grasowanie - odparł szczerze Archie Clements - Do licha, Cole, w regularnej armii nie mógłbym tego wszystkiego robić. A ostatecznie tłukę Jankesów i o to właśnie chodzi. Ty też nie należysz do regularnej armii, prawda? Kim teraz jesteś? Szpiegiem? Zwiadowcą? A może ciągle jesteś jeźdźcem?

- Jestem majorem, Archie, i tak mnie nazywają - odparł ostro Cole.

Quantrill bacznie ich obserwował. Po chwili odwrócił się w stronę pianisty.

- Hej, Judah, o co chodzi? Zagraj coś skoczniejszego. A ty, Archie, zaprowadź Billa i chłopców Jamesa do baru. Cole najwyraźniej ma do mnie ważny interes, a ja jestem ciekaw jaki.

Archie wstał i popatrzył podejrzliwie na Cole'a.

- Jesteś sam? - zapytał.

- Zgadza się, Archie. Jestem sam.

Archie skinął głową. Młody Jesse James nie spuszczał z Cole'a wzroku.

- Cieszę się, że cię widzę, majorze Slater. Brakuje nam ciebie. Byłeś cholernie dobry.

Doskonale obchodziłem się z bronią, pomyślał chłodno Cole. O to temu chłopcu chodzi. Co oni wszyscy robią, kiedy wreszcie skończy się ta wojna? Jeśli, naturalnie, któryś z nich przeżyje.

- Baw się dobrze, Jesse. I ty też, Frank - powiedział Cole i zajął miejsce naprzeciwko Quantrilla, który zaczął tasować, a następnie rozdawać karty.

- Ciągle jeszcze lubisz hazard, Cole? - zapytał.

- Pewnie - odparł Cole, podnosząc ze stołu swoje karty.

Pojawiła się śliczna brunetka o bujnych, kręconych włosach, w czarnych siatkowych pończochach i krwistoczerwonej sukni. Oparta się o plecy Quantrilla i przesłała Cole'owi zalotny uśmiech.

- Willy, czy twój przyjaciel pije whisky? - zapytała.

- Pewnie, daj najdroższą. To najlepszy zwiadowca konfederatów. Pracuje dla mnie, Jeniffer. Nie ma sobie równych.

- Najlepszy? - dziewczyna rzuciła Cole'owi spojrzenie spod ciemnych rzęs.

Ten posłał jej równie promienny uśmiech, dziwiąc się jednocześnie, że widok dziewczyny nie robi na nim żadnego wrażenia. Przez chwilę zastanawiał się dlaczego. Wzruszył ramionami. Cóż, ma za sobą długą, ciężką drogę i jest zmęczony. A ponadto nie powinien nic czuć.

Nie powinien czuć niczego takiego. Jego żona leży w grobie...

- Przynieś whisky - poleciał ostro zniecierpliwiony Quantrill. Jeniffer zrobiła kwaśną minę i odwróciła się na pięcie. - O co chodzi? - zwrócił się z kolei do Cole'a.

- O dziewczyny McCahy'ego - wyjaśnił szczerze Slater.

Quantrill zmarszczył brwi. Najwyraźniej nazwisko nic mu nie mówiło i Cole był przekonany, że nie udaje.

- Nie znam ich - mruknął po chwili.

Pojawiła się Jeniffer z butelką wyśmienitej, irlandzkiej whisky i z dwiema szklaneczkami. Chciała im nalać, ale Quantrill przepędził ją, a następnie sam zadbał o pełne szklanki.

- Napastuje je twój człowiek. Zeke.

Zmarszczka na czole Quantrilla pogłębiła się.

- Zeke? Zeke Moreau? Nie wiedziałem, że w ogóle się znacie. On przystąpił do nas po twoim odejściu.

- Niezupełnie. Spotkaliśmy się. Ale nie sądzę, żeby mnie zapamiętał.

Zimne oczy Quantrilla naraz rozbłysły.

- Aha, ranczo? Blisko granicy? Cole, więc to byłeś ty!

- Tak, to byłem ja.

Cole sięgnął po szklankę i wychylił ją jednym haustem. Doskonały alkohol. Przeszedł przez gardło bardzo gładko. Trunek, o który na Południu, w miarę jak wojna przeciągała się, było coraz trudniej! Ponownie napełnił szklankę. Ujrzał wbite w siebie oczy Quantrilla. Zorientował się, że ten jest bardziej rozbawiony niż gniewny.

- Przyjechałeś zatem, żeby przetrzepać trochę skórę moim chłopcom? - zapytał Quantrill, również dolewając sobie whisky. Podniósł naczynie do oczu i dłuższą chwilę kontemplował bursztynowy płyn.

- Wcale nie. Przez czysty przypadek zobaczyłem jak twoi chłopcy prowadzą wojnę. Aż mi się flaki wywracały. Wywlekli z domu starca i zabili go. Potem wrócili po jego córkę. Miała to nieszczęście, że odmówiła Zeke'owi.

Quantrill wzruszył ramionami, ale wyraz rozbawienia znikł z jego twarzy.

- Nie podobają ci się moje metody? - mruknął.

- Quantrill, stałeś się po prostu pozbawionym skrupułów mordercą.

- Nigdy nawet nie słyszałem o McCahy'ach.

- Wierzę ci.

Quantrill przez chwilę spoglądał na Cole'a, po czym na ustach wykwitł mu chytry uśmiezek.

- Niech cię szlag, Cole. Zaczynasz gadać jak Jankes.

- Nie jestem Jankesem.

- No to jak miłośnik Jankesów.

- Quantrill, nie chcę, żeby dziewczynie przytrafiła się zła przygoda.

- Proszę, proszę... - Quantrill rozparł się na krześle i zaczął bezmyślnie wodzić palcami po szklance.

- Coś mi się wydaje, że wtedy, w lutym sześćdziesiątego pierwszego nie byłeś taki drobiazgowy, panie Slater. Kto wtedy przewodził maruderom? Jim Lane? A może Doc Jennison? Nieważne. Przelecieli przez Missouri jak tornado. - Pochylił się do przodu i oparł łokcie na blacie stołu. - Jak tornado. Spalili ci dom, ale to im nie wystarczyło. Musieli jeszcze zabawić się z panią Slater. Oczywiście, była to atrakcyjna kobietka, prawda Cole?

Cole poczuł, jak tężeją mu mięśnie twarzy. Straszliwy łomot w skroniach. Miał ochotę skoczyć Quantrillowi do gardła, zgasić te jego zimne, wyrachowane ślepie.

- Nic z tego - ciągnął nieubłaganie Quantrill. - Kiedy się u mnie pojawiłeś pierwszy raz, nie byłeś tak drobiazgowy, Cole. Chodziło ci jedynie o zemstę i nic innego się nie liczyło.

Cole wykrzywił usta w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- Mylisz się, Quantrill. Tak, chciałem zemsty. Ale nigdy nie chodziło mi o mordowanie ludzi z zimną krwią. Nigdy nie układałem list osób, które należy zastrzelić. Nigdy nie wywlekałem niewinnych kobiet z łóżek, żeby je hańbić i gwałcić. A strzelanie do dzieci?

- Do licha, Cole, w tej wojnie nawet dzieci biorą udział!

- I na tym właśnie polega jej piekło, Quantrill. Już sama wojna jest wystarczająco paskudną rzeczą. Ale takie rozpasanie, to stanowczo przesada.

- Po prostu odpłacamy pięknym za nadobne. To wszystko. Spróbuj ludziom pokroju Lane'a czy Jenissona mówić coś o niewinności. Wojny nie zmienisz, Cole. Ani ty, ani nikt inny.

- Nie przybyłem do ciebie, żeby cokolwiek zmieniać - odparł spokojnie Cole.

- Chcesz tylko, żebym trochę przykrócił Zeke'owi cugli?

- Cóż - odparł wymijająco Cole. - Albo ty mu ścigniesz cugle, albo ja go zabiję.

Quantrill wzruszył ramionami i pokazał zęby w zimnym uśmiechu.

- Najwyraźniej przeceniasz moje możliwości, Slater. Chcesz, żebym powstrzymał Zeke'a, chociaż ta dziewczyna jest dla ciebie nikim, ani siostrą, ani żoną... Do diabła, z tego, co zrozumiałem, to w ogóle pierwszy spotkał ją Zeke. Więc co, twoim zdaniem, powinienem zrobić?

- Powstrzymać go.

Quantrill ponownie rozparł się na krześle i popatrzył z zakłopotaniem na Cole'a.

- Czym się przejmujesz? - zapytał. - Poradzisz sobie z Moreau sam.

- Nie wykonuję egzekucji, Quantrill.

- Aha... i nie zamierzasz zostać w tamtych stronach na zimę. No cóż, my też nie. Niebawem ruszamy na południe i...

- Chcę gwarancji, Quantrill.

Ten milczał. Sięgnął po szklanke, odchylił głowę, wypił whisky duszkiem i otarł rękawem usta. Patrząc Cole'owi w oczy, odstawił naczynie.

- Ożeń się z nią.

- Co? - spytał ostro Cole.

- Żądasz ode mnie gwarancji, że dziewczynie nic się nie stanie. Dziewczynie, którą pierwszy spotkał Zeke. Dziewczynie, na którą ma ochotę; powiedziałbym, straszną ochotę. Daj mi zatem jakiś atut. Daj mi powód, dla którego mam trzymać go od niej z daleka. Powiem im, że jest twoją żoną. Powiem im, że jest żoną dobrego konfederaty. Zrozumieją to natychmiast.

Cole potrząsnął głową.

- Nie ożenię się ponownie, Quantrill. Nigdy.

- Kim więc jest dla ciebie ta dziewczyna McCahy'ego?

Właśnie, kim? - pomyślał Slater.

- Po prostu nie chcę, żeby ją po raz drugi skrzywdzono.

Quantrill potrząsnął powoli głową, a w jego jasnych oczach pojawił się cień współczucia.

- Nic nie jestem w stanie dla ciebie zrobić, Cole. Nic. Chyba że dasz mi jakiś argument.

Najgorsze w tym jest to, pomyślał z goryczą Cole,

ze Quantrill naprawdę chce mi pomóc. Nie robi najmniejszych trudności. Po prostu stawia sprawę otwarcie.

- Cóż, wkrótce wynosimy się z tych okolic - oświadczył Quantrill. - Jeszcze miesiąc i już nas tu nie będzie. Potem nadejdzie zima. A wtedy zamierzam być daleko na południu. Zima w Kansas nie jest odpowiednią porą na prowadzenie walk i rabowanie. Może ta twoja panna będzie bezpieczna, w każdym razie na pewno od nas. Ale sam wiesz, że zawsze mogą na rancho pojawić się maruderzy, wszak Quantrill i jego kompania wyniesie się w cieplejsze strony.

- Miesiąc - powtórzył Cole.

Quantrill wzruszył ramionami.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni spoglądali na siebie w milczeniu. Później Quantrill ponownie napełnił szklanki.

Podniósł do ust szklankę i wypił. Zapiekło. Ognisty płyn spłynął do żołądka.

- Czy wybierasz się na wschód? - zapytał Quantrill.

Cole skinął głową. Może nie powinien się do tego przyznać, ale wiedział, że Quantrill wcześniej czy później i tak się dowie, że Slater udał się do Richmond; zapewne wcześniej niż później.

Cole wydał nagle groźny pomruk i uderzył szklanką w blat stołu. Pianista przestał grać, a w saloonie zapanowała cisza. Oczy wszystkich skupione były na Coie'u i Quantrillu.

Cole wstał.

- Poślubię ją! - oświadczył Quantrillowi. Następnie rozejrzał się po twarzach zebranych. - Zamierzam ożenić się z Kristin McCahy i nie chcę, aby ktokolwiek tknął ją nawet palcem. Ją i jej siostrę. Rancho McCahy'ów przejdzie na moją własność, więc obiecuję każ-

demu, kto podniesie rękę na moją własność, bardzo powolną i bardzo bolesną śmierć.

Quantrill powoli podniósł się z miejsca i popatrzył po swoich ludziach.

- Do licha, Cole, wszyscy walczymy po tej samej stronie, prawda chłopcy?

Na chwilę zapadła cisza, a potem rozległ się pomruk aprobaty. Quantrill podniósł butelkę z whisky.

- Wypijmy! Wypijmy za narzeczoną Cole'a Slatera, pannę McCahy! Posłuchaj, Slater, nikt tutaj nie zamierza nastawać na twoją własność ani molestować twojej kobiety. Jest pod naszą opieką. Masz na to moje słowo.

Quantrill mówił donośnym, wyraźnym głosem. Wiedział, co mówi. Kristin będzie bezpieczna.

Wyciągnął do Cole'a rękę, a ten uściśnął ją. Długą chwilę spoglądali sobie w oczy. W końcu Quantrill uśmiechnął się. Cole postąpił krok do tyłu, rozejrzał się po sali i ruszył w stronę drzwi. Stał wprawdzie odwrócony do wszystkich plecami, ale nigdy jeszcze w życiu nie czuł się tak bezpiecznie.

Quantrill zagwarantował mu bezpieczeństwo.

Pchnął ramieniem czerwone drzwi i wyszedł z saloonu. Słońce grzało jeszcze, ale wiał zimny wiatr. Zbliżał się koniec jesieni. Nadchodziła zima.

Oświadczył, że się z nią ożeni.

Niech to cholera!

Słońce świeciło jasno, powietrze było rześkie, niebo bezchmurne i błękitne. Popatrzył w górę i przejął go chłód. Czuł zimno mrozące mu serce. Podszedł do uwiązane go konia i ostrym, gniewnym szarpnięciem cofnął zwierzę z szeregu innych. Wskoczył na siodło i zaczął kłusować ulicą.

Nie miał już odwrotu. Powiedział, że to zrobi, i mus to zrobić.

Musi ożenić się z Kristin!

Taka była rzeczywistość. I tylko ona się liczyła. Tak musiało się stać i tak się stanie.

Znów ogarnął go chłód.

Nie mógł przecież tego zrobić. Nie mógł poślubić innej kobiety. Nie mógł nazwać jej swoją żoną.

Ale poślubi ją.

Lecz nigdy nie nazwie jej swoją żoną.

Z dwu braci Cole'a Małachi był poważniejszy. Kristin zauważyła to bardzo szybko. Podobnie jak Cole, ukończył West Point. Studiował historię wojskowości - od Aleksandra Macedońskiego poczynając, a na rewolucji amerykańskiej i próbie podboju Europy i Rosji przez Napoleona kończąc. Rozumiał racje Południa i to zapewne powodowało, że do tej wojny podchodził tak poważnie. Na urlopie przebywał wprawdzie niecałe trzy tygodnie, ale i tak niebawem musiał wracać w swojej jednostki. Kristin zastanawiała się, czy przypadkiem nie oznacza to, że wkrótce wróci Cole.

Malachi odnosił się do dziewczyny z wielkim szacunkiem. Chwilami wydawało się jej, że jest ostatnim z wielkich dżentelmenów Południa, zapewne ostatnim rycerzem.

Shannon nieodmiennie manifestowała swoją wrogość do niego. Od chwili przybycia Malachiego stała się gorącą zwolenniczką Unii i bez przerwy straszyla zarówno jego, jak i Jammie'ego swoim bratem, który może wrócić lada dzień i posiekać ich na kawałki.

Kristin nie sądziła, aby Matthew szybko pojawił się w domu. W ostatnim liście, jaki do nich dotarł, napisał, że jego kompanię wysłano na wschód i tam włączono do Armii Potomacu.

W dwa tygodnie po przybyciu braci, Kristin usłyszała tętent konia i szybko wybiegła na werandę. Ku swemu zdumieniu ujrzała, że Jamie siedzi na schodkach i spokojnie coś struga, a Malachi trzyma w objęciach Shannon i zapamiętała ją całuje, zupełnie jakby byli nowożeńcami. Osłupiała Kristin spojrzała na Jamie'ego. Ten wskazał nożem dwie sylwetki oddalających się jeźdźców w niebieskich mundurach Unii.

- Powiedziała, że teraz ze wszystkim zrobi porządek - poinformował z przeciągłym akcentem. - Perspektywa spędzenia reszty wojny w więzieniu Jankesów wcale się Malachiemu nie uśmiechała. Wziął ją więc w ramiona i...

Usłyszeli głośne klaśnięcie. Kristin odwróciła się błyskawicznie i ujrzała, że Shannon uderzyła właśnie Malachiego w twarz.

Język Shannon był niezwykle barwny. Porównała mężczyznę do wylinałego szczura albinosa, do grzechotnika i teksańskiego skorpiona. Malachi, któremu na twarzy pozostały czerwone pręgi po jej palcach, nie docenił precyzji słowa Shannon. Przełożył dziewczynę przez kolano i pociągnął jej spódnicę.

Shannon wrzeszczała.

Jamie wzruszył ramionami, ale Kristin postanowiła ruszyć siostrze na odsiecz. W pierwszej chwili Malachi kompletnie zignorował jej obecność. Kristin ze swojej strony nie zamierzała się z nim bić, więc postanowiła zaapelować do jego poczucia honoru.

- Malachi, jestem pewna, że Shannon nie zamierzała...

- Bardzo dobrze wiedziała, co chce zrobić! - ryknął Malachi. - Może i doczekam się kulki od Jankesów, ale niech zgniję w piekle, jeśli dam się wodzić za nos takiej złośliwej smarkuli.

Pacnął otwartą dłońią pośladki Shannon.

- Ty szurze! - wychrypiała Shannon.

- Proszę...-zaczęła znów Kristin.

I wtedy Jammie nieoczekiwanie zerwał się na równe nogi, odrzucił nóż i kawałek drewna, w którym coś rzeźbił, i błyskawicznie sięgnął po kolta.

- Konie! - syknął.

Zapadła głucha cisza. Choć Malachi nie puszczał Shannon, dziewczyna znieruchomiała, nie prychała nawet z odrazy ani nie krzyczała ze złości.

ostrzegli jeźdźców.

Dwóch.

Kristin zauważyła, że Jamie nagle się odpręży. Po chwili również i Malachi odetchnął z wyraźną ulgą; poniechał zemsty na Shannon i posadził ją łagodnie na drewnianych stopniach schodów. Dziewczyna wprawdzie nie przestawała dławić się ze złości, ale chłopak stracił już dla niej całe zainteresowanie. Nawet Kristin, choć nie potrafiła jeszcze z tej odległości rozpoznać jeźdźców, nie zwracała na nią uwagi. Ale Jamie i Malachi najwyraźniej doskonale już wiedzieli, kim są niespodziewani goście. W chwilę później i Kristin rozpoznała konia Cole'a.

Wracał Cole.

Towarzyszył mu zażywny mężczyzna w średnim wieku, ale dziewczyna całą uwagę skupiła na Slaterze.

I nagle zamarło w niej serce, gdyż spostrzegła, że Cole wpatruje się w nią pociemniałymi z nienawiści oczyma.

Sięgnęła dłońią do gardła i instynktownie cofnęła się kilka kroków.

Dlaczego tak na mnie patrzy? - zakołatało jej pod czaszką.

- To Cole - całkiem niepotrzebnie oświadczył Jamie.

- Cole! - wrzasnęła Shannon i zaczęła biec w jego stronę, zupełnie jakby okazał się jakimś bohaterem, który zaginał przed laty.

Kristin stała jak wmurowana.

Cole zatrzymał konia tak gwałtownie, że zwierzę przysiadło na zadzie, a Shannon stała już przed nim i wpatrywała się w niego z zachwytem. Po chwili wyciągnęła ku niemu ramiona; Kristin musiała z goryczą przyznać, że Cole i jej siostra bardzo do siebie pasują. Na widok młodszej z sióstr jego oczy złagodniały i jeśli nawet w dalszym ciągu był czymś rozdrażniony, nie okazywał już tego. Lekko zeskoczył z wierzchowca. Jamie i Malachi obserwowali go w milczeniu, najwyraźniej licząc na to, że to on odezwie się pierwszy. Postąpił krok do przodu.

- Cześć, Malachi! Cześć, Jamie! - przywitał braci.

Uściskał im dłonie. Jamie uśmiechał się trochę złośliwie, a Malachi obserwował starszego brata z powagą. Cole znów spojrzał na Kristin, która pod wpływem tego spojrzenia chciała cofnąć się jeszcze bardziej, ale nie mogła, bo za sobą miała zamknięte drzwi. Taksował dziewczynę wzrokiem zimnym jak stal, a jednocześnie pełnym jakiejś męki. Po chwili jakby otrząsnął się z ponurej zadumy i jego wzrok znów stał się obojętny.

Pozostał jedynie ów przejmujący chłód.

Kristin miała sucho w ustach, gardło ściśnięte i nie mogła wykrztusić słowa. Była wdzięczna Shannon za to, że mówiła, że mówiła Cole'owi, jak bardzo go lubi, jak cieszy się z jego powrotu.

I wtedy dotarło do niej, że gruby mężczyzna w średnim wieku ciągle jeszcze siedzi w siodle i bacznie ich wszystkich obserwuje. A przecież ona jest tu gospodynią. Powinna powitać gościa, zaproponować mu zimny napój... To samo wypadało zaproponować Cole'owi...

Gdyby tylko potrafiła wykonać jakikolwiek ruch, wydusić z siebie słowo.

Ale i Cole powinien zainteresować się swoim towarzyszem...

Popatrzyła na obcego mężczyznę. Zmusiła się nawet do lekkiego, uprzejmego uśmiechu.

- Witam pana. Prosimy do domu - powiedziała.

Jamie uśmiechnął się.

- Witamy - dodał od siebie. - Cole, do licha, zapomniałeś dobrych manier? Przedstaw nas.

Cole odwrócił się w stronę mężczyzny.

- Tak mi przykro, wasza wielbność. Proszę zsiąść z konia.

- Dziękuję - odparł mężczyzna, zeskakując na ziemię.

Jamie natychmiast ruszył w jego stronę, żeby spętać zwierzę. Uderzył silny podmuch wiatru. W powietrzu zawirowały tumany kurzu.

- Pragnę przedstawić wam wielbnego Samuela Cottera - oświadczył uroczyście Cole. - Wasza wielbność, to moi bracia, Malachi i Jamie. Ta w progę, to panna Kristin McCahy, a obok jej siostra, panna Shannon McCahy.

Wielbny uchylił kapelusza.

- Cała przyjemność po mojej stronie, drogie panie. Witam panów.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Wielbny niepewnie obracał kapelusz w dłoniach.

Ma bardzo sympatyczną twarz, pomyślała Kristin. Niecodzienny gość miał mocno zarysowane szczęki, a w jasnych małych oczkach igrały mu wesołe iskierki. Bardzo chciała okazać mu więcej gościnności, ale ciągle nie mogła wykonać ruchu.

- Wejźmy do domu - zaproponował Jamie.

- Wielebny zapewne z największą ochotą napije się sherry - powiedziała Shannon.

- Wielebny najbardziej lubi whisky - wyjaśnił niski mężczyzna i oczy mu się zaświeciły.

Malachi wybuchnął śmiechem. Cole zrobił kilka kroków do przodu, wsparł dłonie na biodrach i stanął tuż przed Kristin. Oczy miał zimne jak stał, z której wykonano kawaleryjską szablę Malachiego. Położył dłonie na ramionach dziewczyny i ta prawie krzyknęła.

- Kristin, tarasujesz wejście - zgromił ją.

- Och! - Natychmiast przesunęła się na bok, strącając przy tym jego dłonie ze swoich ramion. Zaczzerwieniła się i spojrzała na małego człowieczka. - Proszę wybaczyć mi chwilę nieuwagi, sir. Prosimy do środka. - Rzuciła szybkie spojrzenie na poważną, beznamiętną twarz Cole'a i ponownie popatrzyła na gościa. - Co pan robi w tych stronach? - zapytała.

Wielebny uniósł wysoko brwi.

- Jak to co? Przyjechałem panienkę poślubić.

- Poślubić? Mnie?

- Nie osobiście - Zaśmiał się z własnego żartu. - Mam na myśli ślub pani z panem Slaterem.

- Co!?! - Kristin aż otworzyła usta ze zdziwienia.

Przeniosła wzrok na Cole'a. Jego oczy były jak dwa sople lodu, na twarzy malowała się uraza, złość oraz nienawiść, toteż dziewczynie błysnęło w głowie, że wszystko to jest jakimś upiornym żartem.

- Och, nie! Nie zamierzam wychodzić za pana Slatera - oświadczyła kategorycznie.

Cole ponownie położył jej dłonie na ramionach. Utkwił w niej twardy, pozbawiony wesołości, pełen powagi wzrok. Wpił jej w skórę palce.

- Poślubisz mnie, Kristin. I-to zaraz, dopóki jest

u nas wielebny. Cztery dni upłynęły, zanim go znalazłem, i nie życzę sobie żadnych dalszych kłopotów.

Zacisnęła zęby, jakby chciała stawić opór jego nieugiętej woli, opanować ból, jakim przejmował ją jego dotyk. Chciała krzyknąć, ale gardło miała ściśnięte. Nie potrafiła nawet wyjaśnić, że nie zamierza go poślubić, zwłaszcza teraz, kiedy spoglądał na nią z tak nie skrywaną nienawiścią.

- Nie mam zamiaru...

- Poślubisz mnie. - Odwrócił się i wepchnął ją do domu. - Kristin, skończ z tymi scenami! Przecież sama najlepiej wiesz, że mnie poślubisz.

Nieoczekiwanie w jej oczach rozbłysły łzy. Marzyła o tym, żeby wyjść za Cole'a. Ale nie teraz, nie w chwili, kiedy spoglądał na nią w taki sposób.

- Ale dlaczego...? - szepnęła.

- Musimy się pobrać.

- Ale... - Próbowała zachować resztkę dumy. - Ale ja ciebie nie kocham.

- Ja ciebie też nie.

- Dlaczego więc...

- Kristin, musisz dokonać wyboru.

- Rozumiem. To kolejna groźba. Jeśli się nie zgodzę, ty odjedziesz.

- Muszę odjechać, Kristin. Bez względu na wszystko. A tylko ślub ze mną zapewni ci bezpieczeństwo.

- Nie mogę zgodzić się na to!

- Więc zajmie się tobą Zeke Moreau. Kristin, jeśli nie zależy ci na własnym losie, pomyśl o losie swojej siostry, o losie Delilah i Samsona.

- To jakiś koszmarny sen.

Na ułamek sekundy w oczach zapłonął mu jakiś dziwny, srebrzysty płomień.

Trwało to mgnienie oka. Po chwili znów był dla niej zupełnie obcy, choć stał tak blisko, choć jej dotykał.

- Kristin, cała ta wojna jest koszmarnym snem. Ale nie bój się. Po jej zakończeniu natychmiast weźmiesz ze mną rozwód. Jestem pewien, że znajdziesz tysiące powodów. Ale w tej chwili, panno McCahy, przejdźmy, proszę, do salonu, stańmy zgodnie obok siebie i zgodnie uśmiechajmy się do wielebnego.

CZEŚĆ TRZECIA

Małżonek

9

Nie tak wyobrażała sobie dzień własnego ślubu.

Cole i wielebny wciąż jeszcze pokryci byli podróżnym kurzem, a ona miała na sobie prostą sukienkę z jedną tylko sztywną halką. Kiedy jednak napomknęła coś o tym, że chce się przebrać, zniecierpliwiony Cole tylko zaklął. Shannon tego dnia ubrana była w koszulę i spodnie. Jedyny odświętny element stanowiła więc ślubna wiazanka, którą Delilah pośpiesznie złożyła z późnych stokrotek i paproci.

Stali sztywno w salonie. Cole zachowywał się szorstko i jedynie wielebny starał się zachować pozory bez troski i uprzejmości. Rolę drużby pełnił Malachi, a drużki - Shannon. Jamie, Delilah i Samson byli po prostu niemymi świadkami.

Wielebny kilkakrotnie chrząknął. Zamierzał wygłosić dłuższe kazanie o świętości sakramentu małżeństwa i obowiązkach współmałżonków. Wyraźnie zniecierpliwiony Cole stukał czubkiem buta o podłogę aż w końcu nie wytrzymał i warknął:

- Niech pan już mówi, co ma do powiedzenia!

Kapłan chrząknął jeszcze dwukrotnie i zaczął kazanie.

Kristin słuchała jego dźwięcznego głosu jednym uchem i rozglądała się dyskretnie po saloniku swojej matki. Zastanawiała się, jak wyglądał dzień jej ślubu. Na pewno inaczej. Wiedziała, że jej rodzice się kochali. Pamiętała wyraz twarzy swego ojca, mgiełkę, która

przysłaniała mu źrenice, ilekroć padło imię jego żony. Oboje do końca pozostali marzycielami, ale były to dobre i piękne marzenia.

Świat Kristin nie był jednak światem z bajki, a Cole jej nie kochał. Nie próbował nawet udawać, że jest inaczej.

- Kristin?

- Słucham?

Zakoczona, popatrzyła mu w oczy. Po raz któryś z rzędu zdumiała się, że w takim dniu ubrana jest w zwykłą sukienkę, a Slater ma na sobie dżinsy i od stóp do głów pokryty jest kurzem Missouri. Ujął jej dłoń, skórę miał suchą i gorącą. Ścisnął lekko jej rękę, dziewczyna głośno przełknęła ślinę.

- Kristin! - Jego oczy lśniły niczym płynne srebro.

- Wielebny zadał ci pytanie.

Popatrzyła na kapłana, który poczerwieniał na twarzy i najwyraźniej czuł się bardzo nieswojo, choć starał się tego nie okazywać.

- Kristin, czy chcesz pojąć tego mężczyznę za męża, kochać go, szanować i dochować mu wierności małżeńskiej aż do śmierci?

Dziewczyna podniosła na niego puste spojrzenie. To nieuczciwe, coś w niej krzychało. Przecież Cole mnie nie kocha. A ja się w nim tak bardzo zakochałam.

- Ja...

- Kristin! - Uścisk dłoni Cole'a stał się prawie bolesny.

- Cole... - Podniosła na niego oczy, starając jednocześnie uwolnić palce. - To bardzo szlachetnie z twojej strony, mówię szczerze. Ale wybaczone, nie mogę przyjąć takiej ofiary...

- Kristin! - szepnęła Shannon.

- Kristin... - powtórzył Cole, a w jego głosie za-

brzmiała groźna nuta, niczym odległy jeszcze grzmot nadchodzącej burzy.

Co mi może zrobić przy tylu ludziach? - pomyślała hardo.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. Wielebny zaczął szybciej oddychać.

- Panie Slater, skoro ta młoda dama nie jest jeszcze gotowa do podjęcia tej decyzji, jeśli nie jest jeszcze pewna swoich uczuć...

- Jest, jest! - mruknął Cole.

Wplótł dziewczynie palce we włosy i namiętnie pocałował w usta. Całował ją tak gorąco, z takim żarem, że Kristin wystąpiły na twarz rumieńce. Na wargach czuła jego gorące wargi, a w ustach jego język. Nie mogła złapać tchu, czuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, a kolana ma jak z waty.

- Moim zdaniem... - zaczął protestować wielebny.

- ... są w sobie bez pamięci zakochani - pogodnie wpadł mu w słowa Jamie.

- Cole... - Malachi poklepał brata po ramieniu. - Cole, chyba rozwiąłeś już wszelkie wątpliwości wielebnego.

Mężczyzna oderwał usta od warg Kristin i popatrzył na nią płonącym wzrokiem.

- Kristin, powiedz: „tak”. Powiedz to.

Dziewczyna głęboko odetchnęła. Czuła ból żeber, zupełnie jakby miała je połamane. Próbowwała odmównie pokręcić głową, ale nie zdołała wykonać najmniejszego ruchu.

- Powiedz: „tak” - nalegał Cole.

Kristin wydawało się, że każde uderzenie jej serca powoduje niewielkie trzęsienie ziemi. Rozchyliła usta, wargi miała wilgotne i obrzmiałe.

- Na Boga, zrób to, o co prosi Cole! - szepnęła Shannon. - Potrzebujemy go. Nie bądź naiwna!

Kristin skinęła głową, ale ciągle nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Cole ponownie chwycił ją za rękę.

- „Tak”. Powiedz „Tak”.

Spełniła jego wolę.

- No, dalej! - krzyknął Cole pod adresem wielebnego-

Kapłan zadał mu to samo pytanie, co przed chwilą Kristin.

- Tak.

Słowo to prawie z siebie wypluł. Wykrzywił gorzko usta, jakby uświadomił sobie, że przez jej uległość czuje do siebie jeszcze większy wstręt. Próbowała wyrwać dłoń z jego ręki, ale on przytrzymał ją mocno i wsunął na palec Kristin wykonaną ze szczerzego złota obrączkę, szeroką i o wiele za dużą.

Do uszu Kristin dotarły ciche słowa Delilah, że pierścionek należy opleść nitką i dokładnie go dopasować.

Na koniec, kiedy wielebny oznajmił, że w obliczu prawa są mężem i żoną, Cole wypuścił nowo poślubioną małżonkę z objęć. Panowała głucha cisza, nikt nie odzywał się słowem. Milczenie zdawało się trwać wieki i przerwała je dopiero Delilah.

- Myślę, że mamy świetną okazję, żeby napić się któregoś z tych wyśmienitych białych win, trzymanyh w piwnicy. Samsonie, czy mógłbyś je przynieść?

- Tak jest, ceremonia ślubna nie może się obejść bez wina - przyznał Samson.

Kristin ciągle stała w miejscu jak wmurowana. Zdarzenia tego dnia sprawiły, że na przemian oblewały ją fale ukropu i lodowatego zimna. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna i opuszczona. Teraz, kiedy oboje już wypowiedzieli swoje kwestie, Cole odsunął się od niej, jakby nie mógł znieść najlżejszego nawet jej dotyku. Dopiero kiedy podziękował wielebnemu i wręczył

mu zapłatę, przypomniał sobie o Kristin. Musiała przecież podpisać jeszcze kontrakt ślubny.

W pierwszym odruchu chciała się od tego uchylić, ale on chwycił jej dłoń, wsunął w zdrtwiałe palce pióro i wodząc jej ręką po papierze, zmusił do złożenia podpisu. Wydawało się jej, że śni, że trafiła w jakiś nie-realny świat, w którym nic nie dzieje się naprawdę. Delilah oświadczyła, że przygotuje obiad, a Shannon obiecała jej pomoc.

W końcu Kristin udało się jakimś cudem dotrzeć do wielkiego, obitego pluszem krzesła i usiąść. Obok natychmiast pojawił się Jamie i położył jej dłonie na ramionach.

- On naprawdę jest dużo lepszy, niż na to wygląda - szepnął.

Kristin zacisnęła zęby.

- Wręcz przeciwnie, dużo gorszy.

Jamie wybuchnął śmiechem, ale nie był to śmiech pogodny. Usiadł na stojącej obok krzesła kanapie i ujął dłonie dziewczyny. Spojrzał jej uważnie w oczy.

- Kristin, musisz zrozumieć Cole'a.

- Jemu na tym nie zależy - odparła cicho.

- Chyba się go nie boisz?

Kristin przez chwilę zastanawiała się nad tym pytaniem i w końcu pokręciła głową. Uśmiechnęła się pośpiesnie.

- Bać się Cole'a? Za nic w świecie. Uratował mi przecież życie. Nie, Jamie, nie boję się Cole'a. Chciałabym tylko...

- Tak? - zainteresował się Jamie.

Oboje popatrzyli na Cole'a.

Rozmawiał z Malachim i w zafrasowaniu pocierał dłonią kark. Wygląda na zmęczonego, błysnęło w głowie Kristin. Przygryzła wargę i nagle zapragnęła, żeby

ten ślub był prawdziwy. Chciała podejść od tyłu do Cole'a, wspiąć się na palce, przytulić rozpalone policzki do jego włosów i udawać, że nie ma wojny, nie ma Zeke'a, że cały ten chaos i zamieszanie nie istnieją.

- Chciałabym go zrozumieć - powiedziała w końcu, patrząc Jamie'emu prosto w oczy. - Pomożesz mi?

Wyprostował się i puścił jej rękę.

- Wybacz, Kristin, ale tego nie mogę zrobić. - Wstał i popatrzył na nią z góry z uśmiechem. - Zobacz sama, Delilah to prawdziwy skarb. Obiad już gotowy. Biskwity i pieczeń w sosie, zestaw sałatek i szynka. Chodźmy do stołu.

Ponownie chwycił ją za rękę i podniósł z krzesła. Nieoczekiwanie pocałował ją w policzek.

- Witaj, siostrzyczko - szepnął.

Coś kazało jej obejrzeć się za siebie. Cole bacznie ich obserwował. Skrzywił się ponuro i powrócił do rozmowy z Malachim.

- Nie jestem głodna, Jamie - powiedziała.

Naprawdę nie była w stanie czegokolwiek przełknąć. Tak, wcale nie czuła głodu. Mimo to uśmiechnęła się i wyszeptała:

- Dziękuję, Jamie!

Znów naszła ją ochota do płaczu. Zdecydowanie potrząsnęła głową. To absurd. Musi z godnością znieść to, co ją spotkało.

Cole również nie przejawiał zbyt dużego apetytu. Z wyraźnym zniecierpliwieniem czekał, aż jego bracia skończą jeść i zaraz po obiedzie ruszył z nimi w kierunku wyjścia z jadalni. W progu przystanął i popatrzył na Kristin.

- Jedziemy rozejrzeć się po ranczu. Przy okazji powiemy pracownikom o dzisiejszej ceremonii.

Nic nie odpowiedziała, a Cole zajął się wielebnym,

któremu jeszcze raz gorąco podziękował za fatywę. Później popatrzył na braci z wyraźnym niepokojem.

- I napisz do swego brata - zwrócił się ponownie do Kristin. - Napisz do niego natychmiast. Doskonale potrafię się sam uchronić przed kulą Jankesów, ale nie chciałbym, żeby trafiła mnie przez jakieś głupie nieporozumienie.

Trzej mężczyźni opuścili pokój. Kristin wstała od stołu i patrzyła, jak zamykają się za nimi drzwi, a później nasłuchiwała stukotu ich butów o deski windy.

Nagle skonstatowała, że drżą jej kolana. Usłyszała szum nadlatującego gdzieś z ciemności wichru.

- Kristin!

Słyszała, że siostra woła ją, a następnie zapanowała głucha cisza.

Kristin zemdląca i osunęła się bezwładnie na podłogę-

Kilka godzin później Slater i jego bracia wracali z objazdu rancza. Gdy przy okazji powiadomili pracowników o małżeństwie Kristin, stary Pete splunął na ziemię i oświadczył Cole'owi, że jest z tego bardzo rad. Najwyraźniej uważał, że skoro Cole poślubił Kristin, Zeke Moreau już im nie zagraża i niewiele go obchodziło to, czy jest to małżeństwo prawdziwe, czy tylko pozorne. Poza tym zdawał sobie sprawę, że to nie jego interes.

Bracia objechali całe terytorium McCahy'ow. Dzień był bardzo pogodny. Noc zastała ich w drodze powrotnej, więc gdy trafili na odpowiednie miejsce, Cole zdecydował, że tam przenocują.

Jamie zajął się ogniskiem, a Malachi końmi. Cole wyciągnął butelkę whisky, suszoną wołowinę i twarde

iak kamień suchary. Na czarnym jak aksamit niebie pło-
nęły jasnym blaskiem gwiazdy.

Malachi obserwował Cole'a, któremu z twarzy nie znikął wyraz skrajnego napięcia. Jego starszy brat zachowywał się tego dnia wyjątkowo szorstko i obcesowo, ale Malachi doskonale go rozurniał. Nie wiedział tylko, jak bratu pomóc.

Daj sobie z tym spokój! - pomyślał. - Pozwól sprawom toczyć się własnym torem. Kristin McCahy... nie, teraz już Kristin Slater... była młoda, śliczna i nadzwyczaj rozsądna. Jeśli tylko Cole nie popełni jakiegoś błędu, z pewnością go pokocha. W Cole'u ciągle zbyt żywe było wspomnienie tragedii, jaka go spotkała, żeby dostrzec wszystkie zalety dziewczyny. A jeśli nawet je dostrzeże, nie chce niczego zmieniać i udaje, że o niczym nie wie. Malachi doskonale zdawał sobie sprawę, że Cole nie zachowuje się jak dżentelmen, czym bardzo sobie zrażał Kristin.

Ale to już nie było sprawą Malachiego. On i tak musiał niebawem wyjechać. Służył w regularnym wojsku i kończył mu się urlop.

- To jakaś głupota - odezwał się Jamie i pociągnął tęgi łyk whisky.

- Głupota? - nie zrozumiał Cole.

- Jak jasna cholera. Masz wspaniałą młodą żonę, śliczną, o kształtach...

- A co ty możesz wiedzieć o jej kształtach? - odwarknął Cole.

- Och, daj spokój. Nawet ślepy by to zauważył - szybko wtrącił się do rozmowy Malachi. Liczył na spokojny wieczór. Popatrzył ostrzegawczo na Jamie'ego. Obaj do brze wiedzieli, co gnębi ich brata. - Jamie... daj spokój.

- Dlaczego mam dać spokój? Czyżby Cole sądził, że tylko jego skrzywdziła ta wojna?

- Cholerny szczeniak... - zaczął ze złością Cole.

- Ale ten cholerny szczeniak, kiedy go tylko o to poprosiłeś, bez wahania przybył na twoje wezwanie, Cole. Więc zamknij się i siedź cicho. Do cholery, obaj się uspokójcie.

- Uważam tylko, że powinien docenić tę kobietę, to wszystko. A skoro jest taki ślepy, że nie dostrzega, jaka perła mu się trafiła, to po kiego diabła ciągnął ją do ołtarza?

Cole ze złością popatrzył na Malachiego.

- Ucisz go, albo ja to zrobię.

- Chłopcy, jest wojna! - przypomniał średni brat.

- Ale w stosunku do Kristin powinien zachowywać się przyzwoicie... - znów zaczął Jamie.

- Zachowuję się aż nadto przyzwoicie! - burknął Cole.

- Zostawić ją samą w noc poślubną...

- To właśnie najprzyzwoitsza rzecz, jaką mogłem zrobić! - odparł Cole, wrywając bratu z rąk butelkę.

- Poza tym jesteś jeszcze za młody, żeby zabierać głos w tych sprawach.

- A właśnie że za stary - odrzekł cicho Jamie. Przesłał bratu ponury uśmiech i panujące między nimi napięcie zaczęło opadać. - Mam dwadzieścia lat, Cole. W pewnych okolicznościach to bardzo, bardzo dużo. W tej wojnie giną chłopcy siedemnastoletni.

- Quantrill ma u siebie wielu takich. Chłopców Jamesa, Youngera, tego rzeźnika Billa Andersona... on jest w gruncie rzeczy jak duże dziecko.

Dwukrotnie pociągnął z butelki. Czuł się jak pijany, kompletnie pijany.

Teraz z kolei Malachi wyciągnął rękę po flaszkę. We włosach zabłysło mu światło ogniska. Popatrzył na Cole'a spod uniesionych brwi.

Naprawdę ci się wydaje, że Quantrill panuje nad swoją bandą? Naprawdę sądzisz, że to małżeństwo chroni Kristin przed zemstą Zeke'a?

Cole zapatrzył się w rozciągające się przed nimi równiny Missouri i żuł w zębach źdźbło trawy. Wypluł łodyżkę, po czym spojrzał na obserwujących go z niepokojem braci. Gdyby nie był tak spięty i zdenerwowany, wybuchnąłby śmiechem. Obaj najwidoczniej dzielili z nim niepokój o losy Kristin. W panującej na ranchu McCahy'ow atmosferze było coś, co musiało każdego mężczyznę ująć za serce. Zdawał sobie sprawę tego, że przestały go obchodzić losy wielkiej wojny z Południa z Północą, że obchodzi go wyłącznie to miejsce, że obchodzi go wyłącznie Kristin.

Zbyt wiele brutalności, był już od niej po prostu odepnięty.

- Wiem, że Quantrill wyniesie się na zimę na południe. Nie lubi chłodów. Dokona jeszcze najwyżej jednego wypadu. To wiem na pewno. Pociągnie na południe, może do Arkansas, może do Teksasu. Do tego czasu zostaną tutaj, ale później muszę ruszać do Richmond. Jeśli złapię jakiś transport kolejowy, może nawet się nie spóźnię.

- Jeśli tylko Jefferson Davies wchodzi -jeszcze w skład gabinetu - ponuro mruknął Jamie.

Cole popatrzył ostro na brata.

- Dlaczego to mówisz? Czy wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

- Tak tylko mówię. Słyszałem jedynie, że bitwa o Sharpsburg pochłonięła straszliwą ilość ofiar. Na polu walki pozostały stosy trupów.

- A ty tutaj bardzo na siebie uważaj - ostrzegł brata Malachi. - W okolicy bez przerwy włączają się patrole wojsk federalnych.

- I co z tego? Dobrze o tym wiem.

- Niewiele brakowało, a ta mała wiedźma wydała-by mnie dzisiaj w łapy Jankesów.

- Wiedźma? - zainteresował się Cole.

- Shannon - wyjaśnił uprzejmie Jamie. Malachi chrząknął.

- Zazdroszczę ci żony, Cole, ale jeśli idzie o jej rodzinę, to dziękuję bardzo, pokorny sługa.

- I wcale mu nie chodzi o jej brata Jankesa - roześmiał się Jamie. - Świetnie się składa, że Malachi niebawem wyjedzie. Shannon nie przepada za nim.

Wyszczrzył zęby, wyciągnął się wygodnie na ziemi i z głową wspartą o siodło zaczął obserwować gwiazdy.

- Cole - odezwał się nieoczekiwanie. - Strasznie mi przykro z powodu tego, co ci się przydarzyło. Naprawdę.

Zapadła długa cisza, maćona jedynie trzaskiem polan w ognisku. Malachi głęboko, równo oddychał, napawając się ciszą i spokojem.

- Ale na twoim miejscu - ciągnął Jamie - nie spędzałbym w tej chwili czasu w towarzystwie własnych braci. Tam czeka na ciebie kobieta. Kobieta o przepysznych jasnych włosach i oczach jak szafiry. Jak ona chodzi, jak kołyszą się jej biodra i wszystko inne... Boże drogi, mogę to sobie tylko wyobrazić...

- Ależ z ciebie kawał łotra! - ryknął nieoczekiwanie Cole, zrywając się na równe nogi.

Cisnął pustą już prawie butelkę w ogień. Trunek zapłonął jasnym płomieniem. Jamie, którego zaskoczył straszny wyraz twarzy brata, również poderwał się z ziemi. Malachi w jednej chwili był przy nich. W głębi serca nie wierzył, by Cole uderzył Jamie'ego, ale on również pierwszy raz w życiu widział Cole'a w takim

stanie. Inna rzecz, że Jamie też nigdy dotąd nie postawił się tak najstarszemu bratu.

- Cole...

Malachi łagodnym ruchem wyciągnął rękę i długą chwilę stali bez ruchu w pomarańczowym blasku ognia.

- Odczep się! - powiedział Jamie do Malachiego. - Jeśli chce mnie stłuc, niech stłucze. Skoro ma to mu poprawić humor, świetnie. Niech raczej skrzywdzi mnie, a nie tę Bogu ducha winną, nieszczęsną dziewczynę, która czeka na niego w domu. Ja przynajmniej rozumiem, za co biorę baty. Ona za cholere nie wie, dlaczego n zieję do niej taką nienawiścią.

- A jaką to, do licha, robi różnicę! - huknął Cole. - Oczekuje ode mnie tylko tego, że będę ją bronić.

- Ale musisz się zachowywać względem niej przyzwoicie!

- Już ci mówiłem...

- Tak, mówiłeś! - parsknął lekceważąco Jamie. - Słyszałem same mętne wykręty. Jesteś kawał łobuza.

- Nie wiesz...

- Wiem. Wiem, że to nie moją żonę zamordowali maruderzy, ale my również ją kochaliśmy, Cole. I ona ciebie kochała. I wcale nie chciałyby, żebyś całe życie poświęcił zemście.

- Cóż, chyba muszę...

- Cole! - wykrzyknął Malachi.

Wypili we trzech prawie całą flaszkę mocnej whisky, więc nie była to najstosowniejsza pora, żeby Jamie drażnił Cole'a, ale chłopaka najwyraźniej niewiele to obchodziło. I w końcu Cole stracił nad sobą panowanie. Odtrącił ramię Malachiego i z furią ruszył na Jamie'ego.

Potoczyli się po ziemi.

- Boże drogi! - jęknął Malachi. - Czy zamierzacie się pozabijać?

- Nic nie wiesz! Zupełnie nic nie wiesz! - ryczał do Jamie'ego rozwścieczony Cole. - To nie ty ją znalazłeś, to nie ty czułeś spływającą po rękach jej krew. Nie widziałeś jej oczu, nie widziałeś, jak umiera moja miłość. Nie widziałeś jej zamkniętych oczu, nie czułeś, jak stygnie jej ciało!

- Cole!

Zacisnął ręce na szyi Jamie'ego. Ten wcale się nie bronił. Pozwalał się Cole'owi dusić. Malachi próbował odciągnąć starszego brata. Cole dopiero wtedy uświadomił sobie, co zamierza zrobić. Przerażony puścił Jamie'ego, wstał z ziemi i odwrócił się plecami.

- Muszę trzymać się od Kristin z daleka - powiedział głucho.

Jamie popatrzył na Malachiego i potarł szyję.

- Wcale nie - powiedział Malachi. - Wcale nie musisz się trzymać od niej z daleka. Przeciwnie, powinienś do niej jak najszybciej wrócić.

Cole odwrócił się w ich stronę, podszedł do brata i położył mu dłonie na ramionach.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Jamie wyszczerzył zęby i pokręcił głową.

- A niby co?

Cole stanął obok swego wierzchowca, odwiązał go od drzewa i nie zwracając uwagi na to, że zwierzę jest nie osiodłane, wskoczył na jego grzbiet.

- Wrócisz? - zapytał Jamie.

- Jadę po następną butelkę.

Malachi i Jamie zgodnie skinęli głowami. Długo spoglądali, jak Cole oddala się, słuchali cichnącego w mroku dźwięku końskich podków.

- Pojechał po następną flaszkę - stwierdził cicho Jamie.

Malachi wybuchnął stłumionym śmiechem.

- Chcesz założyć się o to, kiedy wróci?

Jamie również się uśmiechnął.

- Ale jutro ty wiesz jego siodło. - Położył się na ziemi i pokręcił szyją. - Dlaczego nie mam sióstr? - jęknął.

Malachi chrząknął, nakrył twarz kapeluszem i zamknął oczy. Ogień trzaskał cicho, zamieniając się powoli w żar.

W końcu obaj zasnęli.

Zbliżając się do domu Cole coraz wyraźniej słyszał ujadanie jednego z brytanów Pete'a. Później pojawił się jego właściciel. Spod naciągniętych w pośpiechu spodni wystawał mu obrąbek kalesonów.

- Pete, to tylko ja! - zawołał Cole.

- Dobry wieczór, szefie - odparł pogodnie Pete i zawrócił do szopy.

Cole zsiadł z konia przed gankiem. Zrobił to dużo niezgrabniej niż zazwyczaj. Potrząsnął głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej resztki oparów alkoholowych. Whisky mocno uderzyła mu do głowy, ale nie na tyle, żeby zwalić go z nóg i wypchnąć mu z pamięci bolesne wspomnienia. Starał się robić jak najmniej hałasu, ale wydawało mu się, że jego buty straszliwie łomocą o deski werandy.

Dom pogrążony był w ciszy i mroku. Cole minął hall, salon i wkroczył do pomieszczenia, które niegdyś pełniło rolę biura Gabriela McCahy'ego. Namacał po ciemku zapałki i zapalił stojącą na biurku lampę naftową. Rozsiadł się wygodnie na krześle, nogi oparł o blat biurka i zaczął macać w dolnej szufladzie za butelką z trunkiem - wszystko jedno jakim. Kiedy nieoczekiwanie usłyszał za plecami cichy trzask, włosy zjeżyły mu się na głowie. W jednej chwili kompletnie wytrzeź-

wiał, błyskawicznie zerwał się na nogi, zrobił obrót i wycelował w drzwi... wycelował w Kristin uzbrojoną w dwulufową strzelbę, skierowaną prosto w jego głowę. Poirytowany zaklął, wsunął rewolwer do pochwy i usiadł na krześle.

- Co, do licha, wyprawiasz? - warknął.

- Co wyprawiam? Ty łajdaku.

Opuściła broń, przekroczyła próg pokoju i w milczeniu zatrzymała się po przeciwnej stronie biurka. W świetle lampy jej rozpuszczone włosy lśniły niczym potok złocistych promieni słońca. Ubrana była w skromnie zapiętą pod samą szyję koszulę nocną, ale światło lampy nafowej, przebijając cienki materiał, pieściło delikatnie jej ciało i Cole dokładnie wiedział ekscytujący kształt jej bioder, które tak podziwiał Jamie. Dokładnie widział jej bujne, kształtne, strzeliste piersi i rozkoszne uda.

- Co ty tutaj robisz? - warknęła po dłuższej chwili.

- Kristin, odłóż tę strzelbę i wracaj do łóżka.

- Śmiertelnie mnie wystraszyłeś! A sam przecież uczyłeś mnie, żebym nigdzie nie ruszała się bez broni!

- Kristin, odłóż tę strzelbę - powtórzył, zawahał się i nieoczekiwanie twarz rozjaśnił mu uśmiech. - Zgoda, ale teraz wracajmy do łóżka. Razem.

Popatrzyła nań oczyma wielkimi jak spodki.

- Slater, tyś chyba zwariował!

- Jesteś moją żoną.

Wzruszyła ramionami.

- To ty wyszedłeś z domu bez słowa, a teraz, jakby nigdy nic, wracasz sobie o trzeciej nad ranem. A jeszcze wcześniej potraktowałeś mnie gorzej niż parszywego psa. Oświadczam ci, że jeśli zamierzasz mnie teraz tknąć, to kompletnie straciłeś rozum.

Cole sam najlepiej wiedział, że dawno stracił resztki

zdrowego rozsądku. Przełknął głośno ślinę. Zapomniał o tylu rzeczach... Próbował zapomnieć... Zapomniał o tym, jak dumna jest Kristin. Zapomniał, jak cudowne ma oczy, jak cudowne i rozkoszne usta. Zapomniał, że jest piękna i wrażliwa, a dotyk jej sprawia, że w głowie kręci mu się bardziej niż po winie, whisky czy najlepszej brandy.

Zapomniał o tylu rzeczach.

Ale teraz wszystko to sobie przypomniał.

Postąpił krok do przodu i dziewczyna znów uniosła broń. Cole uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Strzelaj, Kristin.

- Uważaj! Naprawdę strzele!

Roześmiał się triumfująco, zrobił kolejny krok do przodu i wyjął jej z rąk broń. Chwycił dziewczynę w ramiona, przytulił do siebie i dotknął ustami jej warg. Nie był to pocałunek brutalny, a jedynie pełen niesłychanego żaru i pasji. W pierwszej chwili chciała mu się wyrwać z objęć, ale dotyk jego ust sprawił, że jej ciało wypełnił płynny żar. W jednej chwili pojęła, że umrze, jeśli nie dotknie Cole'a, jeśli on jej nie dotknie.

Oderwał na chwilę usta i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Nie! - oświadczyła kategorycznie ogarnięta gniewem, ale on tylko uśmiechnął się i ponownie zagarnął ją w ramiona. Choć w jej oczach jeszcze palił się gniew, objęła mężczyznę mocno za szyję, a on wziął ją na ręce i bez wysiłku niósł przez ciemny salon, potem po schodach, aż dotarł do sypialni. Nogą zamknął za nimi drzwi i podszedł z dziewczyną do okna. Srebrzysty blask księżyca tańczył w jej włosach, rzucając migotliwe lśnienia na jej ponętne, kobiece kształty.

- Jesteś wstrętny - oświadczyła.

Uśmiechnął się czule.

- A ty jesteś piękna.
- Jesteś odrażający.

Pocałował ją w czoło, potem w policzki, na koniec zaczął wodzić końcem języka po jej wargach. Palce zawędrowały mu na malutkie guziczki jej koszuli nocnej. Próbowwały je bezskutecznie rozpiąć i w końcu niecierpliwie rozerwał na Kristin jej nocny strój. Na nagim ciele dziewczyny zaigrało światło księżyca. Jęknął i jak oszalały zaczął całować jej ramiona i szyję, czując jednocześnie, jak dziewczynie serce zaczyna bić coraz prędezej.

- Czy o tak wiele proszę? - zapytał schrypniętym głosem.

Kristin nie odpowiedziała. Dotknął jej piersi, a następnie pochylił głowę i musnął językiem sutek. Bawił się nim lekko zębami, ssał i delikatnie pieścił językiem. Dziewczynę zalała fala nieprzytomnej rozkoszy. Wpiła mu palce we włosy, a on delectował się bólem. Powoli opadł na kolana, obejmując jej biodra i pośladki.

- Czy o tak wiele proszę? - powtórzył spoglądając prosto w zachodzące mgłą oczy. Pieścił językiem pępek dziewczyny.

- Tak! - szepnęła.

Chciał się od niej oderwać, ale ona go nie puściła. Obsypał gradem pocałunków jej brzuch, ścisnął mocno pośladki, aż w końcu zanurzył język w trójkąt złocistych włosów. Zadrżała i westchnęła dcho, ale on trzymał ją w mocnym uścisku i kiedy Kristin miała już upaść na ziemię, pochwycił ją i delikatnie położył na podłodze. Wodził czule palcami po jej twarzy, a następnie delikatnie pocałował w usta.

- Czy o tak wiele proszę? - zapytał po raz trzeci.

W odpowiedzi zamknęła oczy i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Nie - szepnęła i zaczęła rozpinać mu guziki od koszuli i pas od spodni. Szło jej to bardzo nieporadnie, więc Cole pomógł jej szybko, uwalniając się z ubrania.

Wniknął w nią, zagarnął ją bez reszty a ona z radością przyjmowała każde jego pchnięcie. Poruszała się pod nim niczym żywy płomień. Narodziła się po to, żeby go mieć, żeby go kochać, żeby mu się oddawać. Spełnienie przyszło szybko. Kristin zadrżała, jęknęła, on wykonał ostatni spazmatyczny ruch i też pogрузzył się w otchłaniach rozkoszy.

Tulił Kristin w żelaznym uścisku. Czuł jej przyspieszony oddech, oszalałe bicie serca, czuł chłodny, śliski pot ich ciał.

Zanurzył palce w jej bujnych włosach.

I wtedy przypomniał sobie, że Kristin jest przecież jego żoną. Ponownie ogarnęła go nienawiść do samego siebie.

Powinien coś powiedzieć, coś wyszeptać jej do ucha. Cokolwiek. Coś czułego, co płynęłoby z głębi serca.

Nie był w stanie wykrztusić słowa.

Podniósł się, jego pokryta potem skóra lśniła w księżycowym świetle. Pochylił się, wziął dziewczynę w ramiona i podniósł. Milczała, oczy miała zamknięte, włosy wzburzone.

Położył ją na łóżku. Ich oczy spotkały się na chwilę i Cole ujrzał w źrenicach dziewczyny ból równie silny jak ten, który przenikał jego serce. I była taka piękna. Naga - jak bogini - piersi pełne, twarde i kształtne, smukłe nogi, płaski brzuch i rozkoszne biodra.

Przykrył ją kołdrą. Dziewczyna nie spuszczała z niego swych szafirowych oczu.

- Wybacz... proszę, wybacz mi - wyjąkał w końcu.

Zakłęła zduszonym głosem i odwróciła się do niego plecami.

Po chwili wahania i on wsunął się pod kołdrę. Zało-

żył ramiona pod głowę i zaczął wpatrywać się w sufit. Pragnął być pijany/pragnął zasnąć.

Ale leżał tak bardzo długo. Wiedział, że Kristin również nie śpi.

O świcie wstał i opuścił sypialnię.

Wtedy dopiero Kristin zmorzył sen. Ostatecznie cały dzień mogę przeleżeć w łóżku, pomyślała gorzko. W końcu to moja poślubna noc. Dla świata jestem panną młodą po nocy poślubnej.

Kiedy zeszła na dół, Cole'a nie było w domu. Shannon poinformowała ją, że pojechał gdzieś z Malachim.

Był natomiast Jamie. Oświadczył, że trzeba kupić sól dla bydła na zimę i w związku z tym Cole polecił, żeby wraz z Pete'em udała się do miasta, aby uzupełnić zapasy.

Unia - mimo sporadycznych najazdów oddziałów Quantrilla - kontrolowała tereny przygraniczne i w mieście było nawet spokojniej niż w okolicy rancza McCahy'ow. Kristin cieszyła się bardzo na ten wyjazd; cieszyła się, że będzie daleko od domu.

Jazda w jedną stronę zajęła im trzy godziny. Miasteczko o nazwie Little Ford było niewielką osadą, ale miało dwa saloony, jeden bardzo przyzwoity hotel, trzy duże sklepy oraz dwóch lekarzy na tyle starych, że uniknęli poboru do wojska. W sklepie Jaffe'a spotkała Tommy'ego Norleya - dziennikarza i dawnego przyjaciela Adama - którego dom rodzinny znajdował się na samej granicy z Kansas.

- Kristin!

Utykając zbliżył się do dziewczyny, uchylił kapelusza, a następnie ujął obie jej dłonie.

- Kristin, co u was słychać? Czy wszystko w porządku? Ty i Shannon powinnyście przenieść się do miasta. Albo w ogóle przenieść się do Kalifornii!

Uśmiechnęła się. Był szczupłym mężczyzną o bladej twarzy, cieniutkim wąsiku i ciemnych, sentymentalnych oczach.

- Tommy, nam tu jest bardzo dobrze. Dziękuję.

Ich oczy spotkały się. Ostatni raz widziała się z nim podczas pogrzebu swego ojca. Napisał wówczas cięty artykuł o bandach.

- Powinnaś się przenieść, Kristin.

Puściła jego słowa mimo uszu.

- Tommy, ty kulejesz!

Uśmiechnął się posępnie.

- Miałem przeprawę z Quantrillem.

Serce mocniej jej zabiło.

- Jak to? Co się stało?

- Ten łajdak zaatakował w zeszłym tygodniu Shawneetown. Jechałem tam właśnie z zaopatrzeniem rządowym, kiedy dopadli mnie jego szaleńcy.

Umilkł i popatrzył na Kristin zastanawiając się, ile wypada opowiedzieć damie.

- Tommy, opowiedz wszystko. Co się wydarzyło?

Zaczerpnął głęboko tchu.

- Kristin, to było straszne. Quantrill i jego banda gnali za naszym pociągiem jak Indianie, wyjąc i krzycząc. Zastrzelili piętnastu mężczyzn: maszynistę i całą eskortę. Odłączyłem się i ukryłem w zaroślach. Dostałem kulą w nogę, ale, jak sama widzisz, przeżyłem i mogłem później wszystko to opowiedzieć. Kristin, wdarli się do miasta. Tam zastrzelili dalszych dziesięć osób. Na koniec całe miasteczko puścili z dymem.

Boże, to okropne!

- Kristin, posłuchaj mojej rady, przenieś się do Kansas. Otwieram właśnie biuro w Lawrence i jestem pewien, że tam będziesz bezpieczna.

- Tommy, mój dom jest w Missouri - odparła z bladym uśmiechem.

- Ale tutaj cały czas grozi ci niebezpieczeństwo.

- Nie opuszczę rancza.

Zastanawiała się chwilę, czy powiedzieć mu o małżeństwie, które zawarła, żeby ocalić ranczo.

- Kristin, powinnaś ich widzieć! - mruknął Tommy.

- To dzikusy! Powinnaś ich widzieć!

Kristin pominęła jego ostatnie słowa i z wahaniem zapytała, czy nie zabrałby listu do Matthew. Obiecał, że zrobi wszystko co w jego mocy, żeby list dotarł do adresata. Kristin kupiła u pana Jaffe przybory do pisania i szybko skreśliła list do brata. Nie przyszło jej łatwo wyjaśnić skomplikowaną sprawę swego małżeństwa. Zrobiła to ostrożnie i w najbardziej pogodny sposób, na jaki ją było stać, zakleiła list i wręczyła go Tommy'emu.

Miała nadzieję, że postępuje właściwie.

Na pożegnanie ucałowała Tommy'ego i wyszła ze sklepu. Pete, który tymczasem kupił bryły soli, ładował je właśnie na wóz. Resztę wolnego miejsca zająć miała lucerna, niezbędna do przetrwania nadchodzącej zimy.

Kiedy opowiedziała staremu o wypadkach w Shawneetown, na wozie zapadło długie, przynębiające milczenie. Wiadomość o napadzie gnębiła ją podczas całej drogi powrotnej.

W domu, natychmiast po rozładowaniu wozu, udała się na grób rodziców. Próbowwała się modlić, ale nie potrafiła się skupić.

W pewnej chwili poczuła za plecami czyjąś obecność i od razu wiedziała, że to Cole. Błyskawicznie odwróciła się w jego stronę, zdecydowana zrobić mu kolejną awanturę.

- W zeszłym tygodniu Quantrill i jego zezwierzęco-

na banda napadli na Shawneetown. Wymordowali żołnierzy eskortujących transport z zaopatrzeniem, a później wdarli się do miasta, gdzie zabili wiele osób. Na koniec doszczętnie spalili osadę.

Oczy mu się zwięziły, popatrzył gniewnie na dziewczynę, ale nie wyrzekł słowa. Kristin podeszła do niego i zaczęła okładać go pięściami po torsie.

- On jest kapitanem! Konfederaci awansowali go do rangi kapitana!

Unieruchomił jej nadgarstki w stalowym uścisku.

- Sama najlepiej wiesz, że nie próbuję wybielać Quantrilla. Posłuchaj mnie, kobieto. Quantrill nie ma monopolu na okrucieństwo. Quantrill pojawił się już po takich jak Lane czy Jennison. A to byli ludzie Unii, Kristin. Maruderzy. Chcesz posłuchać o kilku ich sprawkach? Napadali na farmy, torturowali ich mieszkańców a na koniec mordowali - mordowali mężczyzn i kobiety! Mordowali, gwałcili, torturowali dokładnie tak samo jak Quantrill! Zapamiętaj to sobie, Kristin, zapamiętaj sobie raz na zawsze!

Odepchnął ją, odwrócił się i odszedł dużymi krokami w stronę domu. Otworzył tylne drzwi, przekroczył próg i zatrzasnął je za sobą.

Odczekała chwilę i podążyła jego śladem; Nie wiedziała sama, czy chce dalszej awantury czy też pragnie wszystko jakoś załagodzić.

Ale to już nie miało znaczenia. Nie było go w domu. Na noc nie wrócił.



Nie wiadomo, gdzie Cole spędził tę noc, ale na śniadanie pojawił się przy stole. Kristin była wściekła i zastanawiała się, co o tym wszystkim myślą pozostali domownicy. Pojawiał się w jadalni i znikał niczym burza, nie licząc się zupełnie z uczuciami dziewczyny. Kristin zjeżyła się, kiedy wyrzekł do niej pierwsze słowo, a gdy poprosił, żeby podała mu mleko, rozważała przez chwilę myśl, czy cisnąć w niego dzbankiem, czy też rozlać mu mleko na spodnie. Zanim zdecydowała się na cokolwiek, odebrał od niej dzbanek i przesłał jej twarde spojrzenie. Odwróciła wzrok.

Nie znosiła, kiedy Cole'a nie było obok niej. Uwielbiała urządzać mu awantury. Chciała jak najwięcej przebywać w jego towarzystwie. Wiele trudu ją kosztowało, żeby odwrócić się od niego i zająć się banalną rozmową z Jamie'em i Shannon.

Cole przez cały dzień był w paskudnym humorze. Przed nadchodzącą zimą wszyscy mieli pełne ręce roboty. Cole niepokoił się, czy zdążą ze wszystkim na czas. Przecież on musiał wyjechać niebawem na Wschód, a Malachi i Jamie wracali do swoich jednostek. Przez cały dzień spędzali z pastwisk bydło, żeby Pete mógł zabrać je na targ. Początkowo Kristin była zaskoczona tym, że Cole pozwolił jej sprzedawać mięso na terenach, które znajdowały się w rękach Unii. Kiedy mu o tym wspomniała, popatrzył na nią dziwnie i przypomniał, że ranczo należy przecież do jej brata

Matthew, który służy w szeregach Północy. Cole osobiście nie mógł się tam udać, ale miał to zrobić Pete. Malachi i Jamie mieli pozostać tydzień dłużej na ranchu i zaczekać do jego powrotu.

Przy kolacji humor Cole'a trochę się poprawił, ale Kristin cały czas starała się zachowywać chłód i uprzejmy dystans. Ponieważ Delilah wymówiła się od wspólnej kolacji, do stołu zasiadło tylko pięć osób - Kristin, Shannon i Słaterowie. Najwięcej mówił Jamie. Opowiedział dziewczętom historię, jak ich matka kupiła Cole'owi i Malachiemu po młotku, które później malcy wypróbowywali na swoich głowach. Shannon co chwila wybuchała dźwięcznym śmiechem, zapominając nawet o zwykłych kłótniach i utarczkach słownych z Malachim. Cole słuchał tej historii z uśmiechem, a nawet w pewnej chwili popatrzył na Kristin, przesłał jej miły uśmiech, ale zakłopotany, natychmiast wzruszył ramionami.

Po kolacji Kristin grała na szpince, a Shannon śpiewała. Dziewczęta wykonały kilka lekkich utworów, a następnie zaprezentowały się w przejmującej pieśni zatytułowanej „Lorena”, mówiącej o chłopaku, który wrócił z wojny i odkrył, że jego dziewczyna odeszła z innym. Kiedy ucichły tony pieśni, wszyscy długo jeszcze siedzieli pogrążeni w milczeniu. Potem Cole podniósł się z fotela, oświadczył Shannon zdławionym głosem, że pięknie śpiewa, przeprosił zebranych i opuścił pokój. Kristin obserwowała jego odejście z zagryzionymi ustami. Jamie poklepał ją serdecznie po kolanie, a Malachi, chcąc konkurować z Shannon, zaśpiewał „Dixie”.

Kiedy skończył, inicjatywę ponownie przejęła Shannon pieśnią „John Brown spoczął już w mogile”.

- A jednak jesteś jeszcze bardzo dziecinna - oświadczył jej Malachi.

- A ty jesteś stary szczuropłoch - odparła słodziutkim głosem dziewczyna.

- Dzieci, dzieci! - Jamie dramatycznym gestem wzniosł do góry ramiona i ciężko westchnął.

Shannon dodała coś półgłosem, a Malachi, choć starał się cały czas zachowywać cierpliwość i panowanie nad sobą, ostro zareplikował i wybuchła kolejna awantura.

Kristin machnęła na nich ręką, a potem poszła na górę, gdzie ku swemu zdumieniu skonstatowała, że Cole jest już w łóżku. Myślała, że pogrążony jest we śnie, ale kiedy ostrożnie, żeby go nie zbudzić, wsunęła się pod kołdrę, odwrócił się w jej stronę i mocno ją objął. Próbowwała w ciemności zajrzeć mu w oczy, lecz dostrzegła jedynie błyszczące mu w mroku białka. Kiedy chciała coś powiedzieć, uciszył ją pocałunkiem. Najpierw lekko, czule i delikatnie, a potem coraz gwałtowniej, kochali się ze sobą.

Kiedy się już sobą nasycili, przytulił Kristin do siebie. Oboje nie wyrzekli słowa. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że Cole nie śpi, i rozpaczliwie chciała poznać jego myśli, zastanawiała się, co sama powinna powiedzieć, ale miała kompletną pustkę w głowie.

Wiedziała jedno, ona nie ma go za co przepraszać.

Milczała. W końcu zasnęła.

Później coś ją obudziło. W pierwszej chwili nie wiedziała co. Usłyszała jakieś słowa wymawiane chrapliwym głosem, słowa, których nie rozumiała. Rozrywając pajęczynę utkaną przez sen, otworzyła oczy. W tej samej chwili Cole uniósł rękę i chwycił Kristin za ramię.

Usiadła gwałtownie w łóżku, głośno wołając jego imię. Kiedy nie zareagował, po omacku sięgnęła po zapalniczkę i zapaliła stojącą na nocnym stoliku lampę naftową. Pokój zalało mdłe światło.

Nagie ciało Cole'a lśniło od potu. Mięśnie miał napięte. Palce kurczowo zaciskał na prześcieradle.

Nagłe jego twarz wykrzywiła się w straszliwym grymasie. Jak oszalały zaczął kręcić głową w lewo i w prawo, a z gardła wydarł się ochrypły krzyk:

- Nie!

- Cole! - zawołała Kristin i zaczęła nim gwałtownie potrząsać. - Cole.

Objęła go mocno. Była zdecydowana obudzić go za wszelką cenę.

Wolno rozchylił powieki, ale jej nie widział. Ponownie wydał ochrypły okrzyk i potężnym rzutem ciała odtrącił od siebie dziewczynę, która w jednej chwili znalazła się na podłodze na środku pokoju. Jak rażony prądem, usiadł sztywno na łóżku. Oszołomiona Kristin podniosła się i potarła otartą skórę na plecach.

- Kristin?

Wymówił jej imię cicho, jakby przejęty łękiem. W jego głosie był ton, jakiego nigdy dotąd nie słyszała i który przejął ją do głębi.

- Jestem tutaj - odparła cicho.

Popatrzył w jej stronę i cicho zaklął. Wstał szybko z łóżka i chwycił ją w ramiona. Czuła, jak mocno wali mu serce, czuła drżenia jego ciała i po chwili- znów leżeli obok siebie w pościeli.

- Uderzyłem cię. Wybacz.

Głos miał głęboki, szorstki.

Dziewczyna czuła, że ma kompletnie sucho w ustach i ściśnięte gardło, więc potrząsnęła tylko głową i wtuliła twarz w nagi tors mężczyzny.

- Nie, wcale mnie nie uderzyłeś - wyszeptała wreszcie. - Wszystko w porządku.

Nic nie odrzekł. Nawet się nie poruszył. Po prostu trzymał ją w objęciach.

Pragnęła, żeby ta chwila trwała całą wieczność. Czowała, że jest mu w tej chwili potrzebna. Nie pożądał jej, nie kochał ani nie uwielbiał... po prostu potrzebował.

- Miałaś złe sny - powiedziała ostrożnie.
- Tak.
- Jeśli chcesz o tym pomówić...
- Nie.

Zabrzmiało to jak zamknięcie drzwi i Kristin wiedziała, że nic więcej nie wskóra. Zesztywniała, zdając sobie sprawę z tego, że wyczuł jej reakcję. Odsunął się natychmiast i wstał. Obserwowała, jak podchodzi do okna i staje w srebrnym świetle księżyca; odniosła wrażenie, że serce spowija jej czarna pajęczyna bólu. Tkwił tam bardzo długo, nagi i muskularny, w srebrnej poświęcie i spoglądał w mrok za oknem. Upłynęło sporo czasu, zanim się uspokoił, roluźnił.

- Cole - szepnęła.

Powoli odwrócił się w jej stronę. Przeszedł przez pokój i ku radości dziewczyny ponownie wsunął się pod kołdrę. Objął Kristin ramieniem i położył jej głowę na swoim torsie.

- Cole, słuchaj...
- Kristin, proszę, nie.

Dziewczyna milczała.

- Jutro muszę wyjechać - powiedział w końcu.
- Dokąd?
- Na Wschód.
- Dlaczego?

Milczał długą chwilę.

- Kristin, istnieją sprawy, o których zapewne nie chciałabyś wiedzieć i nie ma powodu, żebym ci o nich mówił.

- Żadnych pytań, żadnych głębszych uczuć - mruknęła.

Nie odrzekł nic, ale poczuła, że zeszywniał.

- Już późno - powiedział w końcu. - Powinnaś...

Uniosła głowę i pocałunkiem zgasiła jego dalsze słowa. Przez głowę przebiegła jej myśl, że robi źle, że powinna czuć do niego złość, zachowywać się oziębło i z dystansem. Nic się przecież nie zmieniło. Wprawdzie poślubił ją, ale nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

Ale nie dbała już o to, nie w tej chwili. Wiedziała jedno: wyjeżdża, a w tych czasach los mężczyzn był bardzo niepewny.

Tym razem ona rozпалиła w nim płomień. Przytuliła twarz do policzka Cole'a i zaczęła wodzić ustami po jego szyi, ramionach i torsie. Pieściła go językiem, opuszkami palców i całym ciałem. Ocierała się o niego jak kotka, mruzczała cicho w rozkoszy, jaką dawał jej kontakt ich ciał. Drażniła go zębami, schodząc ustami coraz niżej. Jego palce wplotły się w jej włosy, z trudem wymówił jej imię. Sama siebie nie poznawała. Była spokojna i rozpalona razem; była pewna swej władzy i potęgi. Miała go dla siebie bez reszty. Kochała go tak długo, aż w końcu on przygarnął ją do siebie, obsypał jej twarz gradem gorących pocałunków, a potem zagarnął pod siebie.

Kiedy przyszło ukojenie, myślała, że umrze, świat na przemian, to pałał oślepiającym blaskiem, to znów pogrążał się w ciemnościach i dziewczyna kompletnie traciła kontakt z rzeczywistością, zatapiając się w cudownych doznaniach.

Cole trzymał ją w ramionach, w milczeniu gładził jej włosy.

Nasycili swe zmysły.

Położył rękę na jej brzuchu i Kristin nakryła ją swoją dłonią. Spletli palce i zasnęli.

A rano, kiedy się obudziła, jego już nie było.

Trzy dni później Kristin, pompując wodę do koryta, ujrzała na horyzoncie sylwetkę samotnego jeźdźca zbliżającego się do rancza. Przez chwilę łopotało jej serce. Pomyślała, że to Cole, który jednak postanowił wrócić. Po chwili zrozumiała swoją pomyłkę. Nie był to mustang Cole'a, a siedzący na nim człowiek jeździ: inaczej niż Slater.

- Malachi! - zawołała.

Zacisnęła usta i ze zmarszczonymi brwiami obserwowała nadjeżdżającego. Wiedziała na pewno, że nie jest to Zeke. Zeke nigdy nie jeździł samotnie. Poza tym nie miała już powodów obawiać się kompanów Quantrilla. Bezpieczeństwo gwarantował jej ślub z Cole'em, a co więcej Quantrill miał na zimę wynieść się na południe. Nie miała powodów do obaw. A jednak czuła lęk.

- Malachi! - krzyknęła ponownie.

- Kristin?

W progu domu pojawiła się postać brata Cole'a Kciuki założył za pas, a na czole miał głęboką zmarszczkę. Szybko podszedł do dziewczyny i oboje obserwowali przybysza. Oczy Małachiego zwęziły się.

- To Anderson - mruknął.

- Kto?

- Bill Anderson. To... to jeden z ludzi Quantrilla. Młody rekrut.

- Czego może chcieć? Jest przecież sam - zapytała z niepokojem Kristin.

- Tak, jest sam - zgodził się Malachi.

Ze stodoły wynurzył się Jamie. Był bez kurtki, rękawy koszuli miał podwinęte. Popatrzył na brata.

- Myślałem, że Quantrill wyruszył już na południe - mruknął. - To jest Bill Anderson.

Malachi skinął głową.

- Ale przyjechał sam.

Jeździec zbliżył się. Był bardzo młody, a na twarzy gościł mu szeroki uśmiech. Miał ciemne, kręcone włosy, czarne wąsy i brodę, ale twarz bardzo jeszcze dziecinną. Kristin zadrżała na myśl, że w tak młodym wieku dopuścił się już zapewne wielu morderstw.

Zatrzymał wierzchowca tuż przed nimi. Dziewczyna zauważyła, że jest uzbrojony po zęby; przy pasie miał kolta, a po obu stronach siodła z olstrów sterczały karabiny.

- Cześć, Malachi! Cześć, Jamie!

- Witaj, Bill - odparł uprzejmie Malachi. Jamie pogodnie skinął głową.

- Cole pojechał na wschód, prawda? - ni to zapytał, ni to stwierdził Anderson. Uśmiechnął się do Kristin, czekając najwyraźniej na prezentację. - Pani jest jego nową żoną? Miło mi panią poznać.

Wyciągnął do niej rękę. Kristin pomyślała przelotnie, że dłoń ta została już wielokrotnie zbrukana krwią niewinnych ludzi, ale zmusiła się do uśmiechu i wyciągnęła rękę.

- Zgadza się, jestem jego nową żoną - odparła.

Nie pofatygowała się nawet, by powiedzieć, że cieśzy się, iż go poznała. Z najwyższym trudem panowała nad sobą.

- Pani Slater, to jest Bill Anderson - dokonał szybkiej prezentacji Malachi. - A ty Bill, co tu, do licha, porabiasz? Zdajesz sobie sprawę z tego, że w okolicy kręci się mnóstwo żołnierzy Unii.

- No właśnie - przytaknął pogodnie Jamie. - Wszędzie się tu pętają. I wiesz, co gadają o was? Żadnej litości. Jeśli wpadniesz im w łapy, zadyndasz bardzo wysoko.

- Głuchy nie jestem i wiem, co mówią chłopcy z Unii. Ale widzę, Malachi, że ty jesteś tutaj bezpieczny, prawda? I ty też, Jamie.

- Do diabła, my nosimy mundury regularnej armii
- odparł Jamie.

Anderson wzruszył ramionami.

- Żeby nas powiesić, muszą nas najpierw złapać. I wcale nie zamierzam zostawać tutaj długo... No cóż... dobrze, mam pewien interes do załatwienia. Do Quantrilla dołączę w Arkansas. Pomyślałem sobie, że wpadnę do was i dostanę coś pysznego do jedzenia.

Zanim Kristin zdążyła cokolwiek powiedzieć, odezwał się Malachi:

- Pewnie, Bill, że dostaniesz. Jamie, biegnij do Delilah i poproś, żeby upiekła coś specjalnego. Powiedz jej, że mamy gościa: jednego z chłopców Quantrilla.

Jamie odwrócił się i pobiegł do domu. W tej samej chwili w progu pojawiła się Delilah, a za jej plecami mignęły jasna plama włosów Shannon. W chwilę później rozległ się głośny krzyk i drzwi domu zamknęły się z trzaskiem. Jamie ruszył biegiem z powrotem.

- Malachi, Delilah chce, żebyś tam przyszedł. Wyniki pewne problemy.

Malachi uniósł brwi, ale bez słowa pośpieszył do domu. Kristin stała z przyklejonym do twarzy uśmiechem i wpatrywała się w Billa Andersona. Chciało się jej wyc, chciała poszarpać paznokciami jego młodzieńczą twarz. Czyż nie rozumie? Czyż nie dociera do jego tępego mózgu, że ona nie chce go tutaj widzieć?

Ludzie tacy jak on, powołując się na imię Quantrilla, przybyli na ranczo i zamordowali jej ojca. Mężczyźni tacy właśnie jak Anderson.

Miała ochotę napluć mu w twarz.

Z domu dobiegł kolejny krzyk pełen nienawiści i Kristin zagryzła wargi. To Shannon! Jej siostra rozumiała, że przybył jeden z ludzi Quantrilla, i nie zamie-

rzała milczeć. A już na pewno nie miała zamiaru usiąść z nim do stołu.

Anderson popatrzył w stronę domu i uniósł brew.

- To moja siostra - wyjaśniła słodko Kristin.

- Jeszcze dziecko - uzupełnił Jamie.

Przesłał Kristin uśmiech, ale jego oczy ostrzegały. Musieli przekonać Billa Andersona, że Shannon jest jeszcze małą dziewczynką.

I trzymać go jak najdalej od niej.

Najwyraźniej tego samego zdania był Malachi, gdyż po chwili krzyki ucichły, a on sam pojawił się na werandzie. Na twarzy miał ślady pazurków Shannon.

- Chodź, Bill! - zawołał. - Napijemy się czegoś, zanim Delilah przygotowuje obiad.

Bill przeniósł wzrok z Malachiego na Kristin i uśmiechnął się.

- Pani Slater, czy to... czy to są ślady po tym dziecku?

- Ona jest naprawdę nieznośnym bachorem - wyjaśniła spokojnie Kristin.

Popatrzyła bacznie na Malachiego. Ten dotknął policzka i wzruszył ramionami.

- Wielka szkoda, że nie chcą jej wziąć do oddziałów walczących z Armią Potomacu - mruknął. - Wygralibyśmy wojnę w kilka godzin. Stary Abe Lincoln uważałby secesję stanów południowych za rzecz nader sympatyczną póty, póki nie przyłączyłaby się do Konfederacji Shannon McCahy.

- Malachi! - warknęła ostrzegawczo Kristin. - Nie zapominaj, że mówisz o mojej siostrze!

- Powiniennem przekazać ją Billowi Andersonowi - burknął.

- Malachi!

Anderson odwrócił się i popatrzył na nich z zainteresowaniem.

- Gdzie jest pani siostra? - zapytał.

- Nadeszła pora jej popołudniowej drzemki - odparł uśmiechnięty Malachi. - Kiedy mamy w domu gości, nie sadzamy jej z dorosłymi do stołu. Czasami lubi pluć, najlepiej grochem. Sam wiesz, jakie potrafią być dzieciaki.

Kristin obrzuciła go płonąącym wzrokiem, a on prześłał jej niewinne spojrzenie.

- Panie Anderson - powiedziała. - Wypije pan szklaneczkę whisky?

- Z największą przyjemnością, proszę pani.

Kristin zaprowadziła go do gabinetu ojca i nalała drinki. Kiedy rozglądał się po pokoju, podziwiając meble, Malachi szepnął jej do ucha:

- Shannon jest w piwnicy.

- I zgodziła się tam pójść? - zapytała dziewczyna, otwierając szeroko ze zdumienia oczy.

- Pewnie - odparł z niewinną miną Malachi.

Niebawem zasiedli do stołu. Soczyste befsztyki ze świeżej wołowiny, smażone kartofle, dynia i szarlotka. Bill Anderson wykazywał zadziwiający apetyt i Kristin uświadomiła sobie, że jest on po prostu tylko dużym chłopcem.

Był uprzejmy, dżentelmen z Południa w każdym calu. Kiedy podano kawę i szarlotkę, rozparł się na krześle i wyjaśnił powód swego przybycia.

- Widziałem niedawno pani męża.

Kristin, podająca mu właśnie drugi kawałek ciasta, zamarła na ułamek sekundy.

- Naprawdę? - spytała zdawkowo.

- Tak. Pojawił się u Quantrilla. Bardzo się o panią martwił. Była to naprawdę wzruszająca scena.

Kristin odstawiła ciasto.

- Jaka scena?

Popatrzyła na Malachiego. Mężczyzna czujnie mrużył oczy. Nie ruszał się.

- Jak pani wie, należał kiedyś do nas.

- Co? - Wbrew samej sobie, Kristin usiadła sztywno na krześle. - Co? - powtórzyła.

Jamie chrząknął. Malachi w dalszym ciągu tkwił nieporuszony jak posąg.

Anderson wytarł usta serwetką i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Cole jest najlepszym strzelcem, jakiego spotkałem w życiu. Do diabła, on sam starczy za całą armię. Jest dobry jak jasna cholera. To były piękne czasy, kiedy walczył razem z nami.

Kristin milczała. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest blada.

Bill nabił na widelczyk kawałek ciasta.

- Cóż, Cole Slater jest taki sam jak Zeke Moreau. Dokładnie taki sam.

Malachi w ułamku sekundy zerwał się na równe nogi. W rękę błysnął mu nóż, który przyłożył do gardła Andersona.

- Mój brat nigdy nie był taki jak Zeke Moreau!

Jamie rzucił się w jego stronę i zaczął odciągać go od Billa. Kristin chwyciła go za łokieć.

- Malachi!

Brat Cole'a cofnął się. Bill wstał i wygładził kurtkę. Popatrzył na Malachiego morderczym wzrokiem.

- Zapłacisz za to życiem, Slater.

- Może i zapłacę, ale nie za to, Anderson! - odpalił.

- Panowie, panowie! - odezwała się cicho Kristin. - Chyba się zapominacie!

To poskutkowało.

Jak większość młodych ludzi z Południa, mieli wpojony głęboko szacunek dla dam, a takie zachowanie by-

ło okropnym nietaktem. Odstąpili od siebie, ale wciąż patrzyli na siebie wilkiem.

- Przybyłeś tutaj tylko dlatego, żeby nam to powiedzieć? - zapytał spokojnie Malachi. - Żeby upokorzyć bratową? Mogę założyć się, że prosił cię o to Zeke Moreau.

- Może tak, może nie - odparł Anderson, sięgając po wiszący na oparciu krzesła kapelusz. - A może pani Slater ma prawo wiedzieć, że jej mąż był grasantem? Czy zaprzeczysz temu, Malachi?

Kristin popatrzyła na Malachiego. Ten miał białą jak kreda twarz i milczał.

Anderson wbił kapelusz na głowę i odwrócił się w stronę Kristin.

- Stokrotne dzięki za obiad, madame. Stokrotne dzięki. Kapitan Quantrill pragnie zapewnić szanowną panią, że może pani czuć się bezpieczna. Oświadczam, że jest mu niebywale przykro z powodu tego, co spotkało panią i jej bliskich. Gdyby tylko wiedział, że jest pani po stronie Południa, nie doszłoby do całej awantury.

Było to oczywiste kłamstwo, bezczelne łgarstwo, ale Kristin zachowała wyniosłe milczenie. Anderson odwrócił się i po chwili do uszu dziewczyny dobiegł trzask zamykanych wyjściowych drzwi.

Z kuchni wynurzyła się Delilach. Stary zegar dziadka wybił kolejną godzinę. Wszyscy stali w bezruchu, dopóki nie usłyszeli oddalającego się dźwięku kopyt konia Billa Andersona.

Wtedy dopiero Kristin odwróciła się i kładąc dłonie na oparciu krzesła, spojrzała przenikliwie na Malachiego.

- Czy to prawda?

- Kristin... - zaczął zgnębnym głosem.

- Czy to prawda? - powtórzyła twardo. - Czy Cole jest jednym z nich?

- Nie! - oświadczył zdecydowanie Jamie robiąc, krok w jej stronę. - Nie jest jednym z nich. Już nie.

Odwróciła się w stronę Jamiego.

- Ale był!

- Był, do ciężkiej cholery, był. I miał cholerny do tego powód.

- Jamie! — warknął Malachi.

- Och, Boże! - westchnęła ciężko Kristin. Obeszła krzesło i ciężko na nim usiadła. Malachi chciał wziąć ją za rękę, ale dziewczyna cofnęła dłoń i zerwała się na nogi. - Nie, proszę, nie! Czyż nie rozumiecie? To mordercy! Wywlekli mego ojca z domu i zamordowali go!

- Kristin, podczas wojny wielu morderców wyłazi ze swoich nor - odparł Malachi, - Quantrill jest tylko jednym z nich.

- Ale to właśnie jego ludzie zabili mi ojca - odparła martwym głosem.

Malachi nie próbował się nawet do niej zbliżyć po raz drugi. Stał po przeciwnej stronie stołu z szarą, ściągniętą twarzą.

- Kristin, sprawy Cole'a są sprawami Cole'a i jeśli uzna to za słuszne, sam ci wszystko wytłumaczy. Prosił nas, żebyśmy się nie wtrącali. Może dobrze wiedział, jak zareagujesz, kiedy się o wszystkim dowiesz. Nie wiem. Ale nienawidząc go, pamiętaj i o tym. Wdepnął w to wszystko przez przypadek. Nie przybył tutaj, żeby cię skrzywdzić.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Służył u Quantrilla - szepnęła z rozpaczą.

- Zrobił dla ciebie, co mógł - odparł Malachi i popatrzył w jej stronę. - Zapewne chcesz teraz uwolnić swoją siostrę. Anderson. To, co zamierzała mu powiedzieć, bardzo by mu się nie spodobało... ale za to bardzo spodobałby mu się jej wygląd.

Powiedziawszy to, opuścił pokój. Wydawało się nagle, że zegar tyka bardzo głośno. Kristin popatrzyła z rozpaczą na Jamie'ego.

Próbował się uśmiechnąć, ale zupełnie mu to nie wyszło.

- Obawiam się, że niewiele mogę ci powiedzieć, Kristin. Ale kocham mego brata i wiem, że jest bardzo przyzwoitym człowiekiem. Są rzeczy, których jeszcze nie rozumiesz, ale to już jego sprawa, żeby porozmawiał o nich z tobą.

Urwał i popatrzył na nią niepewnie. Wzruszył ramionami i również opuścił pokój.

Nie był to udany dzień.

Kristin samotnie siedziała jeszcze bardzo długo. Zapomniała nawet o Shannon. Dopiero po dobrej godzinie udała się do siostry. Kiedy ją oswobodziła, było to tak, jakby wypuściła z klatki rozwścieczonego tygrysa. Shannon klęła, miotała się, wykrzykiwała, groziła Malachiemu, że jeśli nie zginie na wojnie, to ona rozerwie go gołymi rękami na strzępy.

Zapewne od razu spróbowałyby to zrealizować, ale na szczęście odjechał sprawdzić nowe ogrodzenia.

Całą wściekłość zatem Shannon wyładowała na Kristin.

- Jak mogłaś? Jak mogłaś? Pozwoliłaś wejść temu draniowi do naszego domu, do gabinetu ojca! Po tym, co nam zrobili...

- Musiałam. Zrozum, że od tej chwili Quantrill zostawi nas w spokoju! Może ty już zapomniałaś o Zeke'u, ale ja nie!

- Poczekajmy, aż wróci Matthew! - wrzasnęła Shannon. - Już on zajmie się mordercami, którzy służą u Quantrilla, zajmie się Malachim, zajmie się...

- Shannon! - odezwała się znużonym głosem Kri-

stin. - Przed chwilą mówiłaś, że Malachim zajmiesz się osobiście. - Czuła się straszliwie skrzywdzona, była zmęczona i nie potrafiła opanować gniewu, który przebijał z każdego jej słowa. - Jeśli koniecznie musisz zabić kogoś ze Slaterów, dlaczego nie zajmiesz się tym, który najbardziej na to zasługuje?

- O co ci chodzi?

- Cole - powiedziała cicho Kristin. Popatrzyła pośpiesznie na siostrę. - Cole Slater. Mężczyzna, którego poślubiłam. Grabił razem z bandą Quantrilla. Shannon, on był jednym z nich.

- Cole? - Shannon osłupiała. - Nie wierzę w to!

- Ale to prawda. Dlatego pojawił się tutaj Bill Anderson. Chciał, żebym wiedziała, że wyszłam za człowieka pokroju Zeke'a Moreau.

- Kłamał.

- Nie kłamał. Malachi to potwierdził.

- A więc Malachi też kłamał.

- Shannon, nie! Wy się bez przerwy kłóćcie, ale mnie Malachi by nie skłamał.

Przez kilka chwil Shannon milczała. Potem odwróciła się do Kristin.

- Słuchaj, oni pochodzą z Missouri. Oni muszą trzymać z konfederatami. My też trzymaliśmy z nimi dopóty... dopóki nie zabili Pa. Dopóki Matthew nie wstąpił do armii Północy. I jeśli nawet Cole trzymał się Quantrilla... no cóż... musiał mieć ku temu powody. Cole nie jest taki jak Zeke. Ja o tym wiem i ty również.

Kristin uśmiechnęła się. Shannon miała rację; tak samo jak Malachi. Cole w niczym nie przypominał Zeke'a i dobrze o tym wiedziała. Ale zranił jej uczucia i stale czuła do niego złość.

Czuła złość, bo się bała.

I kochała go do szaleństwa.

- Może masz rację, Shannon - powiedziała cicho.
 - Cole nie popełniłby nigdy haniebnego czynu! Nie popełniłby! - odparła żarliwie Shannon. - I...
 - I co?
 - I jest twoim mężem, Kristin. Musisz o tym pamiętać. Poślubiłaś go. Jest twoim mężem.
 - Dam mu jeszcze jedną szansę. Niech się wytłumaczy Kristin miała tylko tyle do powiedzenia. Da mu jeszcze jedną szansę.
- Ale kiedy? Cole'a nie było, nadchodziła zima, a ona nawet nie była pewna, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy.

Dwa dni później wrócił Pete z resztą pracowników, którzy pomagali mu w spędzie bydła.

Malachi z Jamie'em zaczęli przygotowywać się do powrotu na wojnę. Kristin miała wyrzuty sumienia, że tak ostro potraktowała Malachiego i przy pożegnaniu przytuliła go serdecznie, obiecując, że będzie się za niego modlić. Pocałowała również Jamie'ego i wymogła na nim obietnicę, że jeśli tylko jego oddział będzie stacjonował w pobliżu rancza, przyjedzie, żeby zobaczyć, jak wiedzie się jej i Shannon.

Shannon wyczuwała Jamie'ego... a następnie Malachiego, który ze smutnym uśmiechem tulił ją przez chwilę do siebie.

Później odjechali.

Siostry stały obok siebie i spoglądały na znikające w oddali sylwetki jeźdźców. Zerwał się chłodny wiatr, który wzburzył włosy dziewcząt, zatańczył w fałdach ich spódnic.

Nadchodziła zima.

Jestem zupełnie zimna, błysnęło Kristin w-głowie, Bardzo zimna i bardzo samotna.



Zima była długa, ciężka i bardzo mroźna. W grudniu Shannon skończyła osiemnaście lat, a w styczniu swoje dziewiętnaste urodziny obchodziła Kristin. Obie siostry oczekiwały niecierpliwie na jakieś wieści z frontu, lecz żadne nie nadchodziły. Zima była ostra, ale spokojna; złowieszczo spokojna.

Pod koniec lutego przeciągająca w okolicy kompania wojsk unijnych zabrała wszystkie muły, które służyły do orki. Dowodzący oddziałem młody kapitan zapłacił wprowadzić jankeskimi dolarami, ale dziewczyna wiedziała, że wiosną pieniądze niewiele pomogą, bo nie będzie zwierząt, które pociągną pług. Niemniej kapitan doręczył jej również list od Matthew; list, który bardzo długo przechodził z rąk do rąk, zanim trafił jakoś do Kristin.

Matthew najwyraźniej nie dostał jeszcze listu, który wysłała do niego siostra, ponieważ ani słowem nie wspomniał na temat jej małżeństwa. Nie wiedział również nic o napadzie Zeke'a Moreau na ranczo. Był to bardzo smutny list. Na początku Matthew pisał, że codziennie modli się za Kristin i Shannon. Później sporo miejsca poświęcił opisom niedogodności życia na wojnie - pobudki o piątej rano, kwatery w namiocie, nie kończącej się musztry odbywanej na deszczu, a nawet na śniegu. Później przeszedł do opisu pierwszej większej bitwy, w której brał udział: udręka oczekiwania przed nadchodzącą walką, ryk pocisków, kanonada ar-

mat, krzyki konających. Nocami pikiety dwóch stojących naprzeciwko siebie armii mogły się nawoływać Matthew pisał:

Kristin, ostrzegaliśmy ich. Rebeliancie, pada na ciebie światło księżycy! - wołaliśmy, żeby któryś z naszych strzelców wyborowych nie wziął nieostrożnego chłopaka na cel. Przez ostatni miesiąc staliśmy nad rzeką; w dzień walczyliśmy ze sobą, a w nocy handlowaliśmy. Nam brakowało tytoniu, ale mieliśmy nadmiar kawy; chłopcy z Missisipi natomiast posiadali ogromne zapasy tytoniu, lecz brakowali im kawy. Szybko więc temu zaradziliśmy. Na koniec doszło do decydującej bitwy. Kiedy stanąłem twarzą w twarz z Henrym, z którym handlowałem, nie potrafiłem ani nacisnąć spustu, ani unieść mej kawaleryjskiej szabli. Do Henry'ego strzelił ktoś od tyłu i chłopak zwałił się na mojego konia. Przed śmiercią prosił, żebym zabrał mu tytoń, ponieważ jego mama nie wie, że syn pali. Po chwili jednak zapytał, co będzie, jeśli i ja padnę. Próbowałem się roześmiać i powiedziałem mu, że moi rodzice nie żyją, a siostry są bardzo wyrozumiałe, więc nic się nie stanie, jeśli znajdą przy mnie tytoń, karty i inne tym podobne rzeczy. Henry również próbował się uśmiechnąć. Później zamknął oczy i skonał, a ja, drogie siostry, długo nie mogłem przyjść do siebie. Czasami żołnierze obu stron pytają mnie, co chłopak z Missouri robi w niebieskim mundurze. Mogę im tylko odpowiedzieć, że nic nie rozumieją. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że choć wojna jest rzeczą przerażającą, to już lepiej być tutaj niż w domu. To lepsze niż boje toczone przez Quantrilla, Jima Lane'a czy Doca Jennisona. Zabijamy wprawdzie ludzi, ale nie mordujemy ich z zimną krwią. Nie rabujemy, nie plądrujemy, nie gwałcimy i nie wyprawiamy rzezi. Czasami wręcz zapominam, że byłem kiedyś zwykłym farmerem, że nie chciałem iść na wojnę, że nie obchodziły

mnie raczej ani Południa, ani Północy. Rozumie mnie jedynie Jake Armstrong z Kansas. Jeśli człowiekowi krzywdę wyrządzą maruderzy, naturalną rzeczą jest, że jego sympatie będą po stronie Konfederacji. Jeśli zło spotka go ze strony grasantów, idzie z Unią i miejsce urodzenia nie ma tu nic do rzeczy.

Ale nie mam zamiaru wprowadzać was, drogie siostry, w ponury nastrój. Modłę się tylko, żeby mój list dotarł do Waszych rąk i zastał Was w zdrowiu. Kristin, zaklinam Cię na wszystkie świętości, żebyś - jeśli tylko pojawiłby się choć cień niebezpieczeństwa - zabrała Shannon i wyniosła się z tamtych okolic. Zamordowali już naszego ojca i choć właściwie chodziło im wyłącznie o Niego, bardzo się o Was boję i mam tylko nadzieję, że niebawem dostanę urlop i przyjadę do domu. Jeśli chodzi o mnie, jestem dobrej myśli. Piszę ten list tuż przed Bożym Narodzeniem.

Przesyłam Wam całą swoją miłość. Wasz brat Matthew.

Do listu załączył swój żołąd. Kristin przez długą chwilę trzymała w dłoni pieniądze, a następnie poszła do stodoły, odkopała kasę ogniotrwałą, w której trzymała złoto pochodzące ze sprzedaży bydła i pieniądze otrzymane od kapitana. Dołożyła do nich banknoty, które przysłał Matthew. Była w ponurym nastroju, opadały ją czarne myśli, ale w jakiś osobliwy sposób, na przekór temu, co pisał brat, czuła, iż wstępują w nią nowe siły. Znow była zdecydowana walczyć do końca. Ostatecznie, któregoś dnia Matthew wróci do domu. Ostatecznie, wojna się skończy. Do tego czasu musi zachować ranczo.

W kwietniu jeszcze nie mogła kupić nowych mułów, więc z Samsonem i Shannon wyszli sami orać pole. Była to ciężka, mordercza praca, ale dziewczyna świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że żywności jest coraz

mniej i muszą zadbać o zasiewy. Kristin i Shannon ciągnęły pług, a Samson masą swego potężnego ciała popychał go. Bydła zostało im niewiele, lecz niebawem miały przyjść na świat cielęta. Każdego ranka Kristin, przy pomocy Pete'a, robiła dokładny plan pracy na cały dzień. Kolacje jadali dobrze po zachodzie słońca. Kiedy dziewczyna szła spać, była tak zmordowana, że nie miała siły myśleć o toczącej się gdzieś daleko wojnie.

Starła się też w ogóle nie myśleć o Cole'u, ale on kilkakrotnie, nie proszony, pojawił się w snach. Czasami, mimo że była tak nieludzko zmęczona, kładąc się do łóżka, wyobrażała sobie, że on już w nim leży. Zapomniała, że należał kiedyś do bandy Quantrilla. Pamiętała jedynie, że był mężczyzną, który znalazł drogę do jej serca, który obudził w niej kobietę. Leżała w łóżku w świetle księżyca i wspominała Cole'a, wspominała jego smukłe, muskularne ciało, to, jak przyszedł do niej nocą nagi, pamiętała, jak kochali się w widmowej księżycowej poświacie...

Pewnego majowego dnia, kiedy wraz z Samsonem pracowała na południowym polu, z północnego pastwiska przygalopował konno Pete. Nie zwracając uwagi na świeżo obsiane pole, podjechał do nich i zatrzymał konia tuż przed Kristin.

- Wrócił, panno Slater, wrócił! Mówią, że wrócił Quantrill, i znów zacznie tutaj rządzić!

Dom był jeszcze bardzo daleko, kiedy Cole wstrzymał konia i popatrzył na majaczące w oddali zabudowania. Ranczo wyglądało sielsko i przytulnie. Obok werandy rosły stokrotki, a ktoś - Kristin? Shannon? - na froncie domu pozawieszał śliczne naczynia z kwiatami.

Wszędzie panował niezmacony spokój.

Cole'owi boleśnie skurczyło się serce, kiedy uświadomił sobie, że nie było go bardzo długo. Sam właściwie nie wiedział dlaczego, ale upłynęło dużo więcej czasu, niż było to konieczne. Nie niepokoił się o Kristin; w każdym razie aż do chwili, kiedy dotarła doń wieść o powrocie Quantrilla. Zupełnie siebie nie rozumiał. Przez całą zimę i wczesną wiosnę marzył o Kristin. Pragnął jej. Pragnął jej całą duszą, tęsknił za dziewczyną aż do bólu. Wieczorami długo leżał, spoglądając w rozgwieżdżone niebo lub w sufit kwatery i myślał o Kristin. Czasami odnosił wrażenie, że jeśli tylko wyciągnie rękę, znajdzie dziewczynę obok siebie. I powracała doń cała przeszłość. Jej delikatna jak jedwab skóra, pukle przepysznych, złotych jak słońce włosów opadające na ramiona, zdumiewająco niebieskie oczy, jej pełne piersi w jego dłoniach.

Ale kiedy zasypiał, prześladował go smród dymu, łąszał huk wystrzałów i widział swoją żonę, swoją pierwszą żonę, tę prawdziwą... Biegła, biegła... Gryzący odór spalenizny, rozpuszczone, ciemne włosy Elizabeth i strumień krwi na jego rękach.

To bolało.

Tęsknił.

Potrzebował Kristin. Pożądał jej; żądza spalała go od rodka. Koszmary nocne go już nie opuszczają. Nigdy. A na pewno tak długo, jak długo będzie żył zabójca jego żony. Dopóki będzie trwała wojna.

Trącił piętami boki konia i ruszył powoli w stronę domu. Czuł, że w żyłach szybciej zaczyna płynąć mu krew, czuł oblewającą go falę żaru, cały był spięty. I w jednej chwili wydało mu się, że od czasu, kiedy widział Kristin po raz ostatni, upłynęły wieki. Owe pół roku wydało mu się nagle wiecznością.

Była jego żoną...

Cole ponownie wstrzymał wierzchowca. Zastanawiał się, czy ta wojna kiedykolwiek się skończy. Walki w Kansas i Missouri ciągnęły się od roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego piątego, ale pierwsze strzały w Fort Sumter padły w kwietniu sześćdziesiątego pierwszego. Wtedy rebelianci byli pewni, że pokonają Jankesów w dwa tygodnie, pomyślał gorzko Cole. Jankesi zaś, jeszcze przed bitwą pod Manassas sądzili, iż bez trudu zniszczą Konfederację. Ale Północ była bardziej zdeterminowana, niż to się wydawało Południu, a żołnierze Południa z kolei wykazywali ducha walki, o jakim się Północy nie śniło. W ten sposób wojna ciągnęła się i ciągnęła. Trwała już ponad dwa lata, a końca jej nie było widać.

Tylu ludzi zostało uwikłanych w walkę. Front wschodni, front zachodni. Marynarka Unii, marynarka Konfederacji, bitwa stoczona przez pancerniki. Nowy Orlean padł, Vicksburg był obleżony. Ludzie ciągle rozmawiali o bitwie pod Antietam Creek, gdzie stosy trupów piętrzyły się pod niebo, pola uprawne zryte zostały pociskami, a w potoku płynęła czerwona woda.

Popatrzył na wytarte rękawice. Miał na sobie mundur. Na szarym, wełnianym uniformie i na płaszczu nosił złote epolety kawalerii, mimo że *de facto* pełnił funkcje zwiadowcy, przydzielony został do konnicy i nie był traktowany jako szpieg. Bardzo subtelne rozróżnienie, pomyślał. Z goryczą zastanawiał się, jaki to wszystko miało sens. W styczniu stanął przed Gabinetem Konfederatów i uczciwie - uczciwie na tyle, na ile to było możliwe - doniósł o działaniach maruderów, zwanych z racji barwy mundurów czerwononogimi. Jim Lane i Doc Jennison, którzy nimi dowodzili, byli po prostu bestiami. Jim Lane, choć został już senatorem Stanów Zjednoczonych, pozostał takim samym fanatykiem i mordercą, jakim był zawsze, i niczym się nie

różnił od Quantrilla. Ale Unia sprawowała kontrolę nad większością swoich maruderów. Wielu z nich wcielano do regularnej armii i kierowano w okolice bardzo oddalone od granicy. Pozostali na pograniczu maruderzy w dalszym ciągu uprawiali na terytorium Missouri swój proceder, plądrując i puszczając z dymem miasto za miastem. Porządek z nimi zrobił dopiero generał Henry Halleck, wysyłając ich w głąb Kansas. Wtedy nie mogli już dokonywać krwawych wypadów na tereny przeciwnika.

Cole na całe życie znienawidził maruderów i zamierzał mścić się na nich do końca. Ale nienawiść nie zaślepiła go na tyle, żeby nie dostrzec, iż prawdziwa wojna, na której mężczyźni w niebieskich mundurach walczyli z mężczyznami w stalowych mundurach, toczy się według pewnych reguł i zasad humanitaryzmu. Istnieli w Unii potężni politycy i wojskowi, którzy wysyłali własnych maruderów na grabieże, i istnieli ludzie, tacy jak Halleck, którzy potrafili utrzymać ich w ryzach.

Ale nad Quantrillem nikt nie sprawował kontroli.

Wiosną naczelne dowództwo nad armią konfederatów przejął generał Robert E. Lee. Kiedy Cole spotkał się z tym wysokim, dostojnym, mówiącym cichym głosem człowiekiem, odniósł wrażenie, że świat, który zostawił za sobą, jest czymś nierealnym. Wojna była odrażająca, odrażająca była lejąca się strumieniami krew i śmierć, odrażający byli okaleczeni i umierający na zrytej pociskami i kopytami końskimi ziemi żołnierze. Ale największą odrazę budziło okrucieństwo panujące na granicy między Kansas a Missouri. Lee wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia Cole. Slatera długo i uważnie słuchał też Jefferson Davies, prezydent konfederatów. Sekretarz wojny, Judah P. Benjamin/tak

wziął sobie do serca słowa Cole'a, że kiedy Quantril zwrócił się do niego z prośbą o awans i dowody uznania, został odprawiony z kwitkiem.

Cole zastanawiał się, czy to pasmo okrucieństw i gwałtów kiedykolwiek się skończy. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła oczyścić własną duszę z nienawiści.

I nagle zapomniał o wojnie, zapomniał o bożym świecie.

Przy studni znajdującej się na lewo od domu, obok koryta, ujrzał Kristin. Wyciągała właśnie ze studni wiadro z wodą.

Spiął konia i ruszył galopem w jej stronę. Zaskoczona dziewczyna odwróciła się gwałtownie i na bluzkę chlusnęła strumieniem woda. Pod mokrym materiałem natychmiast zaznaczyły się jej wspaniałe, młode piersi.

Na widok jeźdźca rozszerzyły się jej oczy, najpierw ze strachu, a potem, kiedy poznała, kto się do niej zbliża, ze zdumienia. Zatrzymał konia tuż przed nią i zeskoczył z siodła. Dziewczyna miała rozchyłone usta i zakurzona twarz. Była piękna.

- Cole...?-zapytała niepewnie.

Z całych sił przytulił ją do siebie. Znalazł jej usta i całował namiętnie; wargi miała jeszcze słodsze, niż pamiętał. Była pełna życia i taka kobieca. Delikatnie położył jej dłoń na piersi, czując w palcach twardą jak kamień sutkę. Kristin przyłgnęła doń całym ciałem. Drżała. Rozchyliła usta i ich języki spotkały się.

Nagle dziewczyna ze stłumionym okrzykiem wyrwała się mu z objęć. Zaskoczony Cole opuścił ramiona. Kristin cofnęła się o krok i wytarła wierzchem dłoni usta, jakby napiła się trucizny. Spoglądała na niego rozwartymi, nieprawdopodobnie błękitnymi oczyma.

- Ty durniu! - wysyczała, obrzucając go gniewnym

spojrzeniem. - Ty beznadziejny durniu! Pojawiasz się tutaj w mundurze konfederatów. Wiesz, ilu Jankesów kręci się w okolicy?

- Zaraz zmienię ubranie - odparł oschle Cole.

Potrząsnęła z uporem głową. Cole spostrzegł, że dziewczyna drży. Mięła w palcach skraj sukni. Mokry materiał bluzki uwypuklał kształt jej piersi z naprężonymi sutkami. Cole postąpił krok w jej stronę.

- Na Boga, Kristin, co ci jest? Jesteś moją żoną, nie pamiętasz?

- Nie dotykaj mnie!

- Dlaczego?

- Jesteś grasantem! - rzuciła mu z pogardą w twarz. - Jesteś jego... należysz do bandy Quantrilla, tak samo jak Zeke.

Cole skamieniał. Chwilę zastanawiał się, kto mógł jej o tym powiedzieć. Trwało to krótko. Jego oczy zmatowiały, stały się chłodne i obce.

Nieważne. Cole miał swoje powody, żeby przystać do grasantów.

- Wkrótce po twoim odjeździe, jesienią pojawił się tutaj jeden z twoich przyjaciół - poinformowała go Kristin. - Nazywał się Bill Anderson. Chyba go pamiętasz? Bo on ciebie pamięta świetnie.

- Kristin, nie jestem już z Quantrillem.

- ślepa nie jestem, widzę. Masz na sobie prawdziwy mundur rebelianta. Do twarzy ci w nim, Cole. Wyglądasz wspaniale. Ale nie ukryje tego, kim naprawdę jesteś! Komu go ukradłeś? Pewnie jakiemuś nieszczęsnemu chłopcu, który padł na polu bitwy!

Zacisnął pięści i wydawało się, że uderzy Kristin, ale w ostatniej chwili pohamował się.

- To jest mój mundur, Kristin - odparł przez zaciśnięte zęby. - Jest tak samo mój, jak ty jesteś moją żoną!

Stał w pewnej odległości od niej i nie próbował nawet jej dotknąć. Kristin stała sztywno. Ruszył w stronę domu, ale nagle zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Skurczyła się ze strachu, lecz on tylko wyciągnął do niej ramiona.

- Kristin... - zaczął, ale przerwał mu inny, męski głos
- Rebeliancie, zostaw ją w spokoju!

Cole błyskawicznie odwrócił się, sięgając jednocześnie po kolta. Był szybki, ale nie dosyć.

- Nie! - rozdarł ciszę krzyk Kristin. - Matthew, nie! Cole, nie...!

Rzuciła się całym ciałem na jego ramię i Cole nie nacisnął spustu. Błyskawicznie odwróciła się i spojrzała na wysokiego mężczyznę w niebieskim mundurze zbliżającego się z uniesionym karabinem snajpera. Kristin ponownie krzyknęła i rzuciła się całym ciałem na Cole'a. Kula trafiła go, kiedy przewracał się na ziemię. Pocisk musnął mu głowę. Poczuł straszne uderzenie, które odrzuciło go na kilka metrów, na oczy spadała mu płachta mroku i przez chwilę myślał, że to jest właśnie śmierć. Kiedy pograżał się we wszechogarniającej, czarnej ciszy, pomyślał, że Kristin tak przysłoniła mu świat, że nie dostrzegł w porę nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Później, jak przez mgłę, dotarły doń słowa mężczyzny, który do niego strzelił:

- Kristin! O co chodzi? Uratowałem cię przed tym szakalem, który...
- Matthew, ten szakal jest moim mężem!

Odzyskując powoli przytomność, Cole z niejakim zdumieniem skonstatował, że nie umarł. Nie umarł, ale zapewne stracił dużo krwi i wszystko wskazywało na to, że był nieprzytomny przez wiele godzin, ponieważ

za oknem panowała już noc. Na nocnym stoliku paliła się lampa naftowa.

Znajdował się w sypialni, którą dzielił z Kristin. Wszystko widział jak przez mgłę. Zamrugał oczami i obraz nabrał ostrości. Przez okno przesączał się do pokoju blask księżyca.

Dotknął głowy. Była obandażowana. Ktoś zdjął z niego ubranie, umył go i położył do łóżka.

Ktoś. Jego żona. Nie, nie żona... Kristin... Tak, jego żona. Poślubił ją. Teraz ona jest jego żoną.

Przeszkodziła mu zabić tamtego mężczyznę.

Ale również nie dała tamtemu zabić jego.

Męczył go straszliwy ból głowy. Jednak przynajmniej żył, kula z pewnością drasnęła mu skórę, a nie utkwiała w czaszce.

Usłyszał, że ktoś wchodzi po schodach, a potem idzie korytarzem w stronę sypialni. Kiedy otworzyły się drzwi, szybko zamknął oczy.

Do pokoju weszła Delilah.

- Ciągłe nieprzytomny - powiedziała szeptem i dotknęła jego szyi, a następnie piersi. - Ale żyje i jest już mu lepiej. Gorączka minęła.

- Dzięki Bogu - również szeptem odparła Kristin.

Cole'a owiał delikatny zapach jej perfum, na twarzy poczuł łagodny dotyk chłodnych palców dziewczyny. W chwilę później dobiegł go głos tamtego mężczyzny. Matthew. Tak do niego mówiła. Oczywiście. To jej brat. Prosił ją, żeby napisała do niego po to, żeby nie stało się to, co się właśnie stało.

- Kristin, rebeliant? Po tym wszystkim co się wydarzyło...

- Tak, rebeliant! Po tym wszystkim, co się wydarzyło! - odparła szorstko. - Matthew, proszę, nie praw mi morałów! Wyjechałeś, opuściłeś nas, żeby zaciągnąć się

do wojska. Nie miałyśmy tu z Shannon luksusów. A później pojawił się Zeke...

- Moreau wrócił? - wykrzyknął pełnym już głosem Matthew.

- Mów ciszej! - skarciła go Kristin.

Miała zmęczony głos; w ogóle opadła z sił. Cole zapragnął nagle otworzyć oczy, wziąć ją w ramiona, ukoić cały ból, jaki sprawiła jej wojna. Ale nie wolno mu było tego zrobić. Sam najlepiej o tym wiedział.

Zresztą Kristin by go nie chciała. Zapewne nie wybaczy mu tego, że służył kiedyś w oddziale Quantrilla. No cóż, nie przypuszczał, żeby musiał kiedykolwiek kogoś za to przeproszać i nie miał zamiaru niczego Kristin tłumaczyć. Co więcej...

- Kristin, co się tu wydarzyło? - spytał ochrypłym głosem Matthew.

- Na szczęście nic. Ale niewiele brakowało. Zeke zamierzał mnie zgwałcić, a potem wydać w łapy swoich ludzi. Na końcu, zapewne, chciał mnie zabić. Chciał też zaprowadzić na rynek niewolników, Samsona i Delilah. Ale dzięki Cole'owi do tego wszystkiego nie doszło. Strzela o całe niebo lepiej niż ja czy Shannon. Strzela nawet lepiej od ciebie. Akurat wtedy przejeżdżał i zrobił z Moreau porządek.

- Zeke nie żyje?

- Żyje. Po prostu odjechał. - W głosie dziewczyny pojawiła się jakaś szczególna nuta. - Widzisz, Matthew, on nie zabija ludzi z zimną krwią. Chciałam, żeby to zrobił, ale nie zgodził się. A później... no cóż, to długa historia. W każdym razie od chwili, kiedy mnie poślubił, nikt nas nie napastuje ani nie nastaje na nasze rancho. Oni... oni go się boją.

- Do licha, Kristin... - urwał.

Uszu Cole'a dobiegł stłumiony szloch. Pojął, że Mat-

thew wziął Kristin w objęcia. Płakała cicho, a brat ją pocieszał. Cole zacisnął zęby, gdyż płacz ten przejmował go większym bólem niż rana na głowie. Już nigdy nie wezmę jej w ramiona, błysnęła mu myśl. Rozchylił lekko powieki i przyjrzał się Matthew McCahy. Wysoki, miał brązowe włosy i takie same jak jego siostra, niebieskie oczy. Był szczupły i zapewne bardzo silny.

Cole otworzył oczy i uniósł się na łokciu. Rodzeństwo odskoczyło od siebie. Kristin pochyliła się nad nim i dotknęła jego czoła. Jej rozpuszczone włosy opadły mu na tors.

- Cole?

Nic nie odpowiedział. Skinął tylko w milczeniu głową. Zauważył na czole dziewczyny głęboką zmarszczkę. Najwyraźniej bardzo się o niego martwiła. Niebywale go to uradowało. Może nienawidziła go za to, kim był w przeszłości, ale z pewnością nie życzyła mu śmierci.

- Cole, to jest Matthew, mój brat. Napisałam mu o nas, ale list do niego nie dotarł. Nie wiedział, że... nie wiedział, że jesteśmy małżeństwem.

Cole skinął głową i popatrzył na Matthew.

- Rebel... przepraszam, nazywasz się Cole? Cole Slater? - Matthew podszedł do łóżka i usiadł w nogach. Zakłopotany, głośno przełknął ślinę. - Uratowałeś życie mojej siostrze i jestem ci za to wdzięczny. Gdybym o tym wiedział, nie strzelałbym. To z powodu twojego munduru. Ja walczę po stronie Północy.

Ostatnie słowa wymówił z trudem. Nie było łatwo rdzennemu mieszkańcowi Missouri przyznać się, że walczy w szeregach Unii.

- To był czysty przypadek - odparł Cole. Głos miał chrapliwy i kompletnie wyschnięte gardło. W ustach czuł smak krwi.

Matthew skinął głową.

- Tak, czysty przypadek... - zawahał się. - Przyjechałem do domu na urlop. Myślę, że ty również.

- Coś w tym rodzaju - odparł Cole.

Kristin ciężko westchnęła, ale Cole nie spojrzał w jej stronę. Uśmiechnął się do Matthew i wyciągnął rękę do dziewczyny. Wiedział, że Kristin tylko odgrywa przy bracie rolę czulej żony i był ciekaw, do jakich granic się posunie. Podała mu dłoń, a następnie posłusznie usiadła obok niego na pościeli.

- Skoro obaj tu jesteście, będziemy musieli wszystko dokładnie omówić - oświadczył Matthew i wyciągnął rękę do Cole'a. Ten puścił dłoń Kristin i ujął palce jej brata. - Odpowiada ci to, rebeliancie?

- Pewnie, Jankesie.

Matthew nieoczekiwanie się zarumienił.

- Cóż, myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostawię was samych - powiedział i szybko wstał.

Kristin również zerwała się z łóżka.

- Zaczekaj, pójdę z tobą.

Jej brat popatrzył na nią podejrzliwie.

- Kristin...

- Kochanie...-zaczął Cole.

- Kochanie - odparła słodkim jak miód głosem Kristin. - Nie chcę cię na razie męczyć. Musisz dużo wypoczywać!

Pocałowała go w czoło i wyszła - a właściwie wybiegła - z pokoju.

Matthew popatrzył na Cole'a z uśmiechem.

- Okropna jest ta wojna, prawda?

- Tak - przyznał Cole.

- Moja siostra jest osobą bardzo upartą.

- Tak, zauważyłem to.

- Jest uparta jak muł.

- Cóż, muszę ci przyznać rację, Jankesie.

Matthew wybuchnął śmiechem i wyszedł z sypialni.

Trzy dni później Cole czuł się już wyśmianicie, ale był straszliwie zawiedziony. Kristin, jak diabeł święconej wody, unikała jakichkolwiek bliższych z nim kontaktów i cały czas tylko troskliwie dopytywała się o jego zdrowie. Noce spędzała w swojej własnej sypialni.

Dopiero trzeciego wieczoru Cole'a wyrwało ze snu pojawienie się Kristin.

Usłyszał w ciemności jej oddech i kiedy przyzwyczaił oczy do zalegającego pokój mroku, zobaczył, że dziewczyna stoi oparta plecami o drzwi. Najwyraźniej myśli, że śpię, błysnęło mu w głowie.

Wstał bezszelestnie z łóżka, podszedł nago do dziewczyny i wziął ją w objęcia. Wydała stłumiony okrzyk i próbowała się wyswobodzić z jego ramion.

- Cicho - szepnął.

Chwyliła go za rękę i cicho zaklęła.

- Puść mnie - syknęła.

- Przenigdy, pani Slater.

- Grasant!

Zacisnął gniewnie usta.

- Kristin, niezależnie od wszystkiego, jesteś moją żoną.

- Spróbuj mnie tylko zgwałcić, a podniosę taki krzyk, że postawię na nogach cały dom. Matthew cię zabije. Nie masz tutaj żadnej broni.

- Nie zamierzam cię wcale gwałcić, Kristin - zapewnił ją Cole.

- Więc puść mnie.

Nie puścił. Trzymał ją w żelaznym uścisku tak, że dziewczyna nie była w stanie wykonać najmniejszego

ruchu i namiętnie ją całował. Miała na sobie cieniutką koszulę nocną, przez którą doskonale czuł wszystkie cudowne sekrety jej ciała.

Kiedy oderwał wreszcie usta od jej warg, dziewczyna przez chwilę szybko łapała powietrze. Teraz Cole pochylił głowę i zaczął przez materiał całować jej sutkę.

- Będę krzyczeć! - szepnęła.

- Krzycz - odparł.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Gorączkowo namaczał skraj jej koszuli i ściągnął ją z Kristin. Ich nagie ciała ściśle do siebie przylegały. Całował każdy centymetr jej skóry, a ona cicho jęczała i szeptała jakieś miłosne zaklęcia. Nieoczekiwanie objęła go za szyję i zaczęła całować. Między jednym pocałunkiem a drugim szeptała mu, że jest z niego kawał łobuza. Kiedy Cole zaczął pieścić wargami jej uda, jęknęła z rozkoszy i wiała się, w miarę jak jego usta i język pieściły jej najintymniejsze miejsce.

- Krzycz - szeptał w upojeniu. - Krzycz, jeśli musisz...

Wniknął w nią najgłębiej, jak mógł. Rozwarła usta do krzyku, ale on stłumił go swymi wargami; jego język wypełnił jej usta.

Tak długo, tak straszliwie długo, tęskniła do tej chwili...

Dużo później Kristin, leżąc w ciemnościach we wzburzonej pościeli, zwymyślała sama sobie w duchu za brak stanowczości. Przypomniała sobie, że Cole służył u Quantrilla i ogarnęła ją ślepa furia.

Spała odwrócona do niego plecami, więc Slater nie próbował już jej więcej tknąć. Rano unikała go. Przy kolacji, choć wszystko w niej wyło, była niezwykle uprzejma. Drażniło ją to, że Cole i jej brat, jak dwóch

starych kumpli, rozmawiają o bydle i sprawach ranca, a Shannon traktuje Slatera niczym jakiegoś bohatera.

To grasant! - chciała krzyknąć, ale naturalnie nie uczyniła tego. Matthew, gdyby się o tym dowiedział, próbowałby zabić Cole'a. A ten zbyt dobrze władał bronią...

Kiedy przyszła pora snu, Matthew ruszył z nimi na górę i Kristin nie miała wyboru; musiała wejść z Cole'em do sypialni rodziców. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, mężczyzna stanął za nią tak blisko, że czuła na plecach tchnienie jego oddechu.

- Nienawidzę cię - oświadczyła Kristin.

Bardzo długo milczał. Chciała odwrócić się w jego stronę, ale coś jej nie pozwalało.

- Kristin, nie sądzę, żeby to była prawda - odezwał się po długiej chwili. - Ale z całą pewnością chciałabyś, żeby tak było.

Zdjął ubranie, cisnął je na ziemię i wsunął się pod kołdrę. Kristin długą chwilę stała bez ruchu, odwrócona do niego plecami, twarzą do drzwi.

Kiedy zgasił lampę naftową, w pokoju zaległa ciemność, ale ona ciągle tkwiła nieporuszona. W końcu rozebrała się do koszuli i niechętnie weszła do łóżka. Zdawała sobie sprawę, że Cole nie śpi, ale nie wykonał żadnego gestu w jej kierunku. Przez kilka godzin nie zmrużyła oka, w końcu jednak zmogło ją zmęczenie. Przez sen przełożyła nogę przez jego biodro, ich ramiona splotły się.

W takiej pozycji obudziła się. Koszulę miała podciągniętą do pasa, a z dekoltu wysunęła się jedna pierś. Popatrzyła na Cole'a i skonstatowała, że bacznie się jej przygląda. Później powoli, bardzo powoli, jakby dawał jej czas na podjęcie decyzji, zaczął się do niej przysu-

wać. Kristin nie była w stanie wykonać ruchu. Kiedy wszedł w nią, zadrżała z rozkoszy; miała go w sobie, znów go dotykała, napawała się jego ciałem, twardością, która w upajający sposób pieściła jej wnętrze.

Później, kiedy leżeli upojeni miłością, też nie miała mu nic do powiedzenia.

Rano wstała z łóżka i ubrała się; cały czas była świadoma jego wzroku śledzącego każdy jej ruch.

- Gdzie byłeś? - zapytała w końcu.

- W Richmond.

- Ale chyba nie...

- Przecież wiesz, że zerwałem z oddziałem Quantrilla. Widziałaś mój mundur.

Kristin wzruszyła ramionami.

- Niektórzy z nich też noszą mundury konfederatów.

- Nie byłem z Quantrillem.

Mocująca się z guzikami dziewczyna znieruchomiła na moment. Cole wyszedł z łóżka, podszedł do niej od tyłu i objął ją. W pierwszym odruchu chciała mu się wyrwać.

- Jak długo zostaniesz? - zapytała.

- Przez tydzień.

- Tak samo jak Matthew - mruknęła.

- Tak, tak samo.

- Dokąd tym razem się wybierasz?

- Do jednostki Malachiego.

Kłamiesz! - chciała rzucić mu w twarz. Poczuła kłucie pod powiekami. Wcale nie wiedziała, czy powiedział jej prawdę, czy nie.

Odwrócił ją w swoją stronę tak, że stanęli twarzą w twarz.

- Kristin, jestem specjalnym *attaché* generała Lee. Oficjalnie należę do kawalerii. Jestem majorem, ale podle-

gam bezpośrednio i wyłącznie temu wielkiemu człowiekowi. Informuję go, co się tutaj naprawdę dzieje.

Kristin buńczucznie uniosła brodę.

- I co mu mówisz?

- Prawdę.

- Prawdę?

- Prawdę taką, jaką znam.

Przez chwilę spoglądali na siebie. Ponownie byli wrogami.

- Przykro mi, Cole - przerwała ciszę Kristin. - Istnieją rzeczy, których nie mogę ci wybaczyć.

- Do diabła, Kristin, czy prosiłem cię choć raz o wybaczenie? - stwierdził.

Odprawił mnie z kwitkiem, pomyślała. Zacisnęła usta, odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Przez cały dzień znów go unikała. Przy kolacji była spięta i nie odzywała się słowem. Matthew, zaskoczony jej milczeniem, zapytał, czy dobrze się czuje. Odpowiedziała, że jest bardzo zmęczona. Poszła wcześniej do łóżka.

Wsunęła się nago pod kołdrę i czekała.

Kiedy pojawił się Cole, bez namysłu padła mu w ramiona. Kochała się z taką pasją i namiętnością, że aż był zdumiony.

I tak płynęły dni i noce, aż nadszedł czas wyjazdu Matthew.

A jednocześnie i Cole'a.

Stali na werandzie, gotowi wsiąść na wierzchowce; mężczyzna, którego kochała, był w niebieskim mundurze, a drugi mężczyzna, którego również kochała, miał na sobie mundur koloru stali. Obaj przystojni, obaj młodzi, obaj zabierali ze sobą część jej serca, jakkolwiek do tego faktu nie przyznałaby się przed mężczyzną ubranym na szaro.

Kristin milczała. Shannon z płaczem tuliła się raz do jednego z odjeżdżających, a raz do drugiego.

W końcu i Kristin przytuliła do siebie brata, a następnie, ponieważ wszyscy ich obserwowali, musiała objąć i pocałować Cole'a.

I nagle obecność innych przestała się liczyć. Skończył się maj. Nadeszły wieści, że padł Vicksburg, i Kristin pomyślała o tych wszystkich mężczyznach, którzy mieli umrzeć w nadchodzących dniach; rozpaczą przejmowała ją myśl, że mogą się wśród nich znaleźć jej brat i Cole.

Padła mu w objęcia i całowali się z taką pasją, że zabrakło im tchu.

Potem Cole wskoczył na konia.

Shannon i Kristin stały objęte i patrzyły, jak mężczyźni ściskają sobie dłonie.

Potem odjechali - jeden na wschód, drugi na zachód. Cole do Kansas, Matthew w głąb Missouri.

Shannon płakała.

- I znów ich nie ma - szepnęła Kristin, przytulając mocniej siostrę. - Chodźmy do ogrodu. Czeka nas tam wiele ciężkiej pracy. Jest straszliwy upał. Nie będziemy przynajmniej myśleć o nich.

- Będziemy - odparła smętnie Shannon.

Za chwilę wybuchnie płaczem, pomyślała Kristin. Shannon - zawsze taka pogodna, zawsze taka pełna życia. A Kristin dobrze znała swoją młodszą siostrę i wiedziała, że jak raz zacznie płakać, będzie to robić do końca dnia.

- Chodźmy do pracy.

Ale nie było im dane nawet jej zacząć. Ciszę zmaścił tętent koni. Kristin odwróciła się, sądząc, że to wrócił po coś jej brat albo mąż. Shannon krzyknęła ostrzegawczo.

To Zeke, błysnęła Kristin rozpaczliwa myśl.

Ale to nie był Zeke.

Był to oddział żołnierzy Unii. Dowodził nimi kapitan. Miał na sobie mundur identyczny z tym, w jaki ubrany był Matthew. Zatrzymali się przed frontem domu, ale nie zsiadli z koni.

- Kristin Slater! - zawołał kapitan.

Jest w wieku Matthew, pomyślała.

- Słucham? - odparła, wysuwając się do przodu.

Najwyraźniej zmieszany przełknął ślinę.

- Jest pani aresztowana.

- Co? - spytała kompletnie zaskoczona Kristin.

Kapitan kiwnął głową.

- Tak, proszę pani. Bardzo mi przykro. Pani i pani siostra jesteście aresztowane z rozkazu generała Hallecka. Niewymownie mi przykro, ale zabieramy wszystkie miejscowe kobiety, które udzielają pomocy i dają wsparcie Quantrillowi i jego ludziom.

- Pomoc i wsparcie? - pisnęła Kristin i wybuchnęła histerycznym śmiechem.

- Bierzcie ją, chłopcy.

- Zaraz, zaczekajcie chwilę! - krzyknęła stojąca na werandzie Delilah.

Kapitan potrząsnął głową.

- Aresztujcie panią Slater i jej siostrę!

Jeden z żołnierzy zsiadł z konia i chwycił Kristin za ramię. Dziewczyna gwałtownie odskoczyła do tyłu.

Młody żołnierz popatrzył ponuro na kapitana.

- Sir...?

- Mój brat służy w wojsku Unii! - krzyknęła Kristin. - Mojego ojca zamordowali grasand Quantrilla, a wy aresztujecie mnie teraz za... za to, że mu sprzyjam? Nie!

Żołnierz ponownie wydał się po nią rękę i Kristin z całych sił uderzyła go w żołądek. Shannon zaczęła

krzyczeć. Uzbrojona w wałek do ciasta Delilah ruszyła im na odsiecz.

- Boże drogi! - poskarżył się kapitan. - Halleck każe nam walczyć z kobietami, jakby mało było rebeliantów. - Zeskoczył z konia i podszedł do Kristin. - Trzymajcie ją, chłopcy.

Dwóch żołnierzy chwyciło ją za łokcie. Spojrzała na nich płonąącym wzrokiem.

- Musi mi pani wybaczyć - powiedział cicho kapitan i zadał dziewczynie silny cios w podbródek, po którym nieprzytomna Kristin miękko osunęła się prosto w jego ramiona.

12

- Jesteś najjaśniejszą blondynką, jaką spotkałam w życiu - oświadczyła Josephine Anderson, upinając Shannon loki na czubku głowy. Sama była piękną, młodą kobietą o pucołowatych policzkach, olśniewającym uśmiechu i łatwo się rumieniła. Ale przy Jankesach, którzy ją więzili, nie uśmiechała się nigdy. Josephine ciałem i duszą oddana była Konfederacji. Ją i jej siostrę Mary aresztowano w tydzień po Kristin i Shannon, a następnie wydzielono im wspólny kąt w wielkim pokoju na pierwszym piętrze w budynku w Kansas City. Josephine i Mary były urocze, mimo całego ich fanatyzmu Kristin natychmiast bardzo je polubiła. Obie żałowały, że dziewczęta nie znają ich brata Billa - który okazał się nie kim innym jak Billem Andersonem, który odwiedził dziewczęta na ich ranczu i poinformował Kristin o roli Cole'a w oddziale Quantrilla.

Na samym początku Kristin oświadczyła-Josephine i Mary, że zna ich brata. Opowiedziała też o losie, jaki spotkał jej ojca - i dodała, że jest jedną z ofiar wojny, podczas której ludzie wyrządzają sobie nawzajem tyle krzywd.

Ośłupiałe Josephine i Mary zamilkły, odeszły, ale następnego dnia między kobietami znów zapanowała przyjaźń. Uszanowały poglądy Kristin, aczkolwiek były one dla nich czymś kompletnie obcym.

Kiedy padło imię Cole'a, reakcja Mary do złudzenia przypominała reakcję Shannon.

- Och, naprawdę jesteś jego żoną? - rozpromieniła się Okazało się, że Bill przyproceedził raz Cole'a do domu na kolację, jeszcze w czasach, kiedy Slater przyłączył do oddziału Quantrilla. Niewiele jednak wiedziały o Cole'u, poza tym, że w jego przeszłości tkwi jakaś tajemnica.

- To uroczy człowiek - oświadczyła Mary.

- A jakie ma oczy! - Josephine sama wzniosła oczy do nieba.

- Tak, to ogromna szkoda, że opuścił szeregi Quantrilla! - wykrzyknęła impulsywnie Mary. - Przy jego pomocy do tej pory połowa Kansas należałaby już do nas! O tym jestem święcie przekonana.

Kristin zapewniła obie siostry, że Cole służy w armii konfederatów - tyle że w kawalerii, tak jak jego bracia. Shannon opowiedziała im także o Matthew i o tym, jak po śmierci ojca zaciągnął się do armii Unii.

Mary i Josephine ze zrozumieniem przyznały, że to rzeczywiście wielki dramat.

- Jestem zdumiona, że nie przyłączył się do maruderów. Same wiecie, jak to jest. Mówią, że w pięćdziesiątym piątym roku zabito jednego z synów Johna Browna. W odwecie on zabił kilku mieszkańców Missouri, a nasi ludzie z kolei zabili parę osób w Kansas. Ale wy dwie... Boże, to straszne! Mieszkanki Missouri których brat nosi niebieski mundur, a mąż jednej z nich - stalowy. Tak, to tragedia, okropna tragedia!

W ciągu lata generał Ewing, miejscowy komendant Unii, aresztował wiele kobiet. Wszystkie zgromadzone w tym samym budynku. Jankesi nie byli okrutni i nie skrzywdzili żadnej z nich. Wręcz przeciwnie, większość młodych oficerów wykazywała anielską wprost cierpliwość wobec więzionych, z których wiele zachowywało się w sposób arogancki. Warunki ich życia

w więzieniu były okropne. Sam budynek znajdował się w opłakanym stanie, ściany i podłogi gniły, jedzenie było niesmaczne, a w pościeli aż roiło się od wszelkiego robactwa.

Kristin rozpaczliwie tęskniła za domem. Najpierw była wściekła. Toczyła nieustanne boje z dowódcami różnego szczebla, byli bardzo skruszeni, przepraszali, szurali nogami, ale wypuścić jej do domu nie chcieli. W końcu dała za wygraną.

Z dnia na dzień jej nastrój się pogarszał. W ciągu pierwszych tygodni więzienia często chorowała i sądziła, że jest to wina jedzenia. Często dostawała mdłości i choć nikomu o tym nie mówiła, świetnie znała przyczynę. Była w ciąży. Mniej więcej w lutym następnego roku miała urodzić dziecko Cole'a. Początkowo załamała się, później robiła już tylko wyrzuty samej sobie. Czemu się dziwisz? - strofowała się w duchu. Związek kobiety z mężczyzną zawsze, prędzej czy później, zaowocuje dzieckiem.

Sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czasami złorzeczyła Bogu, że pozwolił jej mieć dziecko w świecie, w którym brat bratu jest śmiertelnym wrogiem, w świecie, w którym morderstwa i jatki były sankcjonowane, a nawet uchodziły za rzecz zwyczajną.

Ale bywały noce, kiedy kładła na swoim jeszcze płaskim brzuchu dłoń i wyobrażała sobie dziecko, które miała urodzić. I pomimo że czuła do Cole'a nienawiść, że przekonywała samą siebie, że jest on łajdakiem takim jak Zeke, kochała go. I chciała urodzić dziecko. Małego chłopczyka z takimi samymi, lśniąco srebrnym blaskiem oczami. Albo dziewczynkę... A może dziecko będzie podobne do niej - o jasnych włosach i błękitnych oczach? Niezależnie od wszystkiego, będzie to śliczny dzieciak, w to wierzyła niezłomnie.

Dziecko Cole'a. Jakże tęskniła za mężem, jak bardzo chciała ponownie znaleźć się w jego ramionach, ujrzeć go, porozmawiać.

Nadchodziły również takie chwile, kiedy wpadała w depresję. Cole nie ucieszy się z dziecka. Zapewne czeka końca wojny, żeby się ze mną rozwieść, myślała z bezbrzeżną goryczą. Więziono ją za to, że jest żoną człowieka, którego jedynym pragnieniem jest wziąć z nią rozwód.

Ale to już nie miało najmniejszego znaczenia. Po prostu chciała mieć to dziecko. Pragnęła tulić je w ramionach, kochać je; pragnęła, żeby żyło w świecie gdzie nie ma wojny. Przecież wojna nie będzie trwała wiecznie. Nieważne, która strona wygra. Po prostu chciała, żeby się skończyła. Chciała, żeby jej dziecko biegało roześmiane przez bezkresne pola kukurydzy i cieszyło się urodą życia. Pragnęła, żeby żyło w czasach pokoju. A najbardziej ze wszystkiego chciała to dziecko urodzić u siebie w domu. Nie mogła znieść myśli, że jej dziecko przyjdzie na świat w tym obskurnym, zatłoczonym domu upodlenia.

Kristin uniosła głowę znad listu, który pisała do Matthew. Pytała w nim, czy mógłby coś zrobić, żeby władze wypuściły ją i Shannon do domu. Trzy pozostałe kobiety w pokoju sprawiały takie wrażenie, jakby wybierały się na bal.

Josephine cofnęła się o krok.

- Och, Shannon, wyglądasz precudnie! Precudnie!
- Dziękuję pani - odparła serdecznie Shannon, po czym ciężko westchnęła. - Chciałabym się lepiej obejrzeć - powiedziała.

Mary wsunęła dłoń pod poduszkę i wyciągnęła małe lustro.

- Proszę.

Nieoczekiwanie w pokoju zapadła cisza. Pojawił się jeden z młodych oficerów, kapitan Ellsworth. Kobiety popatrzyły na niego podejrzliwie.

Jego ciemnobrązowe oczy spoczęły na Kristin.

- Pani Slater, proszę udać się ze mną.

Szybko odsunęła papier, odłożyła pióro i wstała. Nerwowo zaciskała palce.

Kobieta w średnim wieku popatrzyła karcąco na kapitana.

- Stawiaj delikatniej nogi, synku. Twoje buciory porobią kiedyś dziury w podłodze!

Oficer smętnie pokiwał głową.

- Przykro mi, pani Todd. Wiem, że to miejsce jest okropne. Cały czas myślimy, jak to zmienić.

- Nie musicie myśleć! - odparła po wielkopańsku Mary. - Puśćcie nas do domów. Jak pojawi się osobiście mój brat, żeby mnie stąd zabrać, wszyscy zginiecie.

- Tak, panienko - odrzekł kapitan Ellsworth, patrząc jej prosto w oczy. - To rzeczywiście duży problem, panno Anderson. Nadchodzi pani brat, żeby nas wszystkich wymordować.

Uklonił się uprzejmie, ujął Kristin za łokieć i wyprowadził z pokoju. Zeszli po skrzypiących schodach i weszli do biura na parterze. Kristin popatrzyła na oficera nerwowo.

- Wszystko w porządku, pani Slater. Major Emery już czeka. Chce z panią pomówić.

Otworzył przed nią drzwi i Kristin weszła do środka. Majora Emery'ego widziała po raz pierwszy w życiu. Był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną z gęstą, siwą brodą i sumiastymi, opadającymi wąsami. Miał krzaczaste, siwe brwi, a pod nimi paliły się jasnobłękitne oczy. Sprawia bardzo sympatyczne wrażenie, pomyślała Kristin. Dżentelmen w każdym calu.

- Niech pani będzie łaskawa usiąść. - Kristin bez słowa zajęła wskazane miejsce, a major, odprawivszy kapitana Ellswortha, popatrzył na nią z uśmiechem. - Napije się pani herbaty, pani Slater? - zapytał.

- Dziękuję, nie.

Siedziała sztywno, zdając sobie sprawę, że bez względu na to, jak miły i uprzejmy jest ten oficer, w rzeczywistości pełnił rolę więziennego dozorca.

Ponownie przesłał jej uśmiech i rozparł się na krześle.

- Pani Slater, staram się zrobić wszystko, żeby panią i pani siostrę zwolnić.

Zaskoczona Kristin wydała stłumiony okrzyk, Uśmiech na twarzy majora Emery'ego pogłębił się i mężczyzna pochylił się w stronę dziewczyny.

- Obawiam się, niestety, że zajmie to jeszcze kilka dni.

Kristin i Shannon przebywały tu już prawie trzy miesiące, więc kilka dni nie robiło żadnej różnicy.

- Czy zawdzięczam to memu bratu? - chciała wiedzieć Kristin. - Czy Matthew interweniował w naszej sprawie, kiedy dowiedział się o naszych kłopotach? Nie chciałam się z tym do niego zwracać, aby nie mnożyć mu trosk na polu walki, ale ostatecznie zdecydowałam się do niego napisać i...

- Nie, nie, pani Slater. Nie słyszałem nic o pani bracie.

- Ach, rozumiem - odparła cierpko Kristin. - Doszliście w końcu do wniosku, że kobieta, której ojca zamordowali ludzie Quantrilla, z pewnością nie będzie udzielać mu pomocy.

Major Emery potrząsnął głową.

- Nie, zawdzięczacie to panie pani mężowi.

- Co? - zapytała podejrzliwie Kristin. - Majorze, przecież siedzę tutaj dlatego, że Cole Slater jest moim mężem. Ale najwyraźniej nikt mi nie wierzy, kiedy mówię

wię, że z bandą Quantrilla od dawna on nie ma nic wspólnego.

Major Emery wstał, podszedł do okna i odwrócił się do Kristin.

- Wierzysz w to, młoda damo?

- Co? - Kristin czuła, że twarz ma czerwoną jak peonia.

- Czy pani mu ufa, pani Slater?

- Tak, ufam - odparła, choć wcale nie była o tym przekonana.

Emery ponownie usiadł na krześle i uśmiechnął się.

- Nie jestem tego taki pewien, pani Slater, nie jestem tego pewien. Ale to rzecz drugorzędna. Widzi pani, ja wierzę w pani męża. Ślepo w niego wierzę.

Kristin popatrzyła na niego tępym wzrokiem. Powoli uniosła dłoń.

- Proszę dalej, majorze. Proszę mówić dalej.

- Mogę iść o każdy zakład, że znam pani męża lepiej niż pani, pani Slater. Na swój sposób, oczywiście.

Widząc jego złośliwy uśmieszek, zacisnęła zęby. Może i jest sympatycznym człowiekiem, pomyślała, ale teraz stroi sobie ze mnie żarty.

Majorze...

Uśmiech znikł mu z twarzy, a jego miejsce zajął wyraz zatroskania.

Był wojskowym. Ukończył West Point. Chodził do jednej klasy z Jebem Stuartem. Czy wie pani o tym?

Tak, Cole wspomniał coś na ten temat Shannon; Shannon - nie jej.

- Wiem o tym.

Major Emery skinął głową.

- Cole Slater był najlepiej zapowiadającym się kalerzystą, jakiego znałem. Bił się w Meksyku i był ze mną na wschodzie. Wielki znawca Indian - walczył

z nimi, a co więcej, znał ich narzecza, prowadził z nim rokowania, umiał doprowadzić do zawieszenia broni. Potem przyszła wojna.

- I wycofał się z wojska? - spytała Kristin.

- Nie od razu. Wycofał się dopiero wtedy, gdy spalili mu dom i zabili żonę.

- Zabili? Zabili żonę?

Kristin zerwała się na równe nogi, ale uświadomiła sobie ten fakt dopiero wtedy, kiedy major Emery obszedł biurko i kładąc jej dłonie na ramionach, delikatnie posadził ponownie na krześle. Sam też zajął miejsce za biurkiem, założył ręce na piersi i uśmiechnął się.

- Liczyłem się z tym, że nie wszystko pani wie. Cole jest człowiekiem małomównym. Zawsze trzymał język za zębami. Służył w armii Unii, kiedy Południowa Karolina odłączyła się od Północy. Ale dla maruderów nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, że pochodzi z Missouri, a Jim Lane wydał rozkaz, żeby bez litości mordować wszystkich, którzy nie opowiedzą się po stronie Unii. Chłopcy doskonale wywiązali się z tego zadania. Najechali jego dom i podpalili. Cole akurat był w terenie. Maruderzy Jima Lane'a podpalili jego dom. Cole miał śliczną żonę, cudowne stworzenie Słodka, miła dziewczyna z Nowego Orleanu. Zaczęła uciekać, ale napastnicy najwyraźniej mieli na nią chrapkę, gonili ją. Cole dał jej kilka lekcji, jak posługiwać się bronią. Zastrzeliła kilku, którzy niebacznie podeszli do niej zbyt blisko. Cole pędził już na pomoc - ona biegła mu na spotkanie. Ale jakiś łajdak strzelił jej w plecy i kiedy Cole do niej dotarł, umierała. Spodziewała się dziecka. Była mniej więcej w piątym miesiącu ciąży; tak mi w każdym razie mówiono. Oczywiście, zastrzeliwszy Slaterowi żonę, która była w ciąży nikt z napastników nie chciał zostawić go żywego

Ktoś do niego strzelił i zostawił dogorywającego. Ale on ma twardą naturę. Przeżył.

- I wtedy dołączył do Quantrilla - szepnęła wstrząśnięta Kristin.

Przełknęła głośno ślinę. Z przerażającą wyrazistością ujrzała w wyobraźni pożar, poczuła smród dymu, usłyszała krzyki. Poczuła się źle. Zrozumiała, że za chwilę zwymiotuje.

— Mój Boże - szepnęła i zakrywszy usta rękami, zerwała się na równe nogi.

Major Emery również poderwał się z krzesła i zawołał, żeby przyniesiono wodę i jakieś wiadro.

Ku swemu przerażeniu Kristin zwymiotowała.

Major Emery był dżentelmenem.

Mokrym ręcznikiem wytarł jej twarz, a następnie kazał wypić herbatę z dużą ilością mleka, żeby uspokoić kurcze żołądka. Kiedy Kristin przysła do siebie i znów zostali sami, major powiedział:

- Pani Slater, czy spodziewa się pani dziecka?

W milczeniu skinęła głową.

- Cóż, postawię sprawę jasno. Nie sądzę, żeby musiała pani dłużej tutaj przebywać. Nie wierzę też, że Cole jest jeszcze z Quantrillem, to nie w jego stylu. Proszę pani, chcę panią zapewnić, że uważam naszych-maruderów za równie odrażających jak grasanci. To zwykli mordercy. A Cole mordercą nie jest. Jestem przekonany, że dołączył do Quantrilla, aby odnaleźć człowieka, który napadł na jego ranczo; to jedyny powód, dla którego przystał do tej bandy. Z tym tylko, że mordercę niełatwo znaleźć, ponieważ porzucił już swoje dawne zajęcie. Do licha, Lane jest obecnie senatorem Stanów Zjednoczonych! A człowiek, który napadł na dom Cole'a, przebywa obecnie w środkowym Kansas, jest bogaty, ma wielkie wpływy i kieruje wieloma ludźmi. Co-

le wie, że nie dotrze do niego, nawet z pomocą Quantrilla. Poza tym wie, że Quantrillowi chodzi wyłącznie o mordowanie. Obecnie Cole służy w regularnym wojsku.

Kristin wypić łyk herbaty i żałośnie pokiwała głową. Była kompletnie rozbita - fizycznie i psychicznie. Pogardziła Cole'em, pogardziła wszystkim, co dla niej zrobił, tylko dlatego, że pojawił się jakiś Bill Andersson i oświadczył, że Cole należał do oddziału Quantrilla. Zapragnęła nagle zobaczyć Cole'a, wziąć go w ramiona, sprawić, że zapomni - choćby na chwilę - o tym, co mu zrobiono.

W tej samej chwili przypomniała sobie, że przecież Cole jej nie kocha i nigdy nie pokocha. On ciągle darzy uczuciem swoją pierwszą żonę.

- Pani Slater?

Kristin popatrzyła na majora.

- Tak... tak, wiem, że służy w regularnym wojsku. Sam mi powiedział.

Nieoczekiwanie major nachmurzył się, złożył dłonie płasko na blacie biurka i uważnie popatrzył na sufit.

W tej samej chwili poczuła to i Kristin. Podłoga pod jej stopami drżała, a powietrze w pokoju zaczęło wibrować.

- Przekleństwo i ognie piekielne! - krzyknął major.

Jak oparzony zerwał się z biurka, chwycił Kristin za łokieć i zaciągnął do drzwi. Otworzył je kopniakiem i wywłókł Kristin na zewnątrz, cały czas osłaniając ją swym potężnym ciałem.

Z trzaskiem zaczęła pękać podłoga, w powietrzu fruwały deski. Pomieszczenie wypełniły kłęby kurzu, który wdzierał się Kristin do ust, nosa i oczu. Usłyszała krzyki, okropne krzyki, krzyki bólu i męki.

Budynek walił się. To straszne miejsce, źle zaproje-

ktowane i na dodatek przegnite i spróchniałe, waliło się jak domek z kart.

- Shannon! - wrzasnęła Kristin. - Shannon!

Chciała wyrwać się majorowi, ale trzymał ją mocno. Nieustannie dobiegał ich straszliwy łoskot walących się ścian, stropów i podłóg. Tuż obok Kristin spadło ciało kobiety i dziewczyna, której w końcu udało wyrwać się z objęć majora, przyklekła.

Była to Josephine Anderson i Kristin od razu wiedziała, że nie żyje. Jej szeroko rozwarte oczy lśniły blaskiem, jakim lśnić mogą wyłącznie oczy martwego człowieka.

- Jo! - krzyknęła rozdzierająco. Dotknęła ciepłego jeszcze ciała, a następnie zamknęła wytrzeszczone oczy trupa. Przeniosła wzrok w górę, na ziejącą nad nią czarną dziurę. - Shannon! - krzyknęła ponownie.

Odwróciła się w stronę, gdzie powinien ciągnąć się korytarz i schody. Piętro i prowadzące nań schody nie istniały. Została tylko poręcz.

- Shannon! - zawołała jeszcze raz i wybuchnęła płaczem.

- Pani Slater! Musi pani myśleć o dziecku! - odezwał się major, kładąc jej uspokajająco ręce na ramionach.

- Proszę...

Strząsnęła z ramion jego dłonie i chwiejnie zaczęła przedzierać się przez rumowisko desek leżących na podłodze. Znalazła Mary - jej ciało, leżące pod stertą desek i belek, było groteskowo skrzywione.

- Mary!

Zaczęła gorączkowo odrzucać deski. Potem uklękła nad ciałem i zbadała puls. Wyczuła nierówne bicie. Mary żyła. Otworzyła oczy.

- Jo?

- Mary, to ja, Kristin. Wszystko... wszystko jest już

w porządku. - ścisnęła lekko dłoń dziewczyny i rozejrzała się za jakimiś mężczyznami. - Ona potrzebuje natychmiastowej pomocy! - zawołała i znów wybuchnęła płaczem.

Shannon! Gdzie jest Shannon? Dziewczęta były razem.

Pojawiło się kilku młodych medyków. Kristin odsunęła się, a lekarze uklękli przy Mary. Z zewnątrz budynku dobiegł dźwięk dzwonek i łoskot końskich kopyt. To przybył wóz strażacki.

- Pani Slater?

Major ciągle usiłował odciągnąć Kristin.

- Shannon!

Ze stosu połupanego drewna wystawało czyjeś ramię, więc Kristin desperacko zaczęła odrzucać deski. Pod nimi leżały zwłoki kolejnej kobiety. Zapłakana Kristin odwróciła głowę.

- Kristin!

Popatrzyła do góry. Shannon, blada jak śmierć, tkwiła przytulona do belki, która sprawiała wrażenie, że za chwilę runie.

- Shannon! Trzymaj się! Wytrzymaj jeszcze trochę...

Rozległo się głośnie skrzypnięcie. Belka zaczynała pękać. Stopy Shannon dyndały w powietrzu jakieś trzy metry nad głową Kristin.

- Trzymaj się!

- Nie, pani McCahy, proszę cofnąć się. Jestem tutaj i zajmę się tym!

Był to kapitan Ellsworth. Stał prosto pod Shannon i wyciągnął ręce. Dziewczyna ciągle desperacko trzymała się belki.

- Niech pani skacze! - zawołał. - Proszę to zrobić, zanim belka pęknie!

Kristin doskonale wiedziała, o co chodzi. Jeśli belka

pęknie, Shannon spadnie prosto na jedną ze sterczących, rozłupanych, ostrych jak szpikulec belek podporowych i nadzieje się na nią jak na rożen.

- Shannon, nie bój się! Skacz! - zawołała Kristin.

Shannon popatrzyła na sterczącą, ostrą belkę na dole i przeniosła wzrok na Kristin. O dziwo, uśmiechnęła się.

- Raz kozie śmierć! - zawołała.

Puściła belkę i, furkocząc spódnicami, skoczyła. Pod ciężarem, jaki wpadł mu w ręce, kapitan Ellsworth przewrócił się na ziemię.

- Wynośmy się stąd! - zarządził nie znoszącym sprzeciwu głosem major Emery.

Ujął Kristin pod rękę i wyprowadził z budynku. Za nimi postępowała Shannon, którą troskliwie zajął się kapitan Ellsworth.

Na ulicy siostry padły sobie w objęcia.

- Jo nie żyje - odparła cicho Kristin.

Popatrzyły na siebie i nagle uświadomiły sobie, jak wiele miały szczęścia. A obok nich wynoszono z ruin kolejne kobiety; niektóre zdrowe i całe, niektóre ranne, niektóre martwe...

Po tygodniu Kristin i Shannon przeprowadziły się o domu siostry kapitana Ellswortha, Betty.

Oprócz Josephine Anderson śmierć poniosły jeszcze cztery inne kobiety. Plotka głosiła, że Bill Anderson wpadł w furję na wieść, że jedna z jego sióstr nie żyje, a druga jest poważnie ranna. Wśród konfederatów przeważała opinia, że generał Ewing celowo umieścił tyle kobiet w walącym się budynku, żeby doprowadzić do takiej właśnie tragedii. Mogło mieć to poważne reperkusje. Żeby sprawę jeszcze zaognić, generał Ewing wydał swój okólnik numer dziesięć, który nakazywał

wszystkim żonom i dzieciom znanych władzom grantów opuścić terytorium stanu Missouri.

Tego wieczoru major Emery w towarzystwie kapitana Ellswortha udał się do niewielkiego domu na przedmieściach Kansas City. Nietrudno było dostrzec, że między Shannon a kapitanem rodziło się głębsze uczucie, ale Kristin nic przeciwko temu nie miała. Ostatecznie młody kapitan mężnie przyszedł jej siostrze z pomocą. Kristin zresztą bardzo go lubiła. Był spokojnym człowiekiem, bardzo czytany i niezwykle uprzejmy. A Shannon miała osiemnaście lat i, jak każda młoda dziewczyna, dobrze wiedziała, o co jej chodzi.

Choć siedząc w salonie kapitan i major byli uprzedzająco serdeczni i czarujący, Kristin od razu domyśliła się, że przynieśli jakieś niedobre wieści.

W pewnej chwili major wywołał ją na werandę.

Dłuższą chwilę, obracając w dłoniach kapelusze, spoglądał w księżyc.

- Wczoraj Quantrill napadł na Lawrence w Kansas.
- Boże drogi!

- Dokonali masakry - ciągnął posępnym głosem major Emery. - Prawie całe miasteczko zrównali z ziemią. Zginęło co najmniej sto osób... w tym dwunastoletni chłopiec, który miał na sobie ubranie uszyte z wojskowego materiału. Quantrill stracił tylko jednego człowieka - byłego pastora baptystów, Larkina Skaggsa. Za dużo wypił i przegapił chwilę wyjazdu. Znalazł go Indianin i zastrzelił, a mieszkańcy osady, którzy przeżyli, rozdarli zwłoki na strzępy. - Major umilkł i przez chwilę panowała głucha cisza. - I do czego to prowadzi? Wszyscy, wszyscy jesteśmy żądnymi krwi, odrażającymi dzikusami.

Kristin chciała go jakoś pocieszyć. Wielu porząd-

nych ludzi ma obecnie przed sobą podobne dylematy, myślała. Ale nie wiedziała, co ma powiedzieć, więc wołała milczeć.

Odwrócił się w jej stronę i wyciągnął rękę, w której trzymał kapelusz.

- Jesteś wolna, młoda damo. Osobiście dopilnuję, żeby pani i pani siostra dostały eskortę, która odwiezie was do domu.

- Ale jak...

Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Ktoś skontaktował się z pani bratem, a ten poruszył niebo i ziemię, docierając do najwyższych szczebli dowództwa. Ale wtedy...

- Ale wtedy...?

Wzruszył ramionami. Oczy mu załśniły.

- No cóż, widzi pani, Kristin, znam Cole'a. Wszyscy kawalerzyści go znają i dobrze wiedzą, że nie jest wyrzutkiem. Ale ludzie, którzy go nie znają... no cóż, ci ludzie ciągle są przekonani, że to kawał łobuza. Chwiliwo panował spokój, ponieważ rozniosła się wieść o tym, że pani i Shannon jesteście tutaj, a Cole nic nie może zrobić. Po tym, co się stało... przecież nie jesteśmy w stanie obsadzić żołnierzami każdego miasteczka. Niektórzy obywatele Kansas City obawiają się, że Cole pojawi się tutaj i puści miasto z dymem tylko po to, żeby odzyskać panią. Nie próbowałem nawet dyskutować z tymi ludźmi. Myślę, że zasługuje pani na to, żeby, jeśli taka jest pani wola, wrócić do domu.

Kristin długo patrzyła mu w twarz, a wreszcie pocałowała majora w policzek.

- Dziękuję.

- Kiedy zobaczy pani Cole'a, proszę przekazać mu moje wyrazy uszanowania. Proszę mu powiedzieć, że bardzo mi go brakuje. Nigdy nie spotkałem człowieka,

który by tak świetnie jeździł konno i z taką wprawą posługiwał się bronią.

Kristin skinęła głową.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. Za wszystko.

- I niech pani na niego czeka. Zapewne bardzo pani potrzebuje.

Kristin uśmiechnęła się posepnie.

- Widzi pan, on mnie wcale nie kocha. Poślubił mnie tylko dlatego, bo uważał, że to jedyny sposób, aby mnie ochronić.

- Niezbadane są drogi, jakimi nadchodzi miłość, młoda damo. Proszę mu dać trochę czasu. Może niedługo ta wojna się skończy.

Uchylił kapelusza i odszedł.

W odwecie za rzeź w Lawrence generał Ewing wydał okólnik numer jednaście, który nakazywał prawie wszystkim mieszkańcom Missouri opuścić w ciągu piętnastu dni terytorium stanu. Ów *exodus* był najbardziej przerażającą rzeczą, jakiej Kristin była świadkiem od chwili rozpoczęcia wojny. Nieszczęśni farmerzy musieli porzucić swój lichy majątek i udać się na wygnanie; tych, którzy nie posłuchali nakazu, bez pardonu na miejscu rozstrzeliwano. Ponieważ ranczo McCahy'ów należało do Matthew, żołnierza, który służył w armii Unii, major Emery mógł dotrzymać obietnicy i wysłać Kristin oraz Shannon do domu.

W połowie września nadszedł list od Matthew. Od pewnego czasu starał się o urlop, ale jak dotąd bezskutecznie. Wyjaśniał:

Rebelianci są w dużo gorszym położeniu niż my. Sadzę, że na Boże Narodzenie będę mógł przyjechać do domu. Pod Gettysburgiem, małym miasteczkiem w Pensylwanii, roze-

grała się wielka bitwa. Kristin, mówią, że działy się tam dantejskie sceny, ale powstrzymaliśmy generała Lee, który musiał wycofać się na Południe. Od tej chwili pojawiła się nowa nadzieja na rychłe zakończenie wojny. Niektórzy nawet mówią, że już powaliliśmy Południe na kolana. Ale oni nie znają południowców. Nie wyobrażam sobie twojego męża na kolanach oraz ani na chwilę nie zapominam, że sam pochodzę z Missouri. Ale modłę się o koniec wojny. Wczoraj byłem świadkiem śmierci mojego kolejnego kolegi. Umarł na dżynterię. Wydaje mi się, że nie potrzeba gradu kul, żebyśmy padali jak muchy. Johnowi Mapie'owi, rannemu w naszej ostatniej potyczce, musiano amputować nogę. Kristin, jeśli kula ma trafić i mnie, modłę się, aby trafiła mnie prosto serce; te operacje są najpotworniejszą rzeczą na ziemi.

nie mamy morfiny, tylko whisky, i John tak potwornie wył. Modlimy się wszyscy, żeby nie dostał zakażenia, bo umrze.

Kristin, wybacz, że piszę o rzeczach, które raczej nie nadają się dla ucha damy, ale jesteś w końcu moją siostrą. Tak cieszę się, że wróciłyście z Shannon do domu. Wszystkich tu poruszył ten wypadek w Kansas City i nikogo z nas nie napawa dumą. Ciarki mi chodzą po plecach na myśl, że mogłaś tam umrzeć. Z niecierpliwością będę wypatrywał listu od Ciebie i wiadomości, że jesteście bezpieczne.

Jak już wspominałem, zadaliśmy rebeliantom ogromne straty. Mają doskonałych dowódców, znakomitych żołnierzy, ale martwych nikt już nie wskrzesi. Pisząc o tym, zdaję sobie sprawę, jak musisz martwić się o męża. Ale nie wolno ci cały czas zamartwiać się tym, że nie przyjeżdża. Zapewne odraczają mu urlop. Rozpaczliwie chcą utrzymać się w Wirginii i dlatego trzymają go na wschodzie.

Kristin odłożyła list brata i zapatrzyła się w okno. Zastanawiała się, czy jeśli będzie usilnie modlić się o powrót Cole'a, to Bóg jej wysłucha. Była ciekawa, czy Slater brał

udział w bitwie pod Gettysburgiem. Opowiadane o niej w Kansas City bez przerwy. Mówiono, że śmierć zebrała tam krwawe żniwo, ale dziewczyna wielokrotnie przeglądała wykazy poległych i nazwiska Colea w nich nie znalazła. Raz tylko serce mocniej jej zabiło kiedy natrafiła na nazwisko „Slater”, ale był to jakiś Samuel Slater z Południowej Karoliny i nie miał żadnych powiązań z jej Cole'em; taką miała w każdym razie nadzieję.

Co noc zostawiała w oknie zapaloną lampę, choć zdawała sobie sprawę, jak nikłe są szanse, że Cole się pojawi. Unia trzymała zdobyte tereny twardą ręką i w okolicy bez przerwy krążyły liczne patrole.

Każdego wieczoru przed snem długo siadywała na stopniach werandy, opierała głowę na kolanach i czekała, czekała...

Zawsze na próżno...

Na próżno, aż do pewnego wieczoru pod koniec września.

W pierwszej chwili sądziła, że się przesłyszała: tętent końskich kopyt. Zamknęła oczy i zaczęła bacznie nasłuchiwać. Poczuła, że deski werandy leciutko drżą pod jej stopami.

Zataczając się jak pijana, zbiegła z ganku na gołą ziemię. Dźwięk kopyt był już wyraźny. Ktoś nadjeżdżał; samotny jeździec.

Powinna natychmiast wrócić do domu po rewolwer lub karabin. Wiał chłodny wiatr, a ona stała boso na zimnej ziemi, ubrana jedynie w białą, bawełnianą koszulę nocną.

Później spostrzegła sylwetkę jeźdźca i ogarnęła ją szaleńcza, choć pełna niedowierzania radość.

- Cole!

- Kristin!

Ściągnął koniowi uzdę i szybko zeskoczył z siodła. Na widok dziewczyny zmarszczył brwi, ale ona już biegła do niego i po chwili ze śmiechem zarzuciła mu ramiona na szyję.

Cole zamknął ją w objęciach.

Wreszcie czuł ją, delikatną i świeżą, taką, jak wyobrażał sobie podczas bezsennych nocy, kiedy bał się, że już nigdy jej nie zobaczy. Droga do domu była długa, ciężka i niebezpieczna. Unikając patroli Unii, które były dosłownie wszędzie, jechał wiele dni. .

Ale teraz Kristin była w jego ramionach i szeptała jego imię. Ogarnęło go drżenie. Jej włosy spływały mu na rękę niczym najdelikatniejszy jedwab, jak utkana ze światła przędza. Przytuliła się do niego jeszcze mocniej i Cole czuł, że prawie traci oddech. Chłonał zapach dziewczyny, który sprawił, że zaczęło mu wirować w głowie.

- Kristin, co tutaj o tej porze robisz? - zapytał bez tchu.

- Czekam.

- Przecież nie wiedziałaś, że wracam.

- Zawsze tak czekam - wyjaśniła z uśmiechem.

Uśmiech ten poruszył go do głębi. Wydało mu się, że ziemia wymyka mu się spod stóp. Jeszcze mocniej przygarnął Kristin do siebie.

- Słyszałem o tym, co wydarzyło się w Kansas City. Chciałem natychmiast pędzić ci na pomoc, ale Malachi i Jamie powstrzymali mnie siłą. Później dotarła wieść o tym budynku, a jednocześnie o tym, że ciebie i Shannon puszczono do domu...

- Cicho! - położyła mu palec na ustach i ponownie uśmiechnęła się, a jemu na widok tego uśmiechu zakręciło się w głowie. Przyłgnęła udami do jego ud, na torsie czuł ucisk jej piersi. - Już wszystko dobrze. Jeste-

śmy w domu. Shannon i ja jesteśmy w domu, a teraz ty do niego wróciłeś.

To nie był jego dom. Mógł jej to powiedzieć, ale nie chciał. Nie teraz. Zapewne zrozumiałaby jego słowa opacznie.

Zanurzył palce w jej włosach, delektując się samym dotykiem. Następnie wziął ją na ręce i, nie spuszczać z niej wzroku, zaczął wchodzić po stopniach.

Zdawało się, że zanim dotarli do sypialni, upłynęły wieki, a sam Cole dużo, dużo później przypomniał sobie że przecież nie zajął się należycie koniem. Jeśli nieszczęsne zwierzę samo jakoś nie znalazło drogi do stajni, musiało spędzić bardzo przykrą noc pod gołym niebem.

W tej chwili jednak liczyła się wyłącznie kobieta, którą trzymał w ramionach, i powrót do domu.

Kiedy wreszcie znaleźli się w pokoju, postawił dziewczynę na podłodze i drżącymi palcami rozpiął jej koszulę, która swobodnie opadła na ziemię. Nie mógł wprost oderwać od Kristin wzroku. Pragnął zachować jej obraz na zawsze i chciał, żeby to wspomnienie było równie cudowne jak rzeczywistość. Miała piękne, świetliste oczy i uśmiechała się radośnie. Jej pełne kształtne, twarde piersi okazały się jeszcze wspanialsze, niż zapamiętał. Długie, smukłe nogi budziły w nim dziwne dreszcze.

Wtedy jej dotknął.

To również chciał mieć w pamięci - delikatność skóry Kristin. Później pocałował ją, żeby zapamiętać smak jej warg. Pocałował w usta, w czoło, w szyję. Kiedy całował jej piersi, ogarnęła go pasja. Całował jej ramiona i brzuch. Potem odwrócił dziewczynę i całował plecy, wodząc palcami po linii kręgosłupa i po krągłych pośladkach. Całował każdy skrawek jej ciała, aż Kristin zaczęła drzeć. Kiedy w uniesieniu wykrzyknęła jego

imię, zerwał się na nogi i zamknął ją w stalowym uścisku, wziął znów na ręce i zaniósł do łóżka.

Szepecząc o tym, jak bardzo na niego czekała, jak bardzo go potrzebowała, jak go pragnęła i pożądała, gorączkowo pomagała mu zrzucić ubranie. Koniecznie musiała dotknąć jego ciała. Delikatnie, lekko jak letnia bryza pieściła go i kochała. A później ich ciała splotły się w zapierającej dech, nieprzytomnej pasji.

Noc tę zapamiętała niczym potężny wiatr, dziką, upojną wicherę, która przegnała wszelkie koszmary świata i sprawiła, że Kristin-unosiła się w ekstazie pośród najczystszych obłoków. Pierwsze spełnienie było dla obojga niczym potężna lawina dźwięków; ogłuszających, dzikich, grzmiących. Potem bardzo szybko namiętność powróciła. Teraz już kochali się wolniej, nie tak gorączkowo, napawając się każdym doznaniem, każdym poruszeniem swoich ciał.

Noc należała do nich.

Dziewczyna nie wiedziała, ile razy kochali się tej nocy wszystko jej się pomieszało, nie wiedziała, czy to sen, czy jawa, nie wiedziała, kiedy się ocknie tylko po to, żeby zrozumieć, że kocha się z Cole'em. Wiedziała jedno: trafiła do nieba i bez względu na to, jak długo jeszcze miała żyć, nigdy, nigdy nie zapomni tej cudownej nocy.

Pierwsze słowa zamienili dopiero rano.

Ciągle jeszcze przebywając w jakimś dziwnym świecie, rozmarzona Kristin spoczywała w jego ramionach, zastanawiając się leniwie, jak powiedzieć mu o dziecku. Zastanawiała się chwilę, czy przypadkiem sam już nie doszedł prawdy, widząc pewne nieznaczące zmiany na jej ciele. Nie powiedział jednak na ten temat ani słowa. Uśmiechnęła się. Zanadto jej pożądał, żeby cokolwiek widzieć. Chciała mu właśnie o wszystkim powie-

dzieć, kiedy on odezwał się pierwszy. Mówił o wojnie, głos miał zimny i obojętny.

- Naszą największą stratą był Stonewall Jackson. Lee zdobyłby Gettysburg, gdyby miał Jacksona. Była to pierwsza batalia, którą musiał stoczyć bez niego. Boże, jak ja tego człowieka żałuję!

- Giii... - szepnęła, przeciągając mu palcami po policzkach i ustach.

Miał surową, napiętą twarz. Malowały się na niej ból i napięcie.

- A Morgan... Boże, pomóż mu! Musiał uciekać. - Potrząsnął głową, a następnie odwrócił się w jej stronę i przytulił do siebie. - Ale po co ci to wszystko mówię - szepnął. - Sama przeszłaś piekło, widziałaś tyle przerażających rzeczy. To Kansas City...

- Każda śmierć jest przerażająca - odparła Kristin, odsunęła się lekko od Cole'a i dodała z uśmiechem: - Ale major Emery jest bardzo miły.

Cole zeszytniał, poczuła nagle bijący od niego chłód.

- Emery?

Nie pojmowała, co spowodowało w nim tak ogromną zmianę.

- Tak. Powiedział, że byliście razem przed wojną. Powiedział...

Usiadł gwałtownie w pościeli.

- Co powiedział?

Kiedy Kristin milczała, zdecydowanym ruchem położył jej dłonie na ramionach.

- Co powiedział?

- Uspokój się! To boli! - Kristin odsunęła się. - Powiedział mi... powiedział mi o twojej żonie.

Cole nieoczekiwanie się uśmiechnął. Był to bardzo gorzki uśmiech.

- Rozumiem - powiedziała cicha
- Co rozumiesz? - spytała Kristin.
- Nic, Kristin, zupełnie nic.

Wstał z łóżka i zaczął zbierać porozrzucane po pokoju ubrania.

- Cole!

Włożył spodnie od stalowego munduru, koszulę i, nie zwracając uwagi na dziewczynę, zaczął naciągać buty. Zmarszczyła brwi widząc, że włożył na siebie mundur. Z pewnością nie zrobiłby tego, gdyby zamierzał zostać.

- Cole, ty chyba nie zamierzasz już odjechać? - zapytała z niedowierzaniem.

Wstał i zapiął pas z rewolwerem. Następnie podszedł do Kristin i ujął ją pod brodę.

- Dostałem tylko pięć dni urlopu. Trzy zeszyły mi na kluczeniu między wojskami federalnymi. Modłę się, żebym drogę powrotną przebył szybciej. - Pochylił się i złożył na jej ustach delikatny pocałunek. - Jesteś taka piękna, Kristin - szepnął.

Ale wzrok miał nieobecny. Zupełnie nieobecny.

- Cole... - wyszeptała. Duszę jej rozdzierała rozpacz. Musieli przecież porozmawiać o tylu rzeczach. Nie wiedziała nawet, co złego powiedziała, co-zrobiła... - Cole, nie rozumiem...

- Kristin, nie potrzebuję twojej litości.

- Co- Litości, Kristin. Nie potrzebuję jej. To bezwartościowy towar i nikt go nie potrzebuje. Zdumiony byłem twoim zachowaniem w nocy. Przecież kiedy wyjeżdżałem w maju, z najwyższym trudem siliłaś się na jaką taką uprzejmość. Nienawidzisz mnie, Kristin.

I dobrze, nienawidź, jeśli tego ci potrzeba, ale, na Boga, nie lituj się nade mną!

Kristin zeszywniała. W oczach stanęły jej łzy.

- Myślałem o tym, żeby do czasu zakończenia wojny przewieźć ciebie i Shannon do Londynu. Nie mam wielkich wpływów u Quantriila, a u Jankesów moje akcje stoją jeszcze niżej. To niebezpieczne miejsce...

- Wynoś się - powiedziała spokojnie Kristin.

- Posłuchaj...

- Tu mi dobrze. Przysięgam, jesteśmy tutaj bezpieczne.

Zawahał się, po czym przerzucił płaszcz przez ramię i sięgnął po kapelusz z piórami.

- Kristin...

- Cole, wynoś się do diabła! Nie chcesz mojej litości, pragniesz mojej nienawiści! Dobrze, będzie tak, jak chcesz! A teraz jazda stąd!

- Niech cię piekło pochłonie, Kristin!

Podszedł do łóżka i wziął ją w ramiona. Opadła z niej kołdra. Spragniona pocałunków Cole'a, przywarła nagim ciałem do wełny jego munduru. A przecież chciała powiedzieć mu, że go nienawidzi. Tymczasem znów odjeżdżał; odjeżdżał na wojnę. A ona b a ł a | się wojny. Na wojnie ludzie umierali.

Więc oddała mu pocałunek. Objęła go za szyję i całowała go równie namiętnie jak on ją. Czuła dotyk jego palców na piersiach...

I wtedy oderwał usta od jej warg, ich oczy się spotkały a Cole powoli, bardzo powoli, położył Kristin na łóżku.

Oboje nie wyrzekli słowa. Pocałował ją lekko w czoło i wyszedł.

CZEŚĆ CZWARTA

Wyjęty spod prawa



Czerwiec, 1864

Nie powinien był jechać do Kansas.

Cole doskonale zdawał sobie z tego sprawę, że nie powinien był jechać do Kansas. Co innego misja zwiadowcza w Kentucky. Równie łatwo mógł prześliznąć się do Wirginii, a nawet do Maryland czy Ohio. Na wschodzie szpiegów raczej nie wieszano, nie rozstrzelowano na miejscu; Cole w każdym razie o takim przypadku nie słyszał.

Nie powinien był jechać do Kansas.

Ale sprawy wojny układały się źle. Bardzo źle. Najpierw generał Lee stracił Stonewalla Jacksona. Później postrzelono Jeba Stuarta. Rannego przewieziono do Richmond, gdzie zmarł. Trudno było zliczyć liczbę zabitych - wśród nich wielu było wspaniałych ludzi, wielu całkiem przeciętnych, ale niebywale odważnych i obdarzonych niezłomnym duchem walki. Wszyscy oni mężnie patrzyli śmierci w oczy.

Cole najbardziej żałował Jeba. Doskonale pamiętał czasy, kiedy razem studiowali w West Point, pamiętał radość, jaką ich ogarnęła, gdy wysłano ich razem na zachód. Jedyłą pociechą było to, że na kilka tygodni przed śmiercią Stuarta zmarła mu mała córeczka. Powiadano, że przed samym zgonem Jeb nieustannie powtarzał, że już niebawem ją spotka. Pochowano go na cmentarzu Hollywood. Podczas pogrzebu Cole prze-

bywał u Kristin, ale po powrocie do Richmond odwiedził grób przyjaciela i ciągle nie mógł uwierzyć, że James Ewell Brown Stuart, człowiek najdzielniejszy z dzielnych, odszedł z tego świata. Odwiedził Florę, żonę Jeba. Śmiali się, wspominając minione lata spędzone w Kansas, ale w pewnej chwili Flora wybuchnęła płaczem, toteż Cole doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak już sobie pójdzie.

Flora straciła męża, generała konfederatów. Jej ojciec, generał w Unii, ciągle jeszcze walczył.

Wojna nigdy nie bywa uczciwa.

Tym razem Cole wybrał się do Indian z plemion Czerokeeów i Choctaws, którzy walczyli po stronie Konfederacji. Wojska Unii zbliżały się powoli do Richmond i na generała Lee wywierano silne naciski, żeby jakoś zabezpieczył stolicę. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się zaatakowanie przeciwnika, kiedy jego oddziały forsować będą Shenandoah Valley.

Po wyjeździe z Wirginii Cole udał się do Tennessee, a stamtąd do macierzystej jednostki brata. Wokół Konfederacji zaciskała się coraz mocniejsza pętla. John Hunt Morgan uciekł z niewoli i rozpaczliwie potrzebował informacji o wojskach Unii wysłanych z Kansas City do Kentucky i Tennessee. Cole podjął się tego zadania tylko z jednego względu - żeby znaleźć się w pobliżu Kristin. Musiał się z nią spotkać. Rozstali się tak chłodno, a rozłąka trwała już stanowczo zbyt długo. Otrzymał od niej kilka listów - krótkich i zwięzłych. Pisała, że u niej wszystko w porządku, że Unia sprawuje całkowitą kontrolę nad tą częścią Missouri, w której znajduje się ranczo, i dlatego Cole nie powinien pokazywać się w tamtych okolicach, i żeby w ogóle na siebie uważał.

Jamie i Malachi otrzymywali listy w dużo cieplej-

szym tonie. Ale i w nich dziewczyna niewiele mówiła o sobie i we wszystkich powtarzały się te same wiadomości. Przytaczała różne zabawne anegdoty i historyjki, zapewniała, że codziennie się za nich modli. Donosiła też, że zaraz po zakończeniu wojny, a może nawet jeszcze przed, szykuje się wesele. Shannon regularnie korespondowała z kapitanem Ellsworthem, niebywale uroczym dżentelmenem. Był wprawdzie Jankesem, ale Kristin uważała, że po wojnie tego typu różnice przestaną być istotne. W przeciwnym razie, podkreślała, nie widzi żadnej przyszłości.

Cole Slater siedział w saloonie przy ustawionym w kącie stoliku, wyciągnął nogi, kapelusz zsunął głęboko na oczy, pociągał whisky i przysłuchiwał się rozmowom toczonym przy barze. Szybko dowiedział się, że porucznik Billingsley poprowadził z Kansas do Tupelo około ośmiuset żołnierzy, a za tydzień z takimi samymi siłami wyruszy do Kentucky. Saloon wypełniony był żołnierzami Unii - z wyglądu całkiem zielonymi rekrutami; wielu z nich miało jeszcze mleko pod nosem - ale kręciło się tam również kilku weteranów. Na Cole'a nie zwracano uwagi. Ubrany był w dżinsy i bawełnianą koszulę, w typową dla hodowców bydła kamizelkę z cielejącej skóry, a przy butach miał srebrne ostrogi. Nie wyglądał na kogoś, kogo interesuje wojna i kto opowiada się po którejkolwiek ze stron. Ktoś zapytał go wprawdzie, dlaczego nie nosi munduru. Odpowiedział, że został ranny w bitwie pod Shiloh, zwolniony z wojska i teraz powoli zmierza w stronę domu. Później ktoś podesłał mu butelkę whisky, więc Cole usiadł cichutko w kącie, sączył trunek i przysłuchiwał się rozmowom. Kiedy dowiedział się wszystkiego, co chciał usłyszeć, zdecydował, że czas ruszyć w drogę. Zamierzał jeszcze spotkać się z żoną.

Jego żona.

Potrafił nawet wymówić te słowa głośno i tylko od czasu do czasu sprawiały one, że na jego twarzy pojawiał się wyraz goryczy. Jego żona...

Jego żonę zamordowano, a on poślubił kolejną dziewczynę o ognistym temperamencie, blondynkę, i teraz ona była jego kobietą. Jego żoną.

Zmroziła go myśl, że Kristin wie, że wie wszystko o nim, zna jego przeszłość. Przeklęty Emery! Nie miał prawa wywlekać na jaw jego historii. Teraz już nigdy nie pozna...

Nie poznam czego? - zapytał sam siebie.

Nie pozna uczuć Kristin, nie pozna, co naprawdę do niego czuje. Na ślub wybrał najgorszy moment. Na palcach jednej ręki mógł policzyć, ile razy widział się z Kristin. Niecierpliwiła go, denerwowała, ale zawsze podziwiał jej odwagę i od samego początku zdecydowany był bronić dziewczyny. Później zrozumiał, że jej potrzebuje.

Jak powietrza. Jak wody. Jak światła. Potrzebował jej. Kiedy przebywał z dala od niej, ciągle nawiedzały go koszmary senne, choć z drugiej strony, w miarę upływu czasu przychodziły one coraz rzadziej. Coraz częściej natomiast to Kristin nawiedzała go w snach: jej delikatna twarz, śliczny, łagodny uśmiech, jej ogromne, pełne życia i światła oczy.

Nie przeczył, że mu na niej zależy.

Nie chciał tylko przyznać się, jak bardzo.

Nie chciał żony, która by mu współczuła. Nie chciał żony, która robi wszystko, żeby nie urazić żołnierza, tak strasznie skrzywdzonego przez wojnę. Na samą myśl o tym, aż dławił się ze złości. Przysięgał sobie, że gdy skończy się wojna, zostawi Kristin własnemu losowi. Ale w chwilę później modlił się żarliwie, żeby sprawi-

wy między nimi ułożyły się pomyślnie; z całego serca pragnął powrócić na ten niewielki skrawek ziemi na granicy Missouri, gdzie wystarczy wyciągnięcie ręki, żeby dotknąć twarzy Kristin, jej dłoni...

A jeśli nawet tak zrobię, myślał ponuro, co to da? Nigdy nie odzyskam spokoju. Chyba że jeden z nas padnie martwy. Ja albo Fitz.

Jeśli nawet to nie Fitz osobiście oddał strzał, który uśmiercił żonę Cole'a, to wydał rozkaz napadu na dom. Słaterów i to on poprowadził atak. W ciągu kilku miesięcy służby u Quantrilla kilkakrotnie stanął oko w oko z ludźmi, którzy brali udział w napadzie.

Ale Henry'ego Fitz'a nie spotkał nigdy.

Nagle coś przerwało tok jego myśli. Nie wiedział skąd, ale czuł, że grozi mu niebezpieczeństwo. Może to łomot nowych, lśniących wojskowych butów po deskach podłogi, a może coś w powietrzu? A może po tylu latach rozpoznawał już zapach niebezpieczeństwa?

Nie powinien był jechać do Kansas.

Nie dlatego, że był nieuzbrojony. Był uzbrojony po zęby. A te nieszczęsne żółtodzioby z saloonu miały strzelby ładowane jeszcze przez lufę. Ukatrupiłby cc najmniej tuzin przeciwników, zanim któryś z nich zdążyłby nabić karabin.

Wcale nie chciał ich zabijać. Nie lubił takich rzeczy. Do licha, to dlatego właśnie Quantrill mógł przez całe lata krążyć wokół oddziałów Unii. Ludzie Quantrilla byli tak dobrze uzbrojeni, że wybijali całą kompanię wrogów, zanim ci odpowiedzieli ogniem.

Cole zamierzał dyskretnie opuścić saloon i modlił się w duchu, żeby nowo przybyły nie okazał się jakimś dawnym znajomym. Kiedy ujrzał jego twarz pod rondem kapelusza, serce w nim zamarło.

Mężczyzna był w jego wieku i nosił mundur z dystyn-

kcjami porucznika. Miał ciemne włosy i długą czarną brodę, ale pełna zmarszczek twarz sprawiała, że nie wyglądał na swoje trzydzieści dwa lata, ale na dużo więcej.

Wszystkich nas ta wojna postarzyła, nasza Cole'a smężna refleksja.

Oficer Unii nazywał się Kurt Taylor i przed laty działał wraz z Cole'em i Stuartem na terytorium Indian. Kolejny elew West Point. Ileż to razy walczył z Cole'em ramię w ramię przeciwko Siuksom.

Ale teraz stali po przeciwnych stronach barykady.

Kiedy Cole wstał, Taylor natychmiast go dostrzegł. Długą chwilę spoglądali na siebie.

Cole zawahał się. Nie miał zamiaru strzelać; chyba że w ostateczności. Nigdy nie strzelał do dzieciaków, a w tym przypadku wyszłoby na jedno. Popatrzył na tłoczących się przy barze chłopców. Do licha, kiedy w Kansas zaczęły się wałki, większość z nich nie chodziła jeszcze do szkoły.

Zrób coś, Taylor, pomyślał Cole. Powiedz coś. Ale mężczyzna nie ruszał się. Obaj stali bez ruchu, patrzyli na siebie i wydawało się, że cały świat zamarł.

I wtedy, w jakiś cudowny sposób, Taylor uchylił kapelusza.

- Czołem! - powiedział i obojętnie ruszył do baru.

Taylor rozpoznał go, tego Cole był pewien. Widział ten charakterystyczny błysk w jego oczach. Ale Taylor najwyraźniej nie zamierzał go zdradzić.

Żołnierze służbiście zaszalutowali porucznikowi, a on odpowiedział im niedbałym pozdrowieniem. Wrócono do przerwanych rozmów, ale wśród tłoczących się przy barze rekrutów dało się już odczuć pewne napięcie. Ostatecznie przebywali w towarzystwie zawodowego oficera.

Kurt Taylor kompletnie ignorował ich obecność, podobnie jak zignorował obecność Cole'a. Zamówił brandy, wychylił ją jednym haustem i zamówił kolejni. Później odwrócił się twarzą do sali, oparł łokcie o szynkwasy i rozejrzał się.

- Wiecie co, chłopcy? - odezwał się. - Sama wojna samo życie żołnierza nigdy mi nie przeszkadzało. Zawód wojskowego wydaje mi się bardzo szlachetnym sposobem na życie. Musieliśmy bronić amerykańskich osadników przed Indianami. Musieliśmy mieć oko na Meksyk, a potem nieoczekiwanie nasi ludzie ruszyli do Teksasu. Później nasz wielki naród podzielił się i oto mamy wojnę z kuzynami z Południa. Ale to w porządku; wszyscy wiemy, że mężczyzna musi robić to, co musi...

Urwał i wychylił szklaneczkę brandy. Ani razu nie spojrzął na Cole'a, ale ten dobrze wiedział, że przemowa Taylora skierowana jest bezpośrednio do niego.

- Grasanci! - Taylor splunął na podłogę. - I ci przekłęci maruderzy. Uwierzcie mi, jedni są wariaci drugich. i jeśli któryś z nich twierdzi, że służy w moich barwach... no cóż, kłamie. To właśnie nasi maruderzy sprawili, że połowa Kansas i całe Missouri obróciło się przeciwko nam. Ludzie, którzy wcale nie mieli niewolników i których ta wojna niewiele obchodziła, przeszli na stronę Konfederacji, ponieważ robiliśmy im tak straszne rzeczy. Chłopcy Quantrilla ruszyli do akcji dopiero po wyprawach Lane'a i Jennisona.

- Czy mógłbym coś wtrącić...?-zapytał jeden z rekrutów.

- Nie, nie możesz! - warknął Kurt Taylor. - Morderstwo jest morderstwem. Słyszałem, że jeden z największych morderców w Kansas przebywa w naszym mieście. Nazywa się Henry Fitz. Myślał, że zrobi karierę.

rę polityczną, mordując mieszkańców Missouri. Zapomniał, że w Kansas żyje wielu przyzwoitych ludzi, którzy nigdy nie wyrażą zgody na mordowanie kobiet i dzieci, bez względu na to/czy robić to będą grasanci, czy maruderzy.

Popatrzył na Cole'a i odwrócił się do niego plecami. Wiedział, że Cole nie strzeli.

Wiedział, że Cole nigdy nie strzeli człowiekowi w plecy.

Slater zadrżał, poczuł mrowienie w dłoniach. Ale wcale nie miał zamiaru wyciągać broni. Chciał tylko znaleźć Fitzę, chwycić go za gardło i powoli, powoli zadławić.

- Barman, podaj mi jeszcze jedną brandy. Chłopcy, pilnujcie się, kiedy w pobliżu jest Fitz. Zatrzymał się ze swoimi ludźmi w stajniach McKinleya na końcu Main Street. Jest z nim około tuzina maruderów. Myślę, że powinniście to miejsce omijać z daleka.

Dokończył brandy, odwrócił się, jeszcze raz popatrzył na Cole'a i wyszedł z saloonu.

W kilka minut później Cole opuścił lokal. Zastanawiał się, czy jego dawny towarzysz broni dał to przedstawienie po to, żeby wypłoszyć go z miasta czy też, żeby go w nim zatrzymać.

Stanął na chwilę na schodkach, popatrzył na słońce w zenicie i uśmiechnął się. Podszedł do barierki, do której przywiązał konia - gniadosza, którego pożyczył od Malachiego, ponieważ obawiał się, że jego mustang jest zbyt znany - i wskoczył zgrabnie na siodło.

Taylor powiedział mu, gdzie szukać Fitzę - na końcu Main Street.

Cole ruszył zrazu powoli, potem kłusem, aż w końcu zmusił konia do galopu. Minął w pędzie zakład fryzjerski, bank, redakcję gazety i sklep Eda Foleya.

Później pojawiły się schludne domki z ogródkami za białym ogrodzeniem, wreszcie znalazł się na drodze wiodącej do leżących już za miastem farm.

Najwyraźniej jechał we właściwym kierunku, gdyż niebawem ujrzał przed sobą zbliżającą się grupę żołnierzy. Czerwononodzy. Maruderzy. Mordercy. Kiedyś przewodził im Jim Lane, obecnie senator w Waszyngtonie. Po nim przyszedł Doc Jennison, on również odszedł szukać szczęścia gdzieś indziej. Ale Henry Fitz ciągle stał na czele swojej bandy, terroryzując niewinnych mężczyzn, kobiety i dzieci.

Cole ściągnął cugle i jechał stępą na spotkanie żołnierzy. W samym środku kolumny na srokatym koniu znajdował się Henry Fitz. Mrużył małe, ciemne oczy i patrzył w stronę Cole'a.

Slater uparcie jechał prosto przed siebie. Musiał to zrobić. Musiał zabić Fitz'a. A jeśli przy tym sam umrze...

Czy choć trochę obejdziesz to Kristin? - przemknęła mu przez głowę myśl. Nigdy nie wątpił w jej wdzięczność, ale co dziewczyna naprawdę poczuje, kiedy dowie się, że Cole zginął zastrzelony na drodze w Kansas? Czy uroni choć jedną łzę? Czy będzie za nim tęsknić? A może przeklnie go za to, że wybierając bezsensowną śmierć, zostawił ją samą?

Zamknął na chwilę oczy. Musi to zrobić. Jeśli chce mieć jakąkolwiek przyszłość u boku Kristin, musi to zrobić. Teraz.

Przez chwilę znów widział kłęby czarnego dymu, wróciły wszystkie tamte obrazy. Słyszał trzask płomieni, czuł ostrą woń spalenizny. I pamiętał Elizabeth: biegła - biegła do niego. Pamiętał, jak padła mu w ramiona, pamiętał, jak na niego spojrzała, uśmiechnęła się i umarła.

I pamiętał krew na rękach...

Kochałem cię! - wyło mu w duszy. - Kochałem cię; Elizabeth! Kochałem cię!

Jednocześnie wiedział, że teraz kocha Kristin. Musi pogrzebać przeszłość, ponieważ chciałby z nią zostać. Bał się pokochać po raz drugi. Nie chciał niszczyć wspomnień o Elizabeth. Ale wiedział również, że gdyby Elizabeth mogła przemówić, powiedziała mu, że powinien pokochać Kristin - głęboko i szczerze - w imię tego, co razem przeżyli.

Wstrzymał gniadosza i patrzył na zbliżających się żołnierzy. Czerwononodzy szli beztrąsco, nawet nie zaświtała im w głowach myśl, że ze strony tego samotnego jeźdźca na gniadym wierzchowcu mogą ich spotkać poważne kłopoty. Ale twarz jadącego w środku grupy Henry'ego Fitz'a coraz bardziej mroczniała. Jeszcze trzy metry i rozpozna Cole'a.

- Czołem! - zawołał Fitz, wstrzymując konia. Reszta żołnierzy również przystanąła. Dowódca miał naciągnięty głęboko na czoło kapelusz i bardzo gęstą brodę. Oczy zdawały się niknąć mu w fałdach skóry. - Niech mnie piekło! - wykrzyknął nagłe i wybuchnął śmiechem. - Przybyłeś, chłopcze, do Kansas, żeby umrzeć?

I sięgnął po rewolwer.

Cole jeszcze przed wojną był szybki. Był szybki na achodzie. Ale teraz był jeszcze szybszy.

To Fitz stał się inspiracją i przyczyną, dla której Cole nauczył się być szybszy niż dźwięk, szybszy niż światło. Slater od samego początku wiedział, że któregoś dnia, w jakimś miejscu stanie znów przed tym człowiekiem.

Rewolwery Cole'a rozpaliły się żywym ogniem. Trzymając w zębach cugle, ścisnął gniadosza kolanami i ruszył prosto na czerwononogich.

Widział, jak Fitz wali się z konia. Na koszuli rosła mu ogromna, szkarłatna plama.

Cole patrzył, jak Fitz wali się z konia.

Wszyscy inni byli mgłą. Słyszał krzyki ludzi i parskanie koni, kiedy przedzierał się przez tę mgłę. Pocisk trafił w jego siodło i gniadosz pod nim runął na ziemię. Cole poczuł, że usta zalepia mu kurz wzbity dziesiątkami końskich kopyt. Zeskoczył z upadającego wierzchowca, wyrывая jednocześnie z olstrów karabiny i zaczął strzelać.

Wydawało się, że kanonada trwa całe wieki.

Potem zapadła cisza. Rozejrzał się błyskawicznie wokół siebie. W obu rękach trzymał karabiny

Przeżyło trzech. Trzymali wysoko uniesione ręce i wytrzeszczali na niego oczy, w których malowała się zgroza i przerażenie. Nie znał twarzy tych ludzi.

Zostawił powalonego wierzchowca i błyskawicznie wskoczył na siodło potężnie wyglądającego kasztana. Nie spuszczać trójki mężczyzn z oczu, trącił konia ostrogami i zaczął się oddalać. Kasztan okazał się świetnym wierzchowcem. Gnał przed siebie i Cole wyczuwał drzemającą w zwierzęciu siłę. Pędził w stronę miasta, a w sercu grały mu wszystkie dzwony świata.

Żył.

Jednakże w pobliżu miasta ujrzał przed sobą żołnierzy. Rząd niebieskich mundurów. Stali po obu stronach drogi. Zwolnił bieg konia i jechał teraz stępa. Już nie musiał się nigdzie śpieszyć. Dotarł do swego kresu. W środku miasta postawią szubienicę, na której powieszą go jako grasanta.

Nieoczekiwanie na drogę wyjechał Kurt Taylor i ruszył w stronę Cole'a.

- Słyszeliśmy strzelaninę za miastem i pomyśleliśmy, że może przydać się tam wojsko - powiedział.

Cole wstrzymał oddech. Taylor uniósł brwi i wyszczerzył zęby. Cole popatrzył na swoje dłonie spoczywające na łęku siodła. Drżały.

Pozdrowił Taylora.

- Ktoś powinien powiadomić Cole'a Slatera, że zabójca jego żony nie żyje. Ktoś też powinien mu przekazać, że w tych stronach jest on wyjęty spod prawa. Należy mu powiedzieć, że musi zaszyć się gdzieś głęboko, głęboko na Południu. Wiem, że ten człowiek nie jest kryminalistą, ale niewielu ludzi walczyło z nim ramie w ramie jak ja. Większość sądzi, że stokrotnie zasłużył sobie na stryczek.

- Dziękuję pięknie, sir - odezwał się w końcu Cole.
- Jeśli go spotkam, przekażę pańskie słowa.

Ruszył między dwoma szpalerami żołnierzy w niebieskich mundurach. Nie patrzył na boki, nie oglądał się za siebie; nawet wtedy, gdy za plecami usłyszał głośne wiwaty. Zrozumiał, że to pozdrawiają go żołnierze, że dzięki Kurtowi zdobył kilku nowych przyjaciół.

Uświadomił sobie, że krwawi mu udo. Został postzelony, choć nie wiedział nawet kiedy. Machnął ręką na ranę i nie wstrzymał biegu konia. Chciał dotrzeć do domu. Zapadała noc, a najlepiej podróżować nocą.

Po jakimś czasie spostrzegł, że ktoś podąża jego śladem. Natychmiast zjechał z drogi, zeskoczył z konia i skierował go w gęste zarośla.

Śledził go samotny jeździec. Cole zaczął się za pniem grubego dębu, a potem czekał do chwili, kiedy jeździec znajdzie się obok niego.

Wtedy rzucił się na prześladowcę i stracił go z konia.

- Do cholery, Cole Slater! Puść mnie!

- Taylor!

Cole zerwał się z ziemi i, podając Kurtowi dłoń, pomógł mu wstać.

- A niech cię diabli! - wybuchnął śmiechem Taylor i klepnął mocno Slatera po ramieniu. - Niech cię diabli! Czy nikt ci nie powiedział, że Południe przegrało już wojnę?

- A co mnie to obchodzi - odrzekł beztrząsco Cole.
 - Nic na to nie poradzę, jestem, jaki jestem... - urwał i roześmiał się. Kurt naprawdę był jego przyjacielem.
 - Dzięki. Wielkie dzięki za to, coś dla mnie zrobił. Prawda znaczy dla ciebie więcej niż kolor munduru. Nie zapomnę ci tego, Kurt. Nigdy.

- Nigdy nie zrobiłbym czegoś, co Bóg uznałby za niewłaściwe - odrzekł Kurt. - Dostałeś go. Dostałeś tego parszywego drania. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że teraz najpierw cię zabiją, a dopiero później zaczną zadawać pytania.

- Wiem. Pewnie, że wiem.

- Mam nadzieję, że jak najszybciej ruszysz na południe?

- Najpierw na wschód, a później na południe.

- Nie kręć się zbyt długo przy granicy - ostrzegł Taylor. - Nawet po to, żeby zobaczyć swojego chłopaka. Major Emery kazał mi cię ostrzec, jeśli cię spotkam...

- Co? - Cole z całych sił zacisnął dłonie na ramionach Taylora.

- Nie dajesz mi skończyć. Major Emery powiedział...

- Do diabła z majorem Emerym! Jaki chłopak?

Taylor uniósł głowę i zmarszczył brwi.

- Jak to? Twój chłopak. Urodził się w lutym. Fajny dzieciak. Kapitan Ellsworth bywa u nich od czasu do czasu i za każdym razem składa majorowi Emery'emu dokładną relację. Matka i dziecko czują się świetnie. Nie pamiętam, jak go nazwali, ale Ellsworth twierdzi,

że malec jest wielki, zdrowy, a włosy ma takie, że niejedna panna by mu pozazdrościła... Cole, puść moje ramię. O mało mi kości nie złamałeś. Cholera jasna, widzę, że o niczym nie wiesz! Więc teraz mnie posłuchaj. Po tym, co się dzisiaj wydarzyło, nie uciekaj na oślep. Jedź wolno, spokojnie i uważnie, słuchasz mnie, Slater? Większość chłopców z Unii, gdyby dowiedzieli się, że puściłem cię wolno, zastrzeliłaby mnie na miejscu... Cole?

- Będę uważał - odparł zamyślony Slater.

Tak, będzie uważał. Będzie uważał jak jasna cholera. Tylko po to, żeby dożyć chwili, w której znów dotknie skóry Kristin.

Na rany Boga żywego, dlaczego nic mi nie powiedziała? - dziwił się Cole.

Czwartego lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku było parno i upalnie. Panującej w powietrzu ciszy nie maćił najłżejszy podmuch wiatru.

Dla Kristin był to bardzo ciężki dzień. Dawno już nauczyła się nie myśleć o rzeczach przykrych, nie myśleć za dużo i potrafiła bez reszty koncentrować się na pracy. Wszystko było lepsze niż trapiące ją ponure myśli. Gdyby cały czas rozpamiętywała nieszczęścia, jakie na nią ostatnio spadły, zwariowałaby.

Ale czwarty lipca był dniem szczególnie ciężkim.

Wszyscy świętowali. Żołnierze strzelali na wiwat z karabinów, farmerzy puszczali sztuczne ognie. Każdy wystrzał przypominał dziewczynie, że jej brat mógł stanąć na polu bitwy twarzą w twarz z jej mężem, że ciągle trwa ta wojna, a naród, który tak hucznie świętuje swoje narodziny, ciągle jest podzielony.

Unoszący się w powietrzu dym i nieustanny huk sprawiał, że dziecko było bardzo niespokojne. Zeszła

z nim do salonu, gdzie trzyletni już synek Delilah, Daniel, zaczął zabawiać dziecko, strojąc głupie miny. Ale wtedy Cole Gabriel Slater doszedł do wniosku, że cc za dużo to nie zdrowo, wsadził piąstkę w usta i zaczął się drzeć.

- Och, i tak jest już od świtu! - oświadczyła Kristin pod adresem wszystkich zebranych w pokoju.

Wzięła dziecko na ręce i wróciła na górę. Zajęta szyciem Delilah chwilę za nią spoglądała. Siedząca za szpinetem Shannon przerwała grę, a Samson wzniosł oczy do nieba.

- Co za upały! Boże, co za upały! - mruknął i wstał.
- Niebawem wrócą pracownicy. Zaniosę im gulasz.

Na piętrze Kristin położyła na łóżku niespokojne dziecko, rozpięła bluzkę i dała mu pierś. Gabe roześmiał się i zaczął ssać z zadziwiającą siłą. Jak zwykle w takich chwilach, Kristin ogarnęło błogie szczęście i przytuliła mocniej synka. Popatrzyła w jego źrenice. W ciągu ostatniego miesiąca stały się srebrzystoszare, dokładnie takie same jak u Cole'a. Czuprynę dziecko odziedziczyło po matce - strzecha jasnoblon, prawie białych włosów. Chłopiec był ślicznym dzieckiem, zdumiewająco ślicznym.

Urodził się dziesiątego lutego.

Dotknęła pucułowatego policzka dziecka i uśmiechnęła się na wspomnienie tamtego dnia. Padał śnieg, było bardzo mroźno, a ona właśnie ściagała siano dla koni, kiedy przyszły pierwsze bóle. Wpadła w panikę. Nie udało się sprowadzić z miasta doktora Cavanaugha, a ona sama nie mogła do niego pojechać. Delilah oświadczyła, że do rozwiązania zostało jeszcze sporo godzin.

Sporo godzin.

Były to okropne, wypełnione bólem godziny i Kristin doszła wówczas do wniosku, że to niesprawiedli-

we: mężczyzna jedzie sobie na wojnę postrzelać, a rodzenie dzieci zostawia kobiecie. Kristin ciskała gromy na głowę Cole'a i majaczyła, w ostrych słowach przekonywała Shannon i Delilah, że gardzi Cole'em Slate'em - i każdą istotą ludzką, która nosi spodnie - tłumaczyła, że jeśli przeżyje, po raz drugi nie da się nabrać na podobną imprezę.

Delilah uśmiechała się i zapewniała dziewczynę/ że czekając długie, długie lata życia i że zapewne urodzi jeszcze z pół tuzina dzieci. Shannon chodziła rozmarzona i twierdziła, że ona, jeśli będzie rodzic dziecko, nie wyda jęku; musiało to być naturalnie dziecko kapitana Ellswortha...

Za oknem białął już świt, kiedy Delilah oznajmiła, że pojawiła się główka i najwyższa pora, żeby Kristin zaczęła przeć.

Kiedy później czerwony i wrzeszczący bobas spoczywał w jej ramionach, Kristin poczuła przypływ takiej czułości i miłości, jakiej nigdy w życiu nie doświadczyła.

Zanosila w duchu modły, żeby ojciec jej syna przeżył wojnę i wrócił do nich. Przysięgała sobie najsoleniej nie zadawać już żadnych pytań, na które Cole nie chce lub nie może odpowiedzieć.

Leżąc z dzieckiem i karmiąc je piersią, tak jak robiła to w tej chwili, doznawała największej rozkoszy. Kristin zapominała o bożym świecie, zapominała o wojnie, a nawet o tym, że ojciec dziecka zapewne nic o nim jeszcze nie wie. Uwielbiała małe ślepek Gabe'a i sposób, w jaki ssał jej pierś. Nieustannie liczyła mu palce u rąk i nóg, cieszyła się, że niezwykle szybko przybiera na wadze i że jest taki duży.

Delilah od początku przestrzegala Kristin, żeby nie karmiła Gabe'a tylko jedną piersią, bo mogą z tego wynikać poważne komplikacje zdrowotne. Tak więc te-

raz dziewczyna delikatnie odjęła dziecko od piersi śmiejąc się z jego pełnego złości krzyku.

- Boże drogi, jesteś bardziej wymagający od swego taty! - odezwała się do dziecka, klepiąc je delikatnie po plecach.

I wtedy nagle uświadomiła sobie, że nie jest w pokoju sama. Dziecko tak pochłonęło jej uwagę, że nie usłyszała, iż ktoś otworzył drzwi i wszedł do sypialni

Poczuła, że po plecach przechodzi ją zimny dreszcz i przez chwilę nie mogła oddychać. Ostrożnie popatrzyła w stronę drzwi.

Był w pełnym mundurze, u pasa wisiała mu groźna kawaleryjska szabla. Był dużo chudszy, niż pamiętała twarz miał koloru popiołu, a oczy... jego oczy przenikały ją na wylot, paliły.

- Cole - szepnęła.

Zastanawiała się, jak długo tak stoi przy drzwiach i nagle zaczerwieniła się. Mimo że był ojcem jej dziecka, poczuła się niezręcznie, była skrepowana, zupełnie jakby stanęła przed Cole'em nago.

Mężczyzna w końcu oderwał się od drzwi i podszedł do łóżka. Kristin odruchowo cofnęła się. Slater wyciągnął ręce w stronę dziecka, lecz Kristin kurczowo przytuliła je do siebie.

- Na Boga, Kristin, daj mi go - powiedział niskim, schrypniętym głosem.

- Cole...

Musiała podać mu małego. Nerwowo naciągnęła na piersi rozpiętą bluzkę, ale on nawet na nią nie spojrział. Całą uwagę skupił na dziecku. Chciała wykrzyknąć imię Cole'a, podbiec do niego. Tak długo się nie widzieli, a i tamte odległe w czasie chwile wydawały się tylko snem. Lecz nie mogła do niego podbiec, nie mogła zarzucić mu rąk na szyję. Był zimny i odpychający.

Był zupełnie obcym człowiekiem!

Kompletnie ją ignorując, położył kwilące dziecko na plecach w nogach łóżka i uwolnił z pieluszek, żeby dokładnie obejrzeć syna. Kristin chciała mu powiedzieć, że Gabe jest w porządku, ale ugryzła się w język. Wiedziała, że Cole pragnie sprawdzić to osobiście. I nagle ogarnął ją strach. A może powinnam była do niego napisać? - myślała. Ale co by to dało? Cole nie powinien tutaj przyjeżdżać. W okolicy kręciło się zbyt wielu żołnierzy Unii. Ale czy to był rzeczywisty i jedyny powód jej niepokoju? Początkowo sądziła, że nie wysłała listu tylko dlatego, że była na Slatera zła, ponieważ zdawała sobie sprawę, że jej nie kocha. Ale tak naprawdę, to nie napisała dlatego, że bała się, iż przyjedzie do domu bez względu na wszystko.

Gabe uspokoił się i obserwował ojca z taką samą uwagą jak on jego.

W końcu najwidoczniej doszedł do wniosku, że ma już dosyć jego widoku. Chciał do matki. Wykrzywił twarz, uniósł małe, tłuściutkie nóżki i kopiąc nimi powietrze zaniósł się głośnym płaczem. Cole zawinął dziecko i wziął je na ręce. Kristin wyciągnęła w jego stronę ramiona.

- Cole, proszę, oddaj mi go. Jest głodny.

Mężczyzna popatrzył na nią twardo, zawahał się, po czym oddał jej zawiniątko. Kristin pochyliła głowę i zapragnęła, żeby jej mąż już sobie poszedł. Natychmiast uświadomiła sobie, że dopiero co przyjechał i jeśli znów odjedzie, tym razem może naprawdę zginąć. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, dotknęła palcem buzi dziecka, po czym wyjęła pierś i włożyła sutkę do małych ust. Nie patrzyła w górę, ale dobrze wiedziała, że Cole nie spuszcza z niej wzroku.

W pokoju panowała cisza małżonka jedynie sapaniem

dziecka. Potem i ten dźwięk ucichł: mały zasnął. Odjęła dziecko od piersi, zacisnęła usta, wstała i włożyła Gab'e'a do kołyski, którą Samson przyniósł ze strychu. Cały czas czuła na sobie wzrok Cole'a. Stanął w milczeniu obok kolebki i patrzył na dziecko. Najwyraźniej zamierzał je jeszcze raz wziąć na ręce. Zacisnęła zęby, ale nic nie powiedziała i w milczeniu obserwowała, jak Cole czule dotyka palcem policzka małego. Zamierzała właśnie zapiąć bluzkę, kiedy uświadomiła sobie, że dzieciak ją zmoczył. Zaczerwieniła się i szybko zmieniła ubranie. Cole jakby jej nie zauważał. Zastanawiała się chwilę, czy nie powinna na palcach opuścić pokoju i zostawić go sam na sam z synkiem.

Kiedy ruszyła w stronę drzwi, usłyszała głos Cole'a.

- Dokąd idziesz?

Mówił spokojnym głosem, ale tonem pełnym gniewu i urazy.

- Pomyślałam sobie, że jesteś głodny.

Zrazu nic nie odpowiedział. Następnie podszedł do niej szybko. Chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią tak mocno, że dziewczyna krzyknęła.

- Niech cię diabli, Kristin! Niech cię wezmą wszyscy diabli! Wiedziałaś. Wiedziałaś... ale nie zająknęłaś się słowem. Jakim prawem kryłaś to przede mną?

Chciała uwolnić się z jego uchwytu, ale nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. Popatrzyła więc w oczy i ujrzała w nich nienawiść.

- A jakie ty masz prawo mnie o to pytać? - powiedziała zdławionym głosem. - Przyjeżdżasz, kiedy chcesz... Czujesz się zobowiązany; ale to wszystko! Ja...

- Przyjeżdżam, kiedy mogę - warknął, potrząsając nią jeszcze mocniej. Kristin odchyliła głowę i spojrzała na niego oczami, w których lśniły łzy. - Kristin, przecież wojna jeszcze trwa. Dobrze o tym wiesz. Wszy-

stkie kobiety wiedzą o tym aż nadto dobrze. Zrobiłem wszystko, co w ludzkiej mocy, dałem ci wszystko...

- Nieprawda, nie dałeś mi wszystkiego! Nigdy nie dałeś mi choć cząstki siebie i...

- Mogłem zginąć. I to dziesiątki razy. Mogłem zginąć na polu jakiejś parszywej bitwy, nie wiedząc, że mam syna!

- Puść mnie!

- Nie!

- Proszę.

Bliskość Cole'a upajała Kristin. Był taki gorący, czuła emanującą z niego męskość, uścisk jego rąk sprawiał jej przyjemność. Pragnęła dotknąć jego twarzy, rozproszyc malujący się na niej smutek, wypełnić sobą pustkę drażącą jego serce. Pragnęła, żeby jego oczy ponownie rozbłysły namiętnością. Kiedy pomyślała o chwilach, które wspólnie przeżyli, poczuła, że tężeją jej sutki. Chciała, żeby jej dotykał, chciała, żeby trzymał ją w objęciach. Chciała, żeby ją kochał.

- Proszę - powtórzyła cicho.

Była szczęśliwa, że go widzi. Pomyślała sobie, że czas, który wspólnie spędzają, należy oddzielić od wojny i zawieruchy, jaka szalała na świecie.

- Cole, chciałam ci wszystko powiedzieć; ale ty zrobiłeś awanturę o to, że major Emery popełnił grzech i powiedział mi, jak bardzo zostałeś skrzywdzony. Pan Cole Slater został skrzywdzony, jego serce krwawi i nie może już tego dłużej znieść! Cóż, jesteś człowiekiem, Cole, a każdy człowiek krwawi. Ja też cierpię, gdyż wiem, jak okropną krzywdę ci wyrządzono.

- Kristin, przestań...

- Nie przestanę. Ile masz czasu? Tydzień, dzień? A może tylko godzinę? Jestem pewna, że nie więcej. Zbyt wielu kręci się tutaj żołnierzy Unii. Więc nic nie

mów i posłuchaj mnie. Jestem ci wdzięczna, Cole, wdzięczna na wieki. Wierz mi, naprawdę cieszę się, że zawarliśmy tamten układ. Spełniłeś każdą obietnicę, jaką mi dałeś. Ale teraz nie waż się na mnie krzyżeć. Nie napisałam dlatego, że nie chciałam, żebyś zginął, ponieważ bałam się twojego temperamentu.

- Mojego temperamentu?

- Tak. Podjąłbyś jakieś nie przemyślane, ryzykowne działania, żeby tutaj przyjechać. Bałbyś się, że powtórzy się tamto i...

Urwała; to major Emery powiedział jej, że żona Cole'a, była w ciąży kiedy ją zabito.

- Och, Cole, wybacz, wiem, że wołałbyś, żeby to raczej ona...żebym ja...

- O czym ty, do licha, mówisz? - zapytał szorstko.

Zrozpaczona Kristin potrząsnęła głową.

- Mówię o twojej żonie, o twojej pierwszej żonie... Spodziewaliście się dziecka. Wybacz, ale ciągle o niej myślisz, wołałbyś...

- Żeby żyła? Żebyś to ty raczej umarła? Boże drogi, Kristin, nie mów takich rzeczy, skąd ci w ogóle przyszedł do głowy taki pomysł? - Ponownie chwycił ją za ramiona. Szorstko złapał ją za włosy i niespodziewanie zanurzył w nich twarz. - Nie mów takich rzeczy! - powtórzył, uniósł głowę i ze znużonym uśmiechem popatrzył jej w oczy. W jednej chwili pojęła, jak straszne piętno wywarły na nim przejścia ostatnich lat, i poczuła bolesny kurcz serca.

- To śliczny chłopiec. Najpiękniejsze dziecko, jakie widziałem w życiu. I jest moje. Dziękuję ci, Kristin. Bardzo dziękuję.

- Och, Cole! - szepnęła.

Czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem. Dostrzegł to i nieoczekiwanie zmienił ton.

- Ciagle mam ochotę wygarbować ci skórę za to, że nic mi nie powiedziałaś.

- Cole, to naprawdę nie tak. Bałam się. Zawsze się boję; taką już mam naturę.

- Wiem, wiem - odparł, ponownie biorąc ją w ramiona.

- Ty chyba umierasz z głodu. Poczekaj chwilę, zejde na dół i poproszę Delilah...

- Później.

- Cole, potrzebujesz...

Zrobił krok do tyłu.

- Potrzebuję żony - powiedział. - Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebuję żony.

Pochylił głowę i pocałował Kristin, a następnie wziął ją na ręce, zaniósł na łóżko i sam położył się obok.

- Mamy syna, Kristin - powiedział, a ona roześmiała się. - Mamy syna. Jest taki piękny i... i ty też jesteś piękna.

Dużo, bardzo dużo czasu upłynęło, zanim pomyśleli o jedzeniu.



Następne dni należały do najpiękniejszych w życiu Kristin. I to nie tylko dlatego, że między nią a Cole'em wszystko ułożyło się; nastał czas, kiedy osiągnęli wreszcie prywatny spokój; i to właśnie było cudowne.

Nie oddalali się zanadto od domu. Cole wyjaśnił Kristin, ile trudu kosztowało go unikanie spotkań z patrolami. Ale dziewczyna dobrze знаła swoje ziemie i wiedziała, dokąd mogą bezpiecznie chodzić. Dużo czasu spędzali nad rozlewiskiem rzeki, dokąd zabierali ze sobą dziecko. Kiedy zasypiało, kąpali się w rozkosznie chłodnej wodzie/Początkowo Kristin szokowało to, że w pełnym świetle dnia zdejmowali z siebie ubrania i kochali się w wodzie, jednak bardzo szybko to polubiła.

Wieczorami siadywali przed domem i skapani w blasku księżyca wystawiali twarze na łagodny, chłodny wiatr. Kristin leniwie przysłuchiwała się pogwarkom na tematy gospodarstwa, jakie Cole i Samson prowadzili ze sobą. Zauważyła, że prawie każda ich rozmowa zaczynała się od słów: „Kiedy skończy się wojna...”.

Pewnej nocy, leżąc w ramionach męża, Kristin spytała go, czy naprawdę wierzy w to, że wojna się kiedyś skończy. Długo milczał i gładził jej włosy.

- Już się kończy - odezwał się w końcu. - Przegrywaliśmy stopniowo tę wojnę tak, jak piękne zwierzę przegrywa walkę z nękającymi je pchłami. Byliśmy za

słabi. Zabrakło nam przemysłu. Mieliśmy mało ludzi. Teraz wszystko się kończy. Byłbym zdumiony, gdyby Konfederacja przetrwała jeszcze rok. Naturalnie, na odwadze i zdolnościach taktycznych nam nie zbywa. Ale ten Lincoln to uparty jegomość. Nieustępliwy. Trzyma Unię twardą garścią.

Dziwne, lecz w jego głosie, choć dawało się wyczuć znużenie, nie było cienia goryczy. Kristin położyła mu dłoń na torsie.

- Czy nie mógłbyś już zostać? Skoro twierdzisz, że przegraliście...

- Kristin, sama najlepiej wiesz, że nie mogę.

- Wcale nie jestem tego taka pewna. Dla Konfederacji zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy! Nie możesz...

- Kristin! Kristin! - Chwycił ją za dłoń. - Do chwili zakończenia wojny jestem tutaj banitą. Jeśli zostanę, zagrożać mi będzie śmiertelne niebezpieczeństwo. Na wieść o mnie pierwszy lepszy dowódca oddziału, żądny zaszczytów i sławy, przygalopuje tu ze swymi żołnierzami, żeby powiesić Cole'a Slatera. Jeśli już mam umierać, to wolę, żeby stało się to w walce. Nie chcę dyndać na sznurze.

- Cole, przestań.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Widzisz, Kristin, wszedłem w grę i pozostanę w niej do końca. Jeśli nie wrócę, zjawi się Malachi i zastrzeli mnie jako zdrajcę.

- Malachi nigdy by czegoś podobnego nie zrobił!

- No to ktoś inny.

- Cole...

- Kristin, muszę tam wracać.

- Cole...

Odwrócił się w jej stronę, objął, pocałował, a potem popatrzył jej w oczy

- Kiedy wyjadę, będę nieustannie myślał o moim synu. Kristin, jeszcze raz dziękuję ci za Gabe'a. Dziękuję-

Pocałował ją w czoło, w szyję, a następnie między piersiami. Próbowwała jeszcze coś mówić, argumentować, ale on wędrował wargami coraz niżej wzdłuż jej ciała, aż straciła ze wzruszenia dech i słowa zamarły jej na ustach. Później już nie pamiętała, co chciała powiedzieć; chciała jedynie, żeby jak najdłużej trzymał ją w objęciach.

Następnego dnia pojawił się nieoczekiwanie Matthew i Kristin ogarnęła nieopisana radość. Natychmiast oświadczył siostrze, że jeśli ktoś zobaczy go w towarzystwie Cole'a, obaj zostaną rozstrzelani. Niemniej przez kilka godzin panowało niezmacone szczęście. Matthew podziwiał siostrzeńca, Shannon nie odstępowała brata na krok, a Delilah przygotowała prawdziwą ucztę. Później Cole i Matthew zamknęli się w bibliotece, ale Kristin nie wytrzymała w końcu i wdarła się do nich siłą.

- Wiem, że rozmawiacie o mnie - oświadczyła - i mam prawo wiedzieć, co się tu dzieje.

- Cole musi wyjechać - powiedział Matthew. - I to natychmiast. Jeszcze dzisiejszej nocy.

- Dlaczego?

Matthew popatrzył nieszczęśliwym wzrokiem na Cole'a. Ten tylko wzruszył ramionami.

- Twój brat oddał ranczo po opiekę żołnierzy federalnych.

- Ależ...

- Nie mogę tu zostać, Kristin. A banda Quantrilla się rozpadła.

- Co?

- Wiosną - wyjaśnił Matthew. - W Teksasie jego

ludzie pokłócili się. Część z nich przeszła pod dowództwo Billa Andersona, część przystała do George'a Todda. Inni zostali z Quantrillem. Bill w ciągu lata kilkakrotnie atakował wojska federalne, a Archie Clements skalpował swoje ofiary. Sytuacja jest przerażająca, zwłaszcza że nikt nie wie, gdzie podział się Zeke Mooreau i kto z nim jest. Tak więc, Kristin, sama widzisz, że Cole musi się stąd wyjechać, a ty musisz mieć dobrą ochronę.

Dziewczyna zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem. Odwróciła się do męża i brata plecami.

- Cole, połatałam ci płaszcz - odezwała się martwym głosem. - A Delilah wyprała wam wszystkie ubrania. Sprawdzę, czy jesteś spakowany, i poproszę Shannon, żeby przygotowała ci na drogę coś do jedzenia.

Jak pijana wyszła z biblioteki i stanęła w korytarzu. Tam odnalazł ją Cole, wziął w ramiona i zaprowadził na piętro do ich pokoju. Kiedy się kochali, cały czas płakała, zraszając łzami ramiona i policzki mężczyzny.

Później pocałował ją i przytulił dziecko. Uparła się, że zejdzie na dół, żeby go pożegnać, Kiedy siedział już w siodle, pochylił się i ostatni raz ją uściśnął. Tuląc do piersi Gabe'a, Kristin długo mu machała.

Tego samego wieczoru w zabudowaniach gospodarczych rancza zamieszkali żołnierze. Kristin wiedziała, że to konieczne, ale było jej bardzo ciężko na duszy.

Zagrożenie ze strony grasantów stawało się coraz bardziej realne. Trzydziestego września, kiedy Kristin wyszła na werandę, ku swemu zdumieniu ujrzała nadjeżdżającego majora Emery'ego. Przeszła mu uśmiech i miała go właśnie serdecznie przywitać, ale na widok wyrazu jego twarzy pobladła. Świat wokół niej zawirował i myślała, że zemdleje.

- Boże, Cole...?

- Ależ skądże, pani Slater - zapewnił szybko, odbierając z jej rąk Gabe'a. - śliczny chłopak, proszę pani.

- Rozejrzał się niespokojnie. - Nie sędzę, żeby pani siostra musiała znać wszelkie okoliczności, ale... kapitan Ellsworth nie żyje.

- Boże drogi!

- Przeklęty Bill Anderson! Od chwili śmierci swojej siostry oszalał. - Major splunął na ziemię. - Obrócił w perzynę Centralię. Rozebrał tam do naga dwudziestu pięciu nieuzbrojonych żołnierzy, a później dwudziestu trzech z nich zastrzelił. Tych, którzy ruszyli za nim w pościg, spotkał los jeszcze gorszy. To była jatka. Co najmniej stu poległo. Rozebrani do naga, oskalpowani, z odrąbanymi nogami i rękami. Jeszcze po śmierci pastwiono się nad ich ciałami...

- Boże! Boże!

Usłyszeli straszny krzyk. Kristin odwróciła się i ujrzała, że w drzwiach stoi Shannon. Słyszała każde słowo. Wiedziała.

- Nie! Nie! - zawyła.

Major Emery szybko oddał Kristin dziecko i ruszył w stronę jej siostry. Złapał ją w ostatniej chwili, kiedy zemdlona osuwała się na ziemię.

- Mógłby pan zanieść ją do jej pokoju? - spytała szeptem wstrząśnięta Kristin.

Major Emery w milczeniu skinął głową i zaniósł dziewczynę na górę.

- Mamy tu ze sobą wojskowego chirurga. Przyślę go do pani siostry - oświadczył.

Shannon odzyskała przytomność przed przybyciem medyka i natychmiast wybuchnęła płaczem. Płakała tak bardzo, że Kristin zaczęła się o nią niepokoić. Po-

tern Shannon uspokoiła się, ale cisza była jeszcze gorsza. Starsza siostra nie odstępowała łóżka, trzymała dziewczynę za dłoń, ale wiedziała, że do Shannon nic nie dociera.

Przyszła jesień, a wraz z nią jeszcze większy dramat Południa. Generał Sherman maszerował w kierunku morza przez Georgię i obie Karoliny. Dochodziły wstrząsające wieści o stosowanej przez niego taktyce spalonej ziemi. Na zachodzie Unia sprawowała już prawie całkowitą kontrolę.

Dwudziestego pierwszego października zginął, trafiony przez snajpera w szyję, George Todd. Pięć dni później w północno-zachodnim zakątku Missouri poległ Bill Anderson.

Kristin była poruszona tym, z jaką pasją i radością Shannon przyjmowała te wiadomości.

Przyszło i minęło święto Dziękczynienia.

Sytuacja stała się bardzo drażliwa. Kristin była wprawdzie siostrą Matthew McCahy'ego, ale również żoną Cole'a Slatera, toteż nie bardzo wypadało zapraszać żołnierzy strzegących bezpieczeństwa rancza na świąteczny obiad.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia ponownie pojawił się Matthew. Kristin bardzo ucieszyła się na jego widok. Natychmiast zaczęła wypytywać go o najświeższe wieści; odparł, że ostatnio słyszał, że Cole Slater ciągle jest na wolności. John Hunt Morgan - dzielny dowódca kawalerii - zginął wprawdzie latem, ale Matthew nie wiedział, dokąd później zostali odkomenderowani Cole, Malachi i Jamie.

Kristin długo tej nocy płakała; choć brak wiadomości jest dobrą wiadomością. Wydawało się jej, że od śmierci ojca minęły wieki i z najwyższym trudem przy-

pominała sobie twarz Adama. Nie chciała już tracić nikogo z bliskich. Bólem przejmował ją widok bladej, wymizerowanej twarzy Shannon. Od śmierci kapitana Ellswortha nie uśmiechnęła się ani razu.

Ani razu!

W Boże Narodzenie, po kolacji, Kristin usiadła w salonie przy płonącym na kominku ogniu w towarzystwie brata i siostry. Kiedy zaczęła grać na szpinecie kolędy, Shannon wybuchnęła płaczem i uciekła do siebie na górę. Kristin długo w milczeniu wpatrywała się we własne dłonie.

W końcu ciszę przerwał Matthew.

- Kristin, jeszcze bardzo, bardzo długo będzie źle.

- Mówią, że to prawie koniec. Mówią, że wojna już się prawie skończyła.

- Wojna tak. Ale nienawiść pozostanie. Nie sądzę, żeby zadane przez tę wojnę rany dało się zaleczyć w ciągu najbliższych stu lat. To nie będzie proste. Kuracja potrwa bardzo długo.

- Wiem - szepnęła.

- Musisz, Kristin, z jednego sobie zdać sprawę. Jeżeli pojawi się tutaj Cole, powinien znów jak najszybciej odjechać. Nie będzie bezpieczny/dopóki nie zostanie zawarty jakiś pokój, a i wtedy należy poczekać na amnestię.

Palce Kristin drżały. Skinęła głową.

- On nie wróci. Nie wróci... dopóki to wszystko się nie skończy.

Matthew pocałował siostrę i poszedł do siebie na górę. Kristin długo jeszcze spoglądała w ogień. Polana w kominku powoli zamieniły się w żar.

W lutym przypadły pierwsze urodziny Gabriela. Wieści były pomyślne dla Unii, a fatalne dla Konfederacji. Sherman pustoszył Południe. Robert E. Lee wal-

czył w Wirginii, natomiast Jefferson Davies z Gabinetem Konfederacji musiał sześciokrotnie ewakuować się z Richmond.

W marcu wszyscy mówili o wyprawie na Petersburg: Grant od lata oblegał miasto Wirginia, gdzie trwały zaciekłe walki. Żołnierze Unii wykopali tunel pod pozycjami konfederatów. Założone miny zabiły wielu ludzi. Pozostali jednak szybko pozbiali się i wybili wszystkich żołnierzy Unii, którzy tłoczyli się w wykopie. Tych, którzy o tym opowiadali, przenikał dreszcz.

Kristin przyzwyczała się do stacjonujących na jej ziemi żołnierzy. Rekrutowali się głównie z farmerów i rolników. Coraz częściej słyszała, że prowadzą rozmowy o tym, jak to będzie po wojnie, kiedy wreszcie wrócą do domów. Generał konfederatów, Kirby-Smith, ciągle srożył się na zachodzie, a na wschodzie wojska Południa nieustannie stawiały silny opór; lecz była to już tylko agonia narodu, któremu historia nie dała odechnąć prawdziwą niepodległością.

Pewnego dnia pojawił się major Emery i długo z nimi siedział na werandzie, napawając się pierwszymi, ciepłymi promieniami wiosennego słońca. Z przygnębieniem stwierdził, że wedle wstępnych obliczeń w wojnie tej przybyło pół miliona grobów.,"

- Kula, szabla i choroby - mówił ponuro. - Ileż matek opłakuje swoich synów!

Kiedy wieczorem odjechał, Kristin nie wiedziała, że nie ujrzy go żywego.

Przyszedł kwiecień. Wojska generała Lee grupowały się wokół Richmond, przygotowując się do rozpaczliwej obrony stolicy. Gabe uczył się chodzić, więc Kristin przyznała wreszcie rację Samsonowi i Pete'owi, że najwyższa już pora zacząć sadzać malca na konia.

Pewnego kwietniowego popołudnia dziewczyna wyszła przed dom i natychmiast wyczuła, że coś jest nie w porządku. W powietrzu panował jakiś dziwny bezruch.

Powinna słyszeć hałasy i śmiechy. Ostatecznie na ranczu przebywało około tuzina żołnierzy, którzy zazwyczaj uwijali się po podwórku, zajmowali wierzchowcami, kręcili się przy studni albo pisali przy stole listy. Nie dostrzegła też ani Pete'a, ani Shannon.

- Samson! - zawołała.

I wtedy do jej uszu dobiegł skrzyp drzwi od stodoły; zupełnie jakby uchylił je podmuch wiatru, z tym tylko, że nie było wiatru. Popatrzyła w tamtą stronę. Ujrzała dłoń z zagiętymi palcami i kawałek niebieskiego, zbrukałego krwią rękawa. Poczowała, że w gardle narasta jej szloch, ale nie odważyła się wydać najcichszego nawet dźwięku. Przytuliła do piersi Gabe'a i najszybciej, jak mogła, pobiegła z powrotem do domu.

- Shannon! - krzyknęła.

W hallu wisiał pas z dwoma koltami; był to pomysł Cole'a, który uparł się, żeby broń zawsze znajdowała się w tym miejscu i była gotowa do użycia. Drżącymi rękami założyła pas na biodra, a następnie sięgnęła po samopowtarzalny karabin spencera, który przywiózł Matthew, kiedy zjawił się na Boże Narodzenie.

- Shannon! - zawołała ponownie.

Jej siostra zbiegła pośpiesznie po schodach. Oczy miała szeroko rozwarte, twarz białą jak kreda.

- Dzieje się coś niedobrego. Bierz Gabe'a...

- Nie! Daj mi karabin!

- Shannon, proszę...

- Cholera jasna, przecież strzelam lepiej od ciebie!

- Zapewne! Ale ja nie jestem tak zrozpaczona jak ty!

- odparła Kristin. - Na Boga, Shannon, bierz małego, idź na górę i bacznie ich wypatruj.

- Kogo?

Nie wiedziała, skąd to wie, ale wiedziała.

- Wrócił Zeke. Czai się gdzieś koło domu. Shannon, proszę, nie oddaj im mego dziecka!

Wepchnęła siostrze Gabe'a i ruszyła w stronę drzwi. Shannon bacznie ją obserwowała. Dzieciak zaczął płakać, więc dziewczyna mocniej przytuliła go do siebie i pośpieszyła na piętro.

- Matko święta - mruknął szeregowy Watson. - Czy widzicie to samo, co widzę ja? Jakiś durny Jankes; jest sam i jedzie prosto na nas!

Polerujący właśnie kolbę karabinu Cole uniósł głowę. Zmrużył oczy i popatrzył na człapiącego konia. Sądząc po sposobie poruszania się zwierzęcia, jego właściciel musiał być ranny, i to ciężko.

- Może go zastrzelić? - mruknął niepewnie jeden z żołnierzy.

- Ktoś już do niego strzelał - rzucił zjadliwie drugi.

- Zostawmy go, chłopcy - powiedział Cole, wstając i patrząc z ciekawością w stronę samotnej sylwetki.

Slater został awansowany do stopnia pułkownika był więc najstarszy rangą w oddziale. Malachi dochrapał się stopnia majora, a Jamie kapitana. Trzej bracia trzymali się tej małej grupy żołnierzy. W tych okolicach zachodu przetrwały już tylko niewielkie oddziały konfederatów. Grupa postanowiła odszukać generała Kirby-Smitha, bez względu na to, gdzie się znajdował, i połączyć z nim swoje siły. Przez ostatni miesiąc przebywali w opuszczonej farmie otoczonej zdziętym sadem i tam urządzili swoją polową kwaterę główną.

- Znam tego człowieka - mruknął nieoczekiwanie Cole, po czym spieszenie ruszył w stronę nadjeżdżającego, a bracia i reszta obszarpanego towarzystwa deptali mu po piętach. Kiedy Cole dotarł do Jankesa, ten osunął się z siodła prosto w jego ramiona. Slater położył ostrożnie rannego na ziemi, a następnie własną chustką, którą miał owiniętą wokół szyi, próbował zatamować krew płynącą z wielkiej rany pod łopatką.

- Matthew McCahy, co ci się, do licha, przytrafiło? - powiedział i spojrzał na kapitana Rogera Turnbilla, lekarza kompanijnego, po czym znów przeniósł wzrok na Matthew.

Zastanawiał się, w jaki sposób szwagier go odnalazł. Po chwili uznał jednak, że wyjaśnienie tej zagadki musi poczekać do czasu, aż rannym zajmie się lekarz.

- Wracajmy do domu - polecił kapitan Turnbill.

Żołnierze dźwignęli rannego z ziemi. Matthew otworzył oczy - wielkie, niebieskie oczy, które tak boleśnie przypomniały Cole'owi oczy jego żony - i chwycił Cole'a za kłapę surduta.

- Cole, posłuchaj mnie...

- Pułkowniku, czy pan dobrze zna tego Jankesa? - zapytał kapitan Turnbill.

- To brat mojej żony. Bardzo dobrze go znam.

- Więc jak najszybciej wnieśmy go do środka. Krwawi jak zarzynane prosię.

- Matthew - odezwał się Cole, chwytając zaciśniętą na swoim ubraniu dłoń rannego. - Matthew, kapitan ci pomoże, uwierz mi.

Cole zastanawiał się, czy brat Kristin majaczy, czy też po prostu boi się chirurga-konfederata. Lekarze po obu stronach przechwalali się, że zabili więcej osób niż wszystkie pociski artyleryjskie razem wzięte.

- Cole, na Boga, posłuchaj mnie! - wychrypiał Mat-

thew, chwytając w żelazny uścisk rękę Cole'a. - Chodzi o Zeke'a...

- Co?!

Matthew z trudem przełknął ślinę.

- Natknęliśmy się na niego w zapadłej dziurze zwanej James Fork; to na południowy wschód stąd. Jechaliśmy niewielkim oddziałem, wszystkiego trzydziestu ludzi, kierując się do Tennessee. Odłączyłem się na chwilę od grupy i wtedy mnie dopadli. Myśleli, że nie żyję. Słyszałem, co mówił Zeke. Oświadczył, że nie może doczekać się chwili, kiedy oświadczy osobiście Kristin McCahy, że zabił jej brata. Noc zamierzali spędzić w James Fork. Przeczekałem więc do późnego wieczoru, aż się upili, ukradłem konia, no i jestem tutaj...

Cole pobladał. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak mocno ściska rękę Matthew. Do rzeczywistości przywołały go dopiero słowa kapitana Turnbilla:

- Pułkowniku, proszę puścić ramię rannego.

- W jaki sposób nas znalazłeś? - zapytał Jamie.

Najwyraźniej tylko on był w stanie rozsądnie myśleć.

Matthew uśmiechnął się.

- Panowie, miejsce waszego pobytu nie jest żadną tajemnicą. Kilka tygodni temu był tutaj na zwiadach ze swoim oddziałem Kurt Taylor. Niektórzy wyżsi dowódcy wiedzą o was... Mają po prostu nadzieję, że wojna się skończy, zanim będą zmuszeni przedsięwziąć przeciw wam jakieś działania.

Uśmiech z jego twarzy zniknął. Matthew chrapliwie wciągnął powietrze, zakaszłał i jęknął z bólu.

- Wnieście go do domu! - polecił Turnbill.

Pół tuzina żołnierzy wypełniło posłusznie rozkaz. Jamie Slater ostrożnie podtrzymywał głowę rannego, uważając, żeby nie urazić mu łopatki.

- Slater! Musisz tam jechać. Ty i twoi ludzie macie

szansę dotrzeć tam przed nim. Jadąc prosto na zachód...

- Przecież na ranczu przebywa dwunastu żołnierzy Unii. Wiem o tym - powiedział ponuro Cole.

- Zatem Zeke Moreau robi, co zamierza - wyjąkał z trudem Matthew i zamilkł.

- Umarł? - zapytał tępo Malachi.

Turnbill potrząsnął głową.

- Nie, zemdlął z upływu krwi. To cud boski, że dotarł aż tutaj.

Cole nie słuchał dłużej, Wyszedł przed dom i popatrzył po ludziach, którzy mu zostali. Oprócz braci i lekarza, w skład grupy wchodził sierżant, dwóch kaprali i dwudziestu dwóch szeregowców. Przetrwali piekło wojny. Czy miał prawo wymagać od nich, żeby teraz stawali na szali, dla jego osobistych celów, własne życie?

- Muszę was, chłopcy, opuścić - oświadczył i żołnierze otoczyli go kołem. - To moja prywatna wojna i któryś z was mógłby zarzucić mi, że kieruję was przeciw jednemu z waszych.

- Do diabła, tacy jak Quantrill nigdy nie należeli do nas! - wybuchnął Bo Jenkins, w cywilu właściciel sklepu. - W moim pojęciu żaden uczciwy południowiec nie będzie mordował ludzi z zimną krwią.

- Miło mi to słyszeć, żołnierzu - odparł cicho Cole. - Niemniej nie mam prawa żądać od was, żebyście mi towarzyszyli i narażali się na śmierć.

- Pułkowniku, przecież robimy to cały czas - powiedział Jenkins.

Stanął obok niego jego brat, John.

- Pułkowniku, jesteśmy z panem od tak dawna. Niech więc już tak zostanie. Do diabła ze wszystkim. Raz kozie śmierć!

Cole uśmiechnął się łagodnie.

- W takim razie w drogę. Musimy się śpieszyć i gnać jak wszystkie wichury świata.

Uzbrojona i przygotowana na najgorsze Kristin desperacko pchnęła drzwi stodoły, z których wystawała skrwawiona ręka. W dłoniach trzymała gotowe do strzału kolty

Nic nie usłyszała i nic nie zobaczyła. Stała w progu i mrugała oczami, przyzwyczajając je do panującego w stodole półmroku. Po dłuższej dopiero chwili spostrzegła pięciu mężczyzn w jankeskich niebieskich mundurach. Żołnierze leżeli porozrzucani na ziemi i sianie. Zabójca lub zabójcy zaskoczyli ich w trakcie partii pokera. Na ustawionym pośrodku klepiska snopku siana ciągle jeszcze leżały wyłożone karty.

Jeden z graczy miał fula.

Kristin poczuła, że ma kompletnie suche gardło.

- Rzuć to! - dobiegł ją zza pleców drwiący głos jednego z kompanów Zeke'a.

Nie znała jego imienia, ale poznała go po głosie. To jego ochrypły śmiech słyszała tego dnia, kiedy zginął jej ojciec.

Znieruchomiała, zdawszy sobie sprawę, że nie zdoła odwrócić się wystarczająco szybko, żeby zastrzelić tego człowieka. Przez chwilę rozważała pomysł, by jednak spróbować, a potem szybko umrzeć. Zeke z całą pewnością nie czuł już do niej mięty i pragnął jedynie wziąć srogi odwet.

Nagle w stodole rozległ się ogłuszający huk. Krzyknęła oszołomiona, zastanawiając się, czy trafiła ją kula. Ale nie. Popatrzyła na środek stodoły. Leżał tam Jankeś, którego uważała za martwego. Ze skroni ściekała mu krew, ale teraz uśmiechał się do Kristin, a z lufy jego rewolweru unosił się dym. Błyskawicznie odwróciła

się i ujrzała za sobą ciało mężczyzny. W piersi czerniała mu wielka dziura.

Wsunęła kolty do pochew, podbiegła do żołnierza, który uratował jej życie, i uklękła obok niego,

- Niech cię Pan Bóg błogosławi! Co mogę zrobić...

- Niech pani zajmie się lepiej sobą! - szepnął i skrzywił się. - Jeśli sprawy ułożą się pomyślnie/proszę po mnie wrócić. Do cholery, nie mogę w niczym pomóc. Mam postrzeloną nogę. Proszę bardzo uważać. On jest w domu.

Po krzyżu przeszedł jej zimny dreszcz.

- Kto., on?

- Moreau, ich herszt. Jest w domu.

Zeke był w domu, a zatem miał w rękach Shannon i małego Gabe'a.

Kristin chciała tam zaraz biec, ale w odległym kącie stodoły dostrzegła ciała Pete'a i Samsona. Pete był martwy, oczy miał wytrzeszczone i szkliste. Samson ciągle jeszcze oddychał, a z czoła płynęła mu strużka krwi.

Zatrzymała się, oddarła z sukni pas materiału, w kilka sekund założyła Murzynowi prowizoryczny opatrunek, a potem wybiegła ze stodoły. Przebyła dziedziniec, przecięła wybieg dla koni i skierowała się do domu. Oba kolty trzymała w rękach.

Kiedy usłyszała wystrzał, zatrzymała się w miejscu. Tuż przed jej stopami uderzył w ziemię pocisk, wzbijając tuman kurzu. Uniosła głowę i popatrzyła w górę, w stronę okna swojej sypialni.

Ujrzała Zeke'a, który trzymał za włosy Shannon.

- Pani Slater, niech no pani odłoży tę broń na ziemię! - krzyknął, przeciągając słowa. - W przeciwnym razie te śliczne, złote włosy, co je trzymam w ręku, staną się czerwone.

Kristin ogarnęła rozpacz. Usłyszała szuranie wielu

stóp i zrozumiała, że z zabudowań rancza *zaczynają* się wynurzać ludzie Zeke'a. Rozejrzała się po otaczających ją twarzach. Hu ich było? Dwudziestu? Trzydziestu? Bóg jeden wiedział.

- Kristin, odłóż broń na ziemię! I zrób to powoli! - ponownie zawołał Zeke, wybuchnął śmiechem, po czym wolną ręką pogładził włosy Shannon. - Sama weszła mi w ręce. Cóż, myślę, że jest nawet ładniejsza od ciebie. Ale kto to wie. Obie jesteście gorsze od grzechomików.

Shannon zakląła i zaczęła szarpać rękę Zeke'a. Mężczyzna zaklął i boleśnie uderzył dziewczynę. W tej samej chwili Gabe zaniósł się płaczem. Kristin, nie zdając sobie z tego sprawy, krzyknęła głośno i zagryzła wargi.

- Rzuć rewolwery, albo zabiję twoje dziecko. I zrobię to powoli. Najpierw odstrzelę mu nóżki, potem rączki. Jeśli jeszcze będzie żyło, obetnę mu uszy.

Kristin ostrożnie położyła kolty na ziemi. Usłyszała dziki śmiech Zeke'a, a w następnej chwili on i Shannon zniknęli z okna.

Drzwi prowadzące do domu otworzyły się, stanął w nich Zeke, popychając przed sobą Shannon. Dziewczyna była biała jak kreda, ale Kristin, ku swej radości, zauważyła, że gniew przeważa w niej nad strachem. To dobrze, błysnęła śmieszna zgoła w tej sytuacji myśl. Na strach będziemy miały jeszcze bardzo dużo czasu.

Zeke brutalnie zaciągnął Shannon na środek dziedzińca. Później podszedł do Kristin.

- Kristin, pozwól, powiem ci, jaki ułożyłem program na dzisiejsze popołudnie. Powiem ci, czego się masz spodziewać. Wyjaśnię ci każdy śliczny szczegół. Widzisz tego tam Harry'ego? To ten z drewnianą nogą i zepsutymi zębami. Ma na ciebie straszną chrapkę, zatem będzie pierwszy. Ja zajmę się twoją małą sio-

strzyczką. Świeża cielęcinka! A później... no cóż... nie jesteśmy egoistami i sprawiedliwie się z kolegami podzielimy. Ale zapewniam cię, że przeżyjesz. Jeszcze później puścimy z dymem dom i zabudowania. Będziesz miała okazję posłuchać, jak rżą konie, które się palą. Piękny dźwięk. No i na koniec Harry zapewne cię oskalpuje. Nauczył nas tego milutki Archie Clements. Nie mamy zbyt wiele czasu. Pani, pani Slater, sama najlepiej wie, że w tych okolicach kręci się wielu Jankesów. A pani brat wdział na siebie mundur Jankesów, prawda? Ale o niego niech cię głowa nie boli. Zabiłem go wczoraj wieczorem.

Pod Kristin ugięły się kolana i dziewczyna upadła na ziemię.

Matthew! Nie! To nie może być prawda!

Zeke ponownie wybuchnął gromkim śmiechem.

Kristin ujrzała przed oczami czerwoną mgłę. Zerwała się z ziemi i jak szalona skoczyła na Zeke'a. W tej samej sekundzie ruszyła jej na pomoc Shannon. Obie dziewczyny przygniotły Zeke'a do ziemi, zaczęły okładać go pięściami i drzeć mu twarz paznokciami. Zeke zaskrzeczał, ale żaden z jego ludzi nie ruszył mu z pomocą. Strzelać też nie mogli, bo nie wiedzieli, kogo trafią. Mogliby zabić Zeke'a.

I wtedy dotarł do nich dźwięk.

Łoskot końskich kopyt, grzmiący echem łomot podków bijących w zeschniętą ziemię Missouri.

- Kryć się! - wrzasnął jeden z grasantów.

Zeke wydał ryk wściekłości i zrzucił z siebie Shannon, która potoczyła się po ziemi. Wierzchem dłoni uderzył Kristin w twarz, chwycił oszołomioną po ciosie dziewczynę za włosy i zaciągnął na werandę, gdzie skryli się za balustradą wykonaną z dębowych desek.

Łoskot końskich kopyt był już ogłuszający.

Skurwysyny! - mruknął Zeke. - Skąd się dowiedzieli...

Kiedy Zeke wysuwał lufę rewolweru przez szczelinę w ich osłonie, Kristin miała okazję przez mgnienie oka zerknąć na podwórze.

Grupa jeźdźców w mundurach o barwie stali gwałtownie zatrzymała się przed frontem domu. Wszystko zatoneło w kłębach kurzu. W ciszy, która zapadła, rozległ się głośny krzyk Kristin.

Na czele gromady jeźdźców stał Cole. Koń pod nim tańczył, a on sam bacznie rozglądał się wokół. Obok był Malachi. I Jamie.

Oddziały Unii w utarczkach z grasantami zawsze ponosiły porażkę, ponieważ ich przeciwnicy byli dużo lepiej uzbrojeni i szybciej oraz sprawniej posługiwali się bronią. Ale teraz Zeke miał przeciwko sobie człowieka, który doskonale znał metody walki grasantów. I był najszybszy. Miał przeciwko sobie człowieka, który stał na czele gromady równie dobrze uzbrojonych i wyszkolonych mężczyzn. Ci mężczyźni chcieli wyjść z przegranej wojny z odrobiną honoru.

W powietrze wzbijała się ponownie kurzawa i zakryła wszystko. W kłębach kurzu wybuchła gwałtowna strzelanina. Zeke zaczął wlec Kristin za włosy po deskach werandy.

Stawiała mu rozpaczliwy opór. Wiedziała, że może ją w każdej chwili zastrzelić, ale już nie dbała o to. Zamordował Matthew, zamordował jej ojca, a teraz zamierzał zamordować ją. Miała tylko nadzieję, że Delilah znalazła Gabe'a i dobrze się gdzieś z nim ukryła. Pragnęła jednego: żeby jej syn przeżył. Pragnęła, żeby z popiołów i zgliszcz tej wojny wyrosło coś dobrego. Chciała, żeby jej dziecko, dziecko Cole'a, przeżyło, pamiętało i zaczęło nowe życie.

- Niech cię diabli! - wrzasnął Zeke i wykręcił jej ramię tak mocno, że aż krzyknęła z bólu. Szybko przeciągnął ją przez werandę i wepchnął do domu. Włókł ją za sobą w stronę schodów. Ból w wykręconym ramieniu był tak okropny, że Kristin ciemniało w oczach.

- Nie wiem, ile mamy czasu. Może mało, a może tam na dole będą zajęci sobą bardzo długo. Chcę pobawić się z tobą w łóżku Cole'a Slatera, kiedy on sam będzie się tam na dole dławił własną krwią.

Frontowe drzwi rozwarły się z hukiem, a w progu stanął Cole. Zeke błyskawicznie obrócił się w tamtą stronę i Kristin o mało nie upadła. W ostatniej chwili Moreau utrzymał ją, a potem pchnął przed siebie, kryjąc się za nią.

Stojący w drzwiach Cole, oświetlany od tyłu jaskrawym słonecznym światłem, był przerażający, a zarazem, w jakiś dziwny sposób, imponujący. W lewym ręku ścisnął kawaleryjską szablę, a w prawym kolta.

- Cole, odłóż powoli broń - odezwał się Zeke, przyciskając do siebie Kristin tak, że poczuła bijący od niego zapach potu.

- Zeke, dobrze ci radzę, zabierz z mojej żony swoje brudne łapska.

- Slater, wiesz, że do Quantrilla przyłączyłem się późno i dlatego nie poznałem cię wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Ale teraz już poznaję cię bardzo dobrze. Dużo myślałem o chwili, kiedy się wreszcie spotkamy. Śniła mi się po nocach. Więc odłóż broń. Widzisz ten śliczny, srebrzysty rewolwer przyłożony do szyi twojej żony? Wyobrażasz sobie, jak będzie z niej tryskać krew?

W tej samej chwili rozległ się płacz dziecka. To Gabe, którego Delilah ukryła w szafie w korytarzu, pomyślała z rozpaczą Kristin.

Serce w niej zamarło, kiedy ujrzała, że twarz Cole'a

blednie. Wyczuła, że Zeke się uśmiecha. Teraz Slater musiał myśleć nie tylko o niej, ale i o synu.

- To bardzo miły chłopczyk, Slater - odezwał się ze śpiewnym akcentem Zeke. Przyłożył lufę rewolweru do policzka Kristin. - Miła żona, miły synek. Jeśli chcesz jeszcze ujrzeć ich żywych, odłóż broń. Powoli. I żadnych gwałtownych ruchów.

- Żadnych gwałtownych ruchów - powtórzył głucho Cole.

Gabe ciągle płakał. Kristin zacisnęła zęby. Jak tylko Cole odłoży broń, Zeke natychmiast go zastrzeli. A przecież ma mu tyle do powiedzenia. Że Gabe już chodzi, że wymawia dużo słów. Że nauczyła go mówić „tata”. Że dziecko ma najpiękniejszy na świecie śmiech, a oczy ma takie same jak jego ojciec...

- Cole, nie... - krzyknęła.

Uśmiechnął się do do niej.

- Kristin, muszę to zrobić.

Zeke znów zarechotał.

- Widzisz, musi to zrobić.

Cole nie spuszczał z niej wzroku. Na jego ustach pojawił się dziwny uśmiech.

- Kristin, nie miałem dotąd okazji powiedzieć ci, że cię kocham. Naprawdę. Bardzo kocham.

- Boże, Cole!

- Kocham cię. Kocham cię. Kristin, pochyl głowę.

- Co...?

Cole nie rzucił kolta. Wycelował dokładnie nad głową Kristin.

Krzyknęła i cały świat eksplodował.

15

Kristin odniosła wrażenie, że pod jej stopami rozstępuje się ziemia i upadła. Wiedziała tylko, że Cole strzelił.

Wiedziała też, że broń Zeke'a milczała.

Spadała ze schodów, a za nią potoczyło się ciało Zeke'a. Zatrzymała się na półpiętrze, a zwłoki mężczyzny spadły prosto na nią. Przed sobą ujrzała wytrzeszczone oczy Moreau; kula zniosła mu całą górę czaszki i czoło.

Zerwała się, odpychając od siebie z obrzydzeniem trupa.

- Kristin! Kristin!

Silne męskie ramiona wyciągnęły ją spod ciała Zeke'a, ale dziewczyna nie potrafiła oderwać wzroku od jego twarzy. Nawet po śmierci malował się na niej szycerczy grymas.

- Kristin!

Wpadła w ramiona Cole'a.

- Kristin!

Popatrzyła w górę i ujrzała jego twarz, jego oczy. Na obliczu malował mu się wyraz ogromnego niepokoju.

- Kristin, nic ci się nie stało? - zapytał z troską.

Niezdolna wykrztusić słowa potrząsnęła głową. Chwilę spoglądała na niego, po czym wydała nieartykułowany okrzyk, wtuliła twarz w jego ramię i wybuchnęła płaczem. Gładził ją po włosach, szepcząc jakieś Uspokajające słowa. Odsunął ją na odległość wyciągniętych rąk i z uwagą wpatrywał się w twarz dziew-

czyny. Kristin najwyższym wysiłkiem woli opanowała roztrzęsione nerwy.

- Och, Cole! Skąd wiedziałeś, że potrzebujemy twojej pomocy? Zabili wszystkich Jankesów... nie, kilku z nich może jeszcze żyje. Musisz im pomóc. On... jeden z nich mnie uratował. - Z oczu znów popłynęły jej łzy. Mimo najszczerzych chęci nie potrafiła powstrzymać się od płaczu. - Cole, on zabił Matthew! Dotarł do mego brata i zabił go!

- Cicho, Kristin, cicho - mruknął Cole, przytulając dziewczynę i gładząc spadające jej na plecy włosy. - Kristin, Matthew żyje... to znaczy, tak sądzę. Jest ranny, ale żyje. Nie dowiedziałbym się... - W jednej chwili całkiem stracił mowę; nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Kiedy było po wszystkim, nagle sparaliżował go strach. - Kristin, Zeke zaatakował oddział Matthew i myślał, że zabił twego brata. Ale Matthew przeżył i w nocy uciekł. Łaska boska, że Jankesi znali pozycje mojego oddziału, a Matthew tak dobrze orientował się w terenie, że trafił do mnie ...

- Cole, chyba nie mówisz mi tego...

- Nie, Kristin, to szczerą prawdą. Przysięgam!

- A oni nie pójną twoim śladem... to znaczy ci Jankesi...

- Mam kilku przyjaciół w stosownych miejscach - odparł Cole z krzywym uśmiechem. - Tylko to sprawia, że żywię jeszcze krzywą nadzieję. Może kiedy już to wszystko się skończy, choć trochę odzyskam twarz. Boże, jak chciałbym, żeby to już się skończyło!

Tulił ją w ramionach, a ona pragnęła, żeby trwało tak zawsze. Ale głos rozsądku podpowiadał, że nie przyszła jeszcze na to pora. U jej stóp leżał martwy mężczyzna, a na dziedzińcu, gdzie ucichła już strzelanina, poniewierało się jeszcze więcej trupów. Musiała

wracać do stodoły, do młodego Jankesa, który uratował jej życie, musiała odnaleźć synka...

- Kristin... - zaczął Cole, ale przerwał mu głośny krzyk:

- Panienska Kristin! Pan Cole! Och, dzięki Bogu! - wołała Delilah.

Stała u góry schodów z Gabe'em na rękach. Chłopiec z całych sił wrywał się z jej objęć.

Oczy Kristin rozbłysły.

- On już chodzi. I mówi. Nauczyłam go nawet mówić słowo „tata”. -

Delilah zbiegła po schodach. Zobaczyła ciało Zeke'a, ale splunęła tylko na zwłoki i obojętnie je przekroczyła. Na dole postawiła Gabe'a na ziemi; chłopiec lekko się zachwiał. Kristin obserwowała, jak Cole klęka na jedno kolano i wyciąga ręce do dziecka, które niezgrabnie jeszcze zbliżyło się do niego i z uwagą zaczęło przyglądać się nieznanemu.

- Powiedz: tata - odezwała się Kristin.

Ale Gabriel nie miał najmniejszego zamiaru cokolwiek mówić. Odwrócił się od ojca, którego nie znał, i zanurzył twarz w fałdach spódnicy matki. Wyciągnął ręce. Kristin ze śmiechem podniosła go z ziemi i tak mocno przytuliła do piersi, że mały zaniósł się wrzaskiem. Cole wstał z podłogi, by ruszyć dziecku na odzież. Chwycił malca, a potem unióś nad głowę, spoglądając swymi srebrzystymi oczami w srebrzyste źrenice synka.

- Jestem twoim tatą, mały człowieku! - zawołał ze śmiechem. - I ty o tym sam najlepiej wiesz!

Gabriel, naturalnie, nie zrozumiał nic z tego, co powiedział Cole, ale uśmiechnął się, jakby zaakceptował nieznanego w stalowym mundurze ze złotymi dystynkcjami.

Nieoczekiwanie w drzwiach wszczął się tumult.

- Zostaw mnie, ty śmieciu! - krzyczała Shannon.

W progu pojawił się rozwścieczony z zaczerwienioną twarzą Malachi. Niósł przerzuconą przez ramię dziewczynę.

- Cole, mogę bić się z maruderami, mogę bić się z grasantami, ale z tą pannicą nie chcę mieć nic wspólnego! - huknął.

- Puść mnie! - znów wrzasnęła Shannon.

Energicznie popchnął dziewczynę w kierunku brata, a Shannon dłuższą chwilę próbowała złapać równowagę. Przewróciła się jednak, potoczyła po ziemi i tuż przed sobą ujrzała wytrzeszczone oczy Zeke'a.

- Jezu słodki! - szepnęła i zamilkła na dobre.

Kristin popatrzyła na Małachiego, po czym pytająco uniosła brwi. Mężczyzna westchnął z wyraźną ulgą.

- Kristin, nie wiem, co się działo tutaj w domu! - zagrzemiał. - Ale nie chciałem, żeby ktoś ją postrzelił, albo ciebie czy Cole'a trafiła jakaś kula. To tyle. Ale ona sama wprosiła się w kłopoty i nie kiwnąłbym palcem w bucie, gdyby nie to, że jest twoją siostrą. I dlatego robiłem wszystko, żeby uchronić to jej słodziutkie, rozkoszne, drogocenne życie! '

O dziwo, Shannon milczała. Ciągle wpatrywała się w martwą twarz Zeke'a. Potem zaczęła dygotać i w końcu wybuchnęła płaczem.

Kristin ruszyła w jej stronę, ale Cole chwycił ją za ramię i zatrzymał. Malachi przykleknął przy Shannon, wziął ją w ramiona i odciągnął od ciała Zeke'a.

- Już po wszystkim - oświadczył szorstko. - Tylko się nie rozpadnij!

Shannon zeszywniała na moment i zaniosła się płaczem. Malachi podał jej chustkę do nosa, dziewczyna wytarła nią twarz i pokiwała głową.

- Nie bój się, nie rozpadnę się, ty prostaku! - odparła, zwracając mu chusteczkę.

- To bardzo dobrze. A teraz marsz do roboty.

- Do roboty?

- Tam czekają ranni... chyba że jaśnie wielmożna pannica nie chce pomóc ludziom, którzy z narażeniem własnego ratowali twoje żałosne życie.

- Żałosne?

- No, już, marsz!

- Idę, Malachi Slater! Idę, bo jest tam wielu wspaniałych ludzi, mimo że to rebelianci. Idę ze względu na nich, a nie dlatego/że pan Malachi Slater tego sobie życzy.

Z godnością odwróciła się, potrząsając burzą złocistych włosów i wyminęła go, jakby wcale nie istniał. Byłoby to bardzo wielkopańskie wyjście, gdyby nie Malachi. Kiedy go mijała, dał jej w pośladki głośnego klapsa. Ogarnięta furją Shannon krzyknęła głośno i uderzyła go w twarz. Mężczyzna chwycił ją za łokieć, a następnie odwrócił w swoją stronę. Twarz miał pociemniałą z gniewu.

- Malachi, proszę! - wtrąciła łagodnie Kristin. - To moja siostra.

Malachi zmrużył oczy i powoli puścił łokieć dziewczyny.

- To bardzo uprzejmie ze strony łaskawego pana - powiedziała Shannon, kopnęła go w kostkę i wybiegła z domu.

Kristin zachichotała, a po chwili Cole również wybuchnął śmiechem. Przyłączyła się do nich Delilah, ale natychmiast złapała się za głowę.

- Boże drogi, Samson! - wykrzyknęła. - Co z moim mężem? Panie Slater...

- Jest w stodole - powiedziała szybko Kristin, patrząc na Cole'a. - Jeszcze żył...

Cole wybiegł z domu, jego obcasy zadudniły na deskach werandy. Kristin bez wahania ruszyła za nim? lecz kiedy przekroczyła próg, stanęła jak wryta. Tuląc do piersi synka, patrzyła na pobojowisko.

Wszędzie leżały ciała. Mężczyźni w stalowych mundurach ściągali je w jedno miejsce. Słaniający się ze zmęczenia żołnierz, mijając Kristin, skinął jej głową. Dziewczyna chwyciła go za ramię.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję, że przybyliście.

Mężczyzna uśmiechnął się i pstryknął palcami w rondo kapelusza.

- Za pułkownikiem Słaterem poszedłbym w ogień, proszę pani. Cieszę się, że zdążyliśmy na czas. - Jeszcze raz dotknął ronda i odszedł.

Oszołomiona Kristin zeszła po schodkach na dziedziniec.

Ktoś wołał o wodę. Pobiegnęła do koryta. Tam ujrzała jednego z ludzi Cole'a. Ściskając ramię próbował podnieść się z ziemi.

- Już jestem. Chwileczkę — szepnęła, podając mu czerpakiem wodę.

Gabe zachichotał. Myślał, że to początek jakiejś interesującej zabawy.

- Dziękuję pani - powiedział żołnierz i skrzywił się z bólu. Kristin spostrzegła, że trafiony został w ramię.

- Niech ktoś tu przyjdzie! - zawołała.

Natychmiast pojawił się inny żołnierz, pomógł rannemu wstać i już po paru minutach postrzelony mężczyzna leżał w domu na łożku, a wokół uwijali się zdrowi żołnierze, gotując wodę i drąc prześcieradła na bandaże. W salonie urządzili szpital.

Gabe nie miał najmniejszego zamiaru iść spać, więc Kristin wniosła do salonu kojec, włożyła doń dziecko

i znów zajęła się rannymi. Pomagały jej Delilah i Shannon, która najwyraźniej wróciła do siebie.

Cole wraz z innymi zajmował się grzebaniem poległych. Zwłoki Zeke'a Moreau wyniesiono z domu.

Przy wynoszeniu jego ciała nie obyło się bez sceny. Shannon wyszła na werandę i zaczęła błagać, żeby nie chowano jego zwłok na terenie rancza.

- Ależ, panno McCahy.

- Proszę, nie! Niech zajmą się nim sępy, wilki, ale nie chowajcie go tutaj. Proszę!

W końcu kilku ludzi zaprzęgåłó wóz i wywiozłó zwłoki Zeke'a i jego grasantów daleko poza posiadłóść. Pete'a, który należał praktycznie do rodziny, trzech łudzi Cole'a i Jankesów, którzy padli w potyczce, pochowano z honorami obok rodziców Kristin na rodzinnym cmentarzyku. Kiedy zapadł wieczór, nic już nie wskazywało na to, że na terenie rancza odbyła się krwawa potyczka. Przygotowując kolację, Delilah przeszła samą siebie i uraczyła wszystkich wspaniałą ucztą.

O dziesiątej wieczorem usłyszeli skrzywienie wozu. Cole skończył właśnie jeść i pił na werandzie brandy. Gabriel leżał już w łóżecku, a Kristin siedziała u stóp męża i słuchała tęsknej melodii wygrywanej w pobliżu przez kogoś na harmonijce.

Poczuła, że Cole sztywnieje. Wtedy też usławiadomiła sobie, że wokół rancza rozmieścił posterunki, gdyż z ciemności dobiegł ostrzegawczy krzyk, a w chwilę później z mroku wynurzył się wóz.

- Cole? - odezwała się cicho Kristin.

- To niespodzianka - odparł, ściskając jej ramię.

Posłusznie poszła za nim. Zeszli po schodkach na dziedziniec i skierowali się w stronę pojazdu, na którym w mroku majaczył jakiś nieforemny toból. Z tamtej właśnie strony dobiegłó ciche, jakby żałosne wołanie:

- Kristin, Shannon!

- Matthew! - krzyknęła Kristin i jak szalona pobiegła do wozu.

Zaczęła tak żywołowo ścisnąć i całować brata, że ten stęknął i łapiąc z trudem powietrze, wykrztusił:

- Kristin, kula mnie nie zabiła, ale teraz ty najwyraźniej chcesz mnie udusić!

- Och, Matthew!

Po schodkach zbiegała już Shannon. Rodzeństwo ścisnęło się, całowało, szalało wprost ze szczęścia. Inni spoglądali na tę scenę w milczeniu, harmonijka zaczęła wygrywać teraz melodię „Lorena”, wyciskając łzy z oczu ludziom, którzy przez lata trwania tej krwawej łaźni nie zapłakali ani razu.

Matthew zaniecono do jego pokoju. Kiedy już leżał w łóżku, ujął dłoń Kristin, a dziewczyna pochyliła się i pocałowała brata w czoło. Chciała odejść, ale on nie puszczał jej dłoni.

- Kristin - odezwał się cicho. - Niebawem pojawi się tutaj spory oddział Jankesów, a jak wiesz, wojna jeszcze trwa. Będą musieli aresztować Cole'a oraz jego ludzi. Ci nie poddadzą się tak łatwo, więc wielu niepotrzebnie umrze. Cole i ludzie wchodzący w skład jego oddziału są bohaterami, ale to nie robi różnicy. Czy to rozumiesz, Kristin?

Nie rozumiała.

A może tylko nie chciała zrozumieć? Nie chciała, żeby mąż znów ją opuszczał.

- Kristin, Cole ciągle jest wyjęty spod prawa. Jego sytuacja jest jeszcze gorsza niż poprzednio.

- Dlaczego?

- Niech ci to sam powie. Ale bądź przygotowana na najgorsze. Muszą stąd uciekać. Jeszcze tej nocy.

Doznała zawrotu głowy, ogarnęła ją straszliwa roz-

pacz. Poczwała się jak tonący, któremu w ostatniej chwili zabrano linę, której miał się właśnie chwycić.

- Dziękuję, Matthew - powiedziała martwym głosem.

Kiedy zeszła na dół, zrozumiała, że wszystko to, co powiedział jej brat, jest prawdą. Lekarz konfederatów przygotowywał rannych do wyjazdu. Widząc Kristin, przesłał jej uśmiech.

- Pani brat wyzdrowieje. Proszę tylko bardzo uważać, żeby nie zakazić rany i często zmieniać opatrunki... - urwał, zaś do Kristin dotarło, że człowiek ten jest śmiertelnie zmęczony. - Pani brat to bardzo sympatyczny młodzieniec. Proszę o niego dbać.

- Dziękuję, kapitanie Tumbill - odparła Kristin.

Kiedy miał już odejść, Kristin chwyciła go za łokieć.

- Kapitanie, jest pan pewien, że ci ludzie zniosą jazdę?

- Najciężej ranni są Jankesi, których znaleźliśmy w stodole, ale oni nie muszą nigdzie jechać. Z moich ludzi jeden ma złamaną rękę, jeden nogę, jeden jest postrzelony w ramię, a dwóch doznało wstrząsu mózgu. Nic im nie będzie. - Popatrzył na Kristin z zakłopotaniem. - Pani Slater, lepiej dla nich teraz odjechać, niż trafić do obozu. Nie twierdzą, że Jankesi są okrutnikami, ale o obozach - zarówno Jankesów, jak i konfederatów - nie da się powiedzieć nic dobrego.

Ranni i zdrowi żołnierze zaczęli przygotowywać się do odjazdu. Kristin nigdzie nie mogła znaleźć męża.

Zbliżył się Malachi, objął ją i pocałował w policzek.

- Mam nadzieję, że Cole nie będzie miał nic przeciwko temu - mruknął. - Do diabła zresztą, co pomyśli Cole - dodał i ponownie ją pocałował.

Kristin nie zdawała sobie sprawy z tego, że ma mo-

kre od łez policzki. Uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy Malachi zaczął wycierać jej twarz.

- Och, Malachi...

- Wszystko będzie dobrze. Nie odjedziemy daleko.

- Tak, bardzo niedaleko - włączył się Jamie.

Stanął obok brata, też objął Kristin i pocałował w policzek.

- Dbaj o siebie i swoją młodszą siostrę. No i o mojego bratanka.

Skinęła głową, czując, że coś ją ściska za gardło.

- Cole...

- Cole jest tutaj - dotarł do niej głos jej męża. Mężczyzna zbliżył się i wziął ją w ramiona. - Hej, co ci jest? Nie możesz przecież żegnać moich braci łzami.

- Twoi bracia...

Odwróciła się w jego stronę, a Cole popatrzył na Malachiego. Ten pstryknął w rondo kapelusza, uśmiechnął się do brata, ujął pod rękę Jamie'ego i obaj wyszli. W domu zapadła cisza.

- Zostanę na noc.

- Słucham? - spytała szeptem Kristin.

Na dziedzińcu trwał jeszcze ruch. Shannon żegnała się serdecznie z Jamie'em i dużo bardziej ozięble z Malachim. Cole uśmiechnął się do Kristin, a ta oddała mu uśmiech. Potem trzasnęły drzwi i w progu stanęła Shannon.

- Och, przepraszam - szepnęła, po czym przeszła do salonu, żeby zająć się rannymi żołnierzami Unii.

- Cole, przecież nie możesz zostać. Matthew mówi, że jesteś wyjęty spod prawa i...

- Kristin, nikt nie wie, że tu jestem. Moi ludzie odjechali. Zabrali mojego konia. Umieją znikać nocą bez śladu. Tak więc na razie zostanę z moją żoną.

- Och!

- Jeśli, naturalnie, ona zechce.
- Ona bardzo zechce - szepnęła, dotykając jego policzka.

Ujął jej dłoń i zaczął całować opuszki palców. Bezszelestnie ruszyli schodami na górę do sypialni. Tam oparł się plecami o drzwi i odezwał się z uśmiechem:

- Już myślałem, że nigdy tu z tobą nie będę.
- Ale jesteś.
- Tak, jestem.

Kristin podeszła do niego. Zdjął kapelusz i cisnął go na podłogę, a ona odpięła mu pas z bronią, surdut i koszulę. Kiedy stał już przed nią rozebrany do pasa, poczuła rozkoszny dreszcz. Uświadomiła sobie, że drżą jej ręce. Wyszeptała imię męża, po czym zaczęła całować jego tors i szyję. Ujął w dłonie jej twarz; teraz on z kolei obsypał ją gradem płomiennych pocałunków. Kristin straciła prawie dech ze wzruszenia, kiedy odwrócił ją plecami do siebie i zaczął rozpinać suknię. Drżał cały, podobnie jak ona. Kiedy została już tylko w pończochach i butach wziął ją na ręce i ruszył w stronę łóżka, zbaczając tylko na chwilę, żeby zajrzeć do Gabe'a, który spał w swoim ustawionym w kącie pokoju łóżeczku.

Położył Kristin na łóżku, a ona wplotła mu palce we włosy. Zaczął całować jej usta, później przesunął wargi na piersi. Drażnił językiem sutki, delikatnie gryzł, napawał się pełnymi, jędrnymi piersiami.

- Och, Cole!

Całował jej brzuch i uda, potem zanurzył twarz w trójkącie złocistych włosów. Przejmował ją dreszcz rozkoszy, bo powoli zdejmował z niej buty, pończochy i podwiązki. Jego język zostawiał palący, wilgotny ślad, kiedy całując jej ciało wędrował ustami od szyi,

przez piersi, pępek aż do samego jądra jej kobiecości. Wykrzyknęła jego imię, on pieścił ją językiem.

Później zawisł nad nią całym ciężarem swego ciała i Kristin rozwarła szeroko powieki w rozkosznym oczekiwaniu, ale on wydał z siebie tylko cichy jęk i ponownie skłonił głowę na jej piersi.

- Kristin, kocham cię. Tak bardzo cię kocham.

- Och, Cole, proszę... - powiedziała, tuląc się do niego.

- Co?

I wtedy zrozumiała, co Cole pragnie usłyszeć. Wtuliła się w niego jeszcze mocniej i zaczęła mówić gorącym szeptem:

- Cole, kocham cię chyba od stu lat. Tak bardzo cię kocham. Bałam się powiedzieć ci o tym, bo wiedziałam, że ty mnie nie kochasz.

- A ja bałem się wyznać ci, jak bardzo mi na tobie zależy.

- Wiec powiedz teraz.

- Kocham cię. Kocham cię do szaleństwa, Kristin McCahy Slater, i przysięgam, że będę cię kochał zawsze.

- Och, Cole.

Wtuliła twarz w jego tors; był gorący i mokry od potu...

I wtedy znalazł się w niej. Najgłębiej jak mógł. Cały czas, jak w transie, szeptał jej słowa miłości.

Kochali się.

Dużo później, kiedy wyczerpani wzruszeniami i miłością leżeli spleceni ramionami, Cole wszystko jej opowiedział.

Najpierw mówił o tym, jak pewnego dnia pojawili się maruderzy, jak spalili mu dom i zamordowali żonę. Słyszała ból w jego głosie, ale milczała, nie chcąc mu

przerywać. Rozumiała, jak jest dla niego ważne, by wyrzucić to wreszcie z siebie, ofiarować jej cały swój dramat. Musiał oczyścić duszę.

Słuchała i już nie przerażała jej przeszłość Cole'a; czuła tylko bezbrzeżny smutek. Słuchała jego opowieści o tym, co wydarzyło się w Kansas, o tym, jak jego stary przyjaciel, Kurt Taylor, powiadomił go, że w mieście przebywa Henry Fitz ze swoimi maruderami.

- Kristin, zabiłem go. Zabiłem go z zimną krwią. Dobrze wiedziałem na co się narażam, ale musiałem stanąć z nim twarzą w twarz. Kristin, musiałem to zrobić w imię naszej przyszłości. Czy to rozumiesz?

Wcale nie musiała odpowiadać. Po prostu znów wtuliła mu twarz w tors i obsypała gorącymi pocałunkami.

Zasnęli, gdy do okien zaglądał świt.

Kristin obudziło jaskrawe światło słońca wpadające przez okno. Ich nagie ciała pławiły w różowych promieniach.

I wtedy usłyszała dobiegający sprzed domu dźwięk końskich kopyt.

W jednej chwili była na nogach i podbiegła do okna.

Na dole, przy studni, stał samotny oficer Unii. Popatrzyła na pogrążonego we śnie Cole'a. Po raz pierwszy miał spokojną, rozluźnioną twarz; po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna.

Kristin narzuciła na siebie koszulę i cicho zamknęła za sobą drzwi. Na palcach zeszła po schodach, wyszła na werandę i ruszyła w stronę studni.

Nawet nie zastanawiała się, co pomyśli sobie oficer, kiedy ujrzy ją w tak niekompletnym stroju, z potarganymi włosami i zatroskaną, pobladłą twarzą.

Mężczyzna uśmiechnął się i obrzucił jej postać bystrym spojrzeniem.

- Dzień dobry, pani. Czy to jest ranczo McCahy'ow?
- Tak. Mój brat, oficer Unii, jest w domu. Został ranny i obecnie powoli dochodzi do zdrowia.

Jest tam również twój mąż, oficer Konfederacji, pomyślał obcy, ale nie wypowiedział tych słów na głos.

- Macie tu wspaniałą wodę - pochwalił.
- Proszę pić.
- Słyszałem, że pojawił się tutaj Zeke Moreau i zabił prawie wszystkich żołnierzy.

Kristin przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Przyślemy dzisiaj kilku lekarzy, żeby zabrać rannych.

- To doskonale. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

- Nie wątpię.

- Może wstąpi pan do domu?

Potrząsnął odmownie głową.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale z przykrością muszę odmówić. Nie jestem tutaj oficjalnie - dodał cicho. - Przybyłem tylko, żeby przekazać pani wiadomość, że wojna się skończyła. Ale proszę nie mieć złudzeń, jej echa jeszcze do końca nie przebrzmiały. Zanim wszystkie oddziały złożą broń, upłynie trochę czasu. Taki Kirby-Smith, na przykład, ma nieugiętego ducha. To dumny człowiek, wspaniały wojownik, ale...

- Ale... ale wojna już się skończyła? - szepnęła Kristin.

- Tak, proszę pani, choć, jak powiedziałem, jej echa jeszcze do końca nie przebrzmiały. Dwa dni temu, dwunastego kwietnia, generał Robert E. Lee w miejscu zwanym Appomattox Courthouse poddał generałowi Ulyssesowi S. Grantowi armię Północnej Wirginii. Fa-ma niesie, że prezydent Lincoln zrobi wszystko, żeby nasz wielki naród zjednoczył się w pokoju i brater-

stwie najszybciej, jak to możliwe, oraz żeby mieszkańcy Południa i Północy znów stali się braćmi.

Pod Kristin ugięły się nogi. Oficer najwyraźniej dostrzegł, co dzieje się z dziewczyną. Szybko do niej podszedł i pomógł wrócić na werandę. Potem przyniósł jej wody.

- Więc... wojna naprawdę już się skończyła?

- Naprawdę - odparł z uśmiechem mężczyzna. - Wiem, że Cole Slater i jego ludzie przybyli wam wczoraj z pomocą. Tak, słyszałem, że wycięli w pień grasantów Zeke'a Moreau. Jego też zabili. Cole wykonał kawał dobrej roboty, proszę pani. Żałuję, że mnie tutaj nie było. Niewątpliwie wiadomość ta dotrze do dowództwa Unii i... do sędziów. - Znów się uśmiechnął. - Domyślałam się, że ludzie Slatera już się stąd wynieśli?

Kristin skinęła głową.

- Tak... Tak, odjechali.

- Jest pani jego żoną?

- Tak. Jestem jego żoną.

- Ktoś powinien go poinformować o tym, że wojna się skończyła. Oczywiście, Cole jeszcze musi na siebie uważać. Parę osób czuje do niego złość za to i za owo... Quantrill, Kansas... - Wzruszył ramionami. - Jeśli go pani zobaczy, proszę mu powiedzieć, że chwilowo powinien się gdzieś przycziąć. Najlepiej będzie, jeśli pojedzie do Teksasu. Fitz miał brata, który zaprzysiągł zemstę. Ale proszę mu powiedzieć, że wojna skończona, więc wszystko ułoży się pomyślnie. Rozumie mnie pani? I proszę też przekazać, że wie to pani od Kurta Taylora.

Kristin skinęła głową.

- Dziękuję za wodę. To bardzo dobra woda.

- Zawsze będzie pan w moim domu najmilej widzianym gościem.

Kristin długo jeszcze stała i patrzyła, jak oficer Unii w niebieskim mundurze powoli niknie w oddali. Kiedy już straciła go z oczu, pobiegła do domu.

- Cole! Cole! - krzyczała, wbiegając po schodach.

Nie spał. Całą scenę obserwował przez okno. Kristin porwała go w ramiona i zaczęła prowadzić w tańcu po całym pokoju.

- Koniec! Koniec! Wojna się skończyła! Lee się poddał! Niektóre oddziały nie złożyły wprawdzie jeszcze broni i walczą, ale wojna się skończyła! Och, Cole!

Ujęła w dłonie jego twarz i gorąco pocałowała w usta. Potem, jak opętana, zaczęła całować Cole'a po szyi, barkach i torsie. Była taka radosna i tak pełna życia, że mimo nurtującego go niepokoju musiał roześmiać się.

- Kristin, Kristin, to wszystko nie jest wcale takie proste...

- Zgadza się, to nie jest wcale takie proste - odparła poważniejąc i przekazała mu to, co powiedział jej oficer. - Nazywał się Kurt Taylor i radził ci udać się do Teksasu - zakończyła.

- Pojadę.

- Pojedziemy - poprawiła go Kristin.

- Pojedziemy? - spytał, unosząc brwi. - Z tego, co pamiętam, pewna kobieta za nic nie chciała opuścić rancza. Sprzedała nawet swój honor niecnemu rebeliantowi, żeby móc na tym ranczu pozostać.

Kristin uśmiechnęła się pogodnie. Nigdy jeszcze nie czuła się tak szczęśliwa, a świat nie był taki piękny. Za oknem panowała wiosna - a wojna się skończyła.

Skończyła!

- To ranczo nie jest moje. Po prostu pilnowałam go w imieniu mego brata, a Matthew przecież wrócił. Sam więc widzisz, że czas ruszać w drogę. Poza tym sądzę,

że na sprzedaży honoru zrobiłam doskonały interes. Mój towar nie był wiele wart, ale sam zobacz, jakiego wspaniałego mam syna. Ponadto...

- Ponadto?

- Jest jeszcze pewnien drobny szczegół. Na śmierć zakochałam się w tym niecnym rebeliancie. Nawet w chwilach, kiedy chciałam już tylko umrzeć, kochałam go.

- Bardzo?

- Bardzo, jak wariatka, do szaleństwa.

- Nie łżesz?

Splótł palce z jej palcami, pochylił głowę i pocałował Kristin. Poczuła, że zadrżał, i spojrzała mu prosto w oczy.

- Cole?

- Wiesz, że czeka nas naprawdę wspaniała przyszłość?

- Wiem.

- Będziemy patrzeć, jak rośnie Gabe i będziemy mieli jeszcze więcej dzieci. Będę się nimi zajmował...

- Głównie przewijał... - przerwała mu słodkim głosem Kristin.

Uśmiechnął się i znów ją pocałował.

- Cole?

- Tak, kochanie?

- Jeśli pojedziesz do Teksasu, pojedę za tobą. Ale na razie...

- Co na razie?

- Jeszcze nie kochaliśmy się po zakończeniu wojny. I nie mówiliśmy sobie, jak bardzo się kochamy.

Cole odchylił do tyłu głowę i wybuchnął niepohamowanym śmiechem, a Kristin pomyślała, że ten wysoki, mroczny nieznajomy, który wkroczył w jej życie jak bohater, który wyprowadził ją z mroku w świat-

łość, na zawsze pozostanie jej rycerzem. Ale mrok do końca nie rozproszył się. Pozostał ból. Przyjdzie czas na żałobę po Pete, który był jej wiernym przyjacielem. Przyjdzie czas na żałobę po szlachetnym i tak bardzo im przyjaznym majorze Emerym...

Ale teraz liczyli się tylko oni dwoje.

- Sama widzisz, Kristin, że musimy się kochać i szeptać sobie słodkie słówka.

- Tak?

Wziął ją w ramiona i przyłożył wargi do jej ust.

- Kocham cię! - szeptał żarliwie. - Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię...



Epilog

Wojna tak prosto i szybko nie chciała się zakończyć; zwłaszcza na zachodzie - na pograniczu Kansas i Missouri - gdzie zaczęła się na długo jeszcze przed tym, nim padły pierwsze strzały w Fort Sumter.

Generał Kirby-Smith prowadził rozpaczliwą walkę aż do dwudziestego szóstego maja i był ostatnim dowódcą połowym Południa.

William C. Quantrill umarł szóstego czerwca tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku. Został śmiertelnie ranny podczas ataku na Louisville w Kentucky. Umierając zaklinał się, że gdyby schwytał Jima Lane'a, prowodyrę maruderów, po którym dowództwo przejął Doc Jennison, to obdarłby go żywcem ze skóry.

Sam Jim Lane ostatni raz wystrzelił z rewolweru pierwszego lipca tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku... Strzelił sobie w usta.

Frank i Jesse Jamesowie oraz bracia Younger - ludzie Quantrilla - uprawiali dalej swój proceder i zostali wyjęci spod prawa.

Jeśli chodzi o Cole'a i Kristin, to wszystko było dla nich odległą przyszłością. Na razie mieli własne problemy.

Problemy te były ściśle związane z Malachim i Shannon, lecz tę historię winni opowiedzieć oni sami.